R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES-PICTA.COM

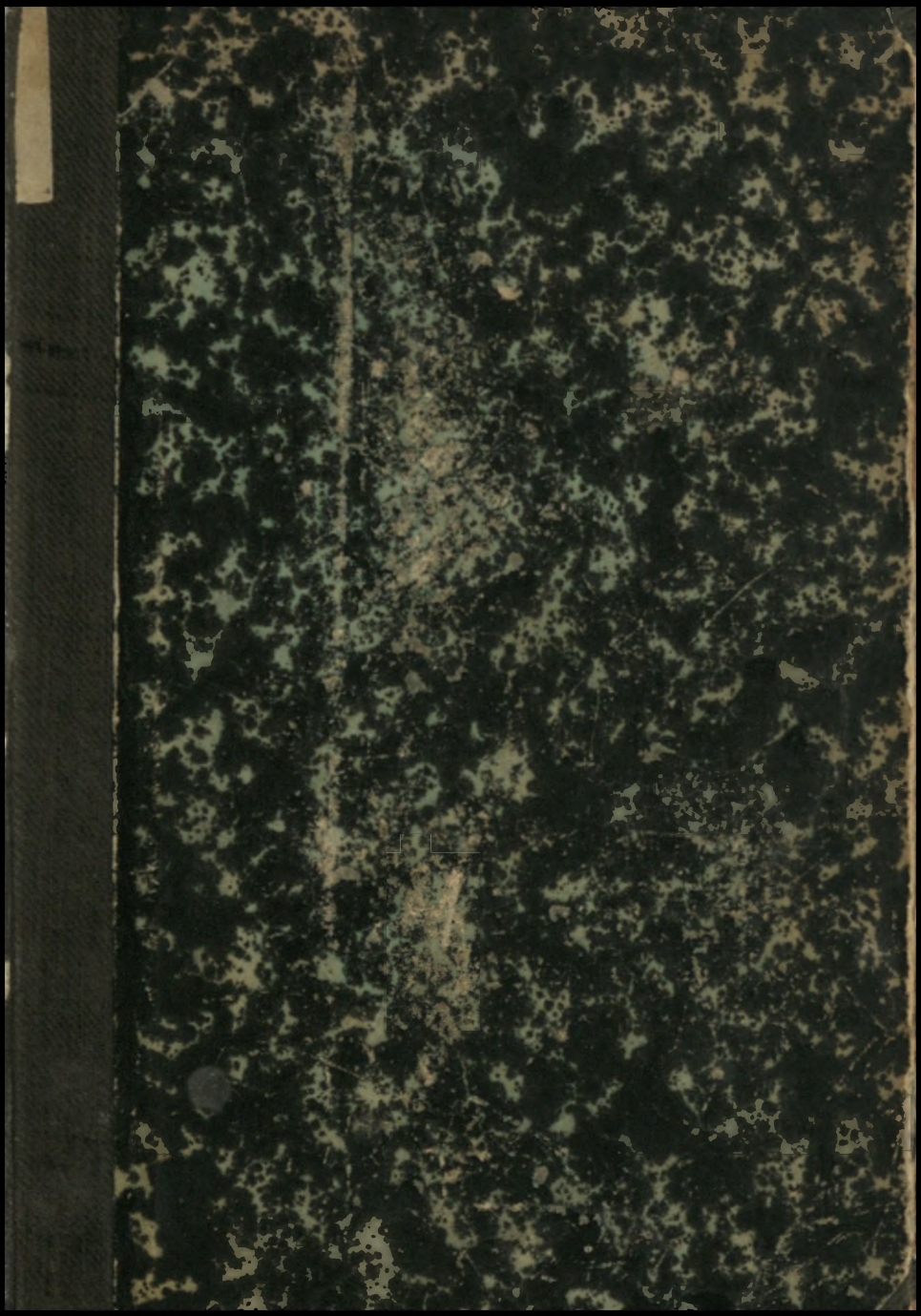
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches Centimetres

DANES-PICTA.COM



NAPOLEON III

I

WŁOCHY

PRZEZ

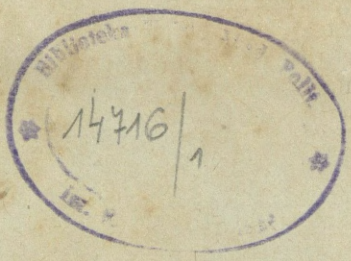
HENRYKA LISICKIEGO.

PETERSBURG.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI BR. RYMOWICZ.

1892

9(44):9(45)

Дозволено цензурою. С.-Петербургъ, 11 октября 1892 г.



W druk. «Kraju» Trenke i Fusnot, Maksymiljanowski zaułek 13.

Ostatniemu cesarzowi francuzów fortuna, jak mało komu, sprzyjała; służyła mu wiernie, wytrwale, dopóki sam nie zmarnował niezliczonych jej darów i faworów. Już zamłodu robił, co mógł, żeby swoje nazwisko, osobę i pretensje do tronu zdyskredytować, okryć śmiesznością. Papieżowi za gościnność wywdzięczył się bratanie z wrogami rządu papiezkiego i papieztwa. Podjąwszy rolę pretendenta, uciekał się do zamachów zdrożnych i nagannych, źle obmyślanych i lekkomyślnie przeprowadzonych. Ludwikowi-Filipowi, za ułaskawienie po burdzie w Strasburgu, odpłacił zamachem bulońskim, małpiarstwem powrotu z Elby. Z Elby wracał człowiek potężny, mający za sobą wielką przeszłość; w Boulogne ukazał się człowieczek nieznany, strojny w cudze pierze, co nic nie zrobił i prochu zaledwie wąchał na manewrach szwajcarskich. Nicość przedsięwzięcia była tak oczywistą, że go nie uratował proces polityczny, najdzielniejszy, jak wiadomo, środek ratowania spraw skompromitowanych.

Osadzony na pokucie w Ham, pretendent wysnuł z siebie «Idee Napoleońskie», mieszaninę reminiscencyj z czasów rewolucji i pierwszego cesarstwa, niewyklarowanych aspiracyj i paradoksów, — wszystko razem obliczone na przynętę dla demokracji francuzkiej. Po ucieczce z więzienia, ks. Ludwik-Napoleon osiadł w Londynie. Pisał o artylerji i o modnej podówczas kwestji wytępienia pauperyzmu; sukcesu nie odniósł, pomimo,

że koronowane lub do korony aspirujące głowy, tanim zazwyczaj kosztem zdobywają chwałę literacką. Uchodził powszechnie za człowieka małych zdolności, wcale nie niebezpiecznego; pomiędzy pretendentami zajmował miejsce na szarym końcu.

Swemu szczęściu i zbiegowi okoliczności zawdzięczał prezydenturę rzeczypospolitej francuzkiej. Drugą republikę trawił nieład. Klasy posiadające, prześladowane *czerwonem widmem*, pragnęły silnego rządu, jako zadatku spokoju i porządku w kraju. Żadna partja nie posiadała człowieka, wzbudzającego zaufanie. Popularni mężowie prędko się zużywali i sami tracili wiarę w możliwość utrzymania republiki. Cavaignac dowiódł był, że potrafi strzelać do zbuntowanego proletarjatu; lecz, nazajutrz po strzelaniu, nie potrafił znaleźć środka, zapobiegającego ponowieniu się starć podobnych, czyli, innemi słowy, zmienić istotę rządu. Jeden książę Ludwik-Napoleon Bonaparte przedstawiał coś, co przemawiało do przekonania ogółu, nazwisko, z którem wiązało się pojęcie silnej władzy i pełne chwały wspomnienia, zawsze jeszcze żywe w wojsku i w ludzie. Występując jako dziecko pierwszej rewolucji i spadkobierca wielkiego cesarza, obiecując klasom posiadającym bezpieczeństwo osób i własności, demokracji zastosowanie w praktyce zasady wszechwładztwa ludu i pryncypiów 80 roku, Francji erę pomyślności i znaczenia w świecie—grając na najrozmaitszych czułych strunach, ks. Ludwik zdobył półszósta miljona głosów.

Trzeba było być bardzo naiwnym, żeby mniemać, że się zadowolni prezydenturą — nie będzie dążył do rządów osobistych, następnie do przywrócenia cesarstwa. Parlamentaryzm francuzki kilkakrotnie zbankrutował. Ludwik-Filip, choć zręczny i wytrawny mechanik parlamentarny, nie mógł dać rady izbie, złożonej z orleanistów. Stronnictwo bonapartystowskie wypadało dopiero, jeżeli nie stworzyć, to zorganizować.

natchnąć je wiarą w trwałość nowego porządku; więc przedewszystkiem nie dzielić się władzą z izbą, w której rej wiedli sami przeciwnicy bonapartyzmu. W porze, kiedy w rozumieniu powszechnem imię Napoleona było synonimem imperatora, Bonaparte, prezydent rzeczypospolitej mógł być tylko komiczną figurą. Nakoniec, ludzie otaczający prezydenta, spaliwszy mosty za sobą, pchali do walnej rozprawy, aby się zabezpieczyć od popadnięcia napowrót w nicość.

Złamania przysięgi konstytucyjnej i zamachu stanu trudno ks. Ludwikowi-Napoleonowi za zbrodnię poczytać. Dobro rzeczy publicznej upoważniało go do usunięcia prawnego porządku, który Francji same szkody przynosił. Operacje takie bywają zawsze krwawe i bolesne, za co chirurg nie odpowiada; ale ciąży na nim obowiązek zagojenia rany.

Dla Francji przywrócenie cesarstwa stanowiło niewątpliwą korzyść, położenie się wyjaśniło, ustała niepewność i dwuznaczność. Cesarstwo dziedziczne w każdym razie lepszem było od republiki z prezydentem, z którego śmiercią, naturalną czy gwałtowną, wznawiały się zatargi o niewiadomym przebiegu. Cesarz się ożenił, miał syna, ufundował dynastję; znalazł się przeto punkt oparcia, około którego pierwiastki mogły się gromadzić i z czasem ustalić. Narazie też Francja przyjęła drugie cesarstwo przychylnie; wielu zapamiętałych przeciwników bonapartyzmu mówiło sobie w duchu: lepsze to niż anarchja.

I.

Rządzić Francją niełatwo, skutek zawsze niepewny. Francuzi stracili byli wiarę w zbawienność pryncypiów, bo wszystkie kolejno zawiodły; zasady służyły za hasło w walkach politycznych, dla odróżnienia swoich od cu-

dzych stronników. Co więcej, stracili wiarę w trwałość jakiegokolwiek porządku rzeczy. Starzy pamiętali wiry wielkiej rewolucji i późniejsze przewroty. Ludzie średnich lat byli świadkami upadku pół tuzina rządów, z których dwa ostatnie zmiotła uliczna awantura w stolicy. Stronnictwa nieprzejednane, legitymiści, orleaniści i republikanie, nie pojmowały Francji innej, jak urządzonej według ich doktryn; wspólnem ich hasłem było obalenie cesarstwa i w tym celu chętnie się łączyły, aby nazajutrz dawne kłótnie rozpocząć. O przejednaniu nieprzejednanych próżno było marzyć; w początkach wreszcie nie mogli wiele szkodzić cesarstwu. Zamach stanu rozproszył republikanów, wszystkich przeraził. Pielgrzymki do Frohsdorf i do Claremont, wybory akademickie, rozpasanie języków w salonach, lękliwa opozycja w dziennikach, wszystko to nie znajdowało odgłosu w masach i nie wywierało wpływu na warstwy, na jakich oparło się drugie cesarstwo, naturą rzeczy zmuszone być monarchją arcydemokratyczną.

Przedsięwzięcie Napoleona III miało postać i szanse mniej więcej takie, co ustalenie lotnych piasków. Człowiek się namozoli, zrobi, jak każe umiejętność i doświadczenie; naraz przyjdzie wicher i całą pracę zniweczy. Cesarstwo było rodzajem płotka, zagrodzonego wśród wydm piasczystych na to, aby zapobiedz wędrówkom piasku, aż wydma się osiądzie i porośnie trawą. Innemi słowy, miało za zadanie demokrację ustalić i dopomódz jej do zorganizowania się, nad czem, lat już sto, daremnie pracuje.

Jak Napoleon III powinien był zabrać się do roboty, łatwo wypisać na cierpliwym papierze; tylko to do niczego nie prowadzi. Zobaczmy lepiej, co robił.

Armja ujrzała z radością na tronie spadkobiercę cesarza; nowy porządek rokował jej szczególną opiekę i płynące ztąd korzyści. Administrację dość było re-

gularnie nakręcać, żeby szła swoim trybem, po myśli i woli rządu. Dwie te potężne siły, całkowicie spoczywające w dłoni Napoleona III, wystarczały do trzymania Francji na wodzy, ale tylko do czasu, dopóki nowość nie spowszednieje, dopóki jaki wicher raptowny nie poruszy wędrownych piachów.

Chłop znał respekt dla istniejącego rządu, który go trzymał w kleszczach administracyjnych. Zasady 89 roku uważał za rodzaj świętości, bo w jego pojęciu one mu gwarantowały spokojne posiadanie swego kawałka ziemi. O politykę nie dbał. O ile zachował wiarę, uczucia religijne i praktyki kościelne, ulegał wpływowi proboszcza; lecz niższe duchowieństwo skłonniejszem było do popierania rządu, niż do opozycji, zwłaszcza jak długo episkopat żył z rządem w zgodzie. Legitymiści lubili straszyć Wandeą; tego widma jednak nikt nie widział, od ostatniego powstania za Ludwika-Filipa. Dopóki cesarz siedział na tronie, mógł być pewnym, że chłop będzie za nim głosował przy wyborach i plebiscytach; przytem, swoim zwyczajem, składał winę na rząd za ciężkie czasy; w końcu, że palcem nie ruszy, ani żeby go wywrócić, ani żeby go bronić od wewnętrznych nieprzyjaciół.

Inaczej mieszczanin i robotnik. Jeden i drugi dbał o zarobek i grosz miłował. Czcił zasady 89 roku i deklarację praw człowieka, bo był zazdrosny o równość. Dotknięty manją politykowania, sądzenia o rzeczach, których nie rozumiał lub błędnie pojmował, skory był do krytykowania rządu i chwytania cudzych opinij, sięgając zaraz do ostatecznych konsekwencyj. Obdarzony żywym z natury, przytem niespokojnym i rozbałamuconym umysłem, żądny dlań żeru, lubił nowość i prędko się nudził; raz zaś znudzony, uczuwał w sobie skłonność niepohamowaną «do robienia głupstw», najprzód do wywracania rządu, w nadziei, że dostanie lepszy. Znając swój lud, Napoleon III starał się mu

dostarczyć, według starej rzymskiej recepty, chleba i widowiska.

Po gwałtownych wstrząśnieniach, tamujących pracę ludzką, zwykła następować pora zdwojonej czynności i powodzenia. Tak się też stało w pracowitej i oszczędnej Francji. Cesarz gorliwie popierał rozwój bytu materjalnego. Bezprzykładny wzrost bogactwa przysporzył mu uroku, okrył go popularnością, jakiej monarcha we Francji dawno nie używał. Robiąc jednak zbyt wiele na pokaz i dla efektu, propagując kult złotego cielca, zmaterjalizował do reszty francuzów, rozpieścił, przyuczył do zbytku. Z zamożnością wzmogło się zuchwalstwo i niesforność, wystąpiły silniej pretensje do swobód politycznych, ściśle nie określonych. Rozrost przemysłu, olbrzymie roboty publiczne rozmnożyły do nieskończoności rzesze robotników, żywioł ruchomy i pożądliwy, którego niepodobna całkiem zadowolnić. Skutek dał się dotkliwie uczuć w Paryżu, w głowie Francji. Ludność stołeczna stawała się coraz trudniejszą do prowadzenia, politycznie wątpliwszą i niebezpieczniejszą. Gra giełdowa i ryzykowne przedsięwzięcia ściągnęły gromady awanturników, goniących za łatwym zyskiem, wynikły przesilenia finansowe i ekonomiczne; *odium* spadało na cesarstwo, które niemało grzechów tego gatunku miało na sumieniu; fortuny, szybko wzrastające kosztem klas biedniejszych, wywoływały niechęć, zaostrzającą kwestje socjalne.

Dla wrażliwych oczów tłumu widowiska nie brakło. Przepych dworu, przebudowanie Paryża, wystawy, wizyty głów koronowanych, niezliczone obchody, wszystko bywało obliczone na efekt, po mistrzowsku urządzone, użyte do reklamy. Nigdy i nigdzie na świecie reklama tyle nie znaczyła w pasterstwie ludów. Sam cesarz nie gardził robieniem reklamy sobie i cesarstwu; reklamę miał zawsze na oku w najważniejszych pociągnięciach na szachownicy wewnętrznej i europej-

skiej polityki. Na nieszczęście, najpłodniejszy umysł musi się w końcu wyczerpać, a ludzka ciekawość i wrażliwość przytępić. Widowiska i dekoracje zaczęły się powtarzać, powszedniały, lud szemrał: *toujours du perdreau!* Reklama się zużyła i przestała skutkować; gatunek towaru nie odpowiadał obietnicom, stare resztki udawały świeży wyrób. Nadużycie reklamy miało jeszcze inną złą stronę i zgubny skutek. Codzień z urzędu powtarzano francuzom, że Francja jest najpierwszym i największym narodem ziemi, że ma wszystko doskonałe, najlepszą armję, niezrównane stanowisko w świecie. Pochlebiało to Francji, imponowało Europie, dopokąd noga nie podwinęła się cesarzowi. Wtedy wyszła na jaw smutna prawda, że samochwalstwo osłaniało niedbalstwo rządzących i w rządzonych zrodziło nadmiar pychy, zarozumiałości, przecenianie własnych sił.

Stosunek swój do demokracji Napoleon III oparł na dwóch fikcjach: wszechwładztwa ludu i osobistej odpowiedzialności cesarza przed narodem. Pierwszej nie mógł ominąć; dał jej wyraz praktyczny w głosowaniu powszechnem, będącem, w rękach silnego rządu, dzielnym instrumentem panowania; stworzył gatunek przeciwwagi w kandydaturach urzędowych. Ostatni wynalazek nie okazał się szczęśliwym. Rząd posiadał tysiączne środki wpływania przeważnie na wybory. Kandydatury urzędowe świadczyły dotykalnie, do jakiego stopnia wszechwładztwo ludu jest komedją; były drażliwym punktem systemu; przy każdym wyborze wprowadzały w grę osobę cesarza. Miały one być praktyczną konsekwencją i zastosowaniem zasady odpowiedzialności monarchy, którą bezpieczniej było zostawić na ostatnim planie, jako fikcję i piękną dekorację. Trwałość tronu i dynastji spoczywała we Francji na faktach. Nieodpowiedzialny Karol X skończył na wygnaniu, taki sam los spotkał Ludwika-Filipa;

żadnego nie obroniła odpowiedzialność ministrów. Dopóki ciało prawodawcze nie śmiało czoła stawić cesarzowi, nie mogło być mowy o rządach parlamentarnych; i naodwrót, z chwilą wkradnięcia się ducha opozycji do izby, nie mogło nie przyjść do sporów z nieodpowiedzialnymi ministrami. Cesarz poszedł jeszcze dalej w przedawaniu fikcji za rzeczywistość, słowem i uczynkami przypominając jak najczęściej, że on jest wszystkiem w rządzie i w polityce europejskiej. W następstwie, lada nietrafny krok rządu spadał na cesarza, umniejszał jego osobistą powagę; każde niepowodzenie w Europie stawało się ciosem, zadanym cesarzowi, cesarstwu i dynastji.

Edukacja polityczna demokracji nie postępowała naprzód. W wychowaniu publicznem przeważała tak zwana wolna myśl, neutralizująca wpływ religji i kościoła, rozszerzany lub ścieśniany wedle okoliczności zmiennych. Kościoł nakłaniał do posłuszeństwa i rezygnacji, wolna myśl stawiała za ideał emancypację rozumu i jednostki, podczas gdy system rządu wziął za podstawę i cel ścisłą kuratelę jednostki i społeczeństwa. Znajomość spraw i interesów kraju, wprawa w ich traktowaniu, rzeczy tak potrzebne francuzom, nie ruszyły z miejsca, wobec kurateli administracyjnej, centralizacji, braku samorządu. W ciele prawodawczem, adwokacka sztuka ministrów bez teki dostarczała większości motywów i pretekstów do głosowania po myśli cesarza; opozycja zaś uczyła malkontentów, jak podkopywać cesarstwo. Cesarz zapowiadał «ukoronowanie dzieła» przez rozszerzenie swobód politycznych, kiedyś, w niewiadomym czasie i wymiarze. Obietnicami rozbudzał nieuzasadnione nadzieje, zaostrzał apetyt, niepokoił umysły. Jako zadatek, udzielił ciału prawodawczemu prawa interpelacji, w pewnych bowiem chwilach potrzebował publicznej dyskusji. Przekonawszy się, że klapka źle funkcjonuje, oraz pod naciskiem

komplikacyj zewnętrznych, zaprowadził w ciele prawodawczem rozprawy adresowe, niby na dowód, że się nie boi publicznego rozbioru swoich postępków. Sposobność do rozbioru nastręczał budżet i wiadomem było, jak z niej opozycja umiała korzystać. Obowiązkowy adres był nowym spektaklem, który zamienił się w skandal. Całemi tygodniami cesarstwo siedziało na cenzorowanem, albo na ławie oskarżonych, wystawione na najzjadliwsze krytyki i obelgi, a to w porze, kiedy gwiazda Napoleona III mocno przybladła. Pod koniec panowania, uwikławszy się w własne sieci, szukał ratunku w liberalnej metamorfozie, poprzedzonej plebiscytem, znowu w dwóch widowiskach, po których nastąpiło ostatnie, karkołomna wyprawa wojenna.

Wspomnieć wypada o stopniowej dekonsyderacji moralnej drugiego cesarstwa, na karb którego kładziono demoralizację społeczeństwa francuzkiego, zepsucie obyczajów, rozwiązłość, wszystkie zgorszenia i skandale. W tych oskarżeniach było wiele prawdy, jeszcze więcej przesady, złości i zawiści stronniczej; mianowicie co do osobistego udziału cesarza w szerzeniu złego. Napoleon III był człowiekiem, co się nazywa dobrym, bez żółci; nigdy nie słyszano, żeby kogo nienawidził i prześladował, żeby się mścił za dawne lub świeże urazy; owszem, wszystko zapominał, łatwo przebaczał, prędzej pobłażał zanadto w prywatnych i publicznych stosunkach. Natomiast pamiętał doskonale oddane sobie usługi i poczuwał się do obowiązku wdzięczności. Mieszkając w Londynie, chciał się poznać z młodym cudzoziemcem w służbie dyplomatycznej; ten odmówił, niby z powodu swego urzędowego stanowiska. W niewiele lat później ten sam cudzoziemiec prezentował się na pokojach w Tuileries. Cesarz go przywitał uprzejmie i rzekł: «Bardzo się cieszę, że moja pozycja pozwoliła mi zrobić pańską znajomość». W taki sposób mścił się najpotężniejszy władca swego

czasu, i za bardziej dotkliwe obrazy; jego najzjadliwsi antagoniści nie umieli przytoczyć ani jednego przykładu prawdziwej zemsty. Że starał się przyciągać ludzi z partyj nieprzejednanych, że protegował rodziny tradycyjnie do cesarstwa przywiązane, że sowicie obdarzał tych co mu służyli i byli użyteczni, że dbał o los starych żołnierzy napoleońskich, rozproszonych po wszystkich krańcach ziemi—nic dziwnego; tak mu kazał czynić własny interes; ale najpierw, nie wszyscy potentaci tej reguły się trzymają; potem zaś, on to robił w takiej formie, że każdy dar, każdy dowód pamięci nabierał podwójnej wartości. Szedł nawet dalej, wyszukiwał potomków ludzi, co mu niegdyś jaką wyświadczyli usługę, garnął do siebie i wynagradzał. Przystępny, jak żaden monarcha, tem bardziej przeto wystawiony na nawałnice instancyj i suplik, rzadko kiedy odmówił łaski, hojnego wsparcia, wszelkiej pomocy, najrozmaitszych ułatwień. W zapominaniu uraz mogło być więcej flegmatycznego temperamentu, niż osobistej zasługi człowieka; w łaskawości—więcej miękkości charakteru, niż istotnej dobroci; w hojności—spora doza nieopatrznego szafowania groszem—ale to do rzeczy nie należy. Faktem jest, że na tronie siedział człowiek ludzki i że jego rządy były ludzkie, niesplamione okrucieństwem i mściwością, ani twarde, ani nieznośne. Będąc pretendentem do korony i obrawszy drogę konspiracyj i zamachów, Napoleon III, chcąc nie chcąc, musiał szukać wspólników i narzędzi między podejrzanem towarzystwem, z którego nigdy otrząść się nie zdołał. Do zamachu stanu musiał użyć ochotników, nie będących kwiatem rodzaju ludzkiego. Ta «zgraja awanturników», jak pogardliwie nazywano filary drugiego cesarstwa, okropnie szkodziła cesarzowi. Przylepili się do niego, jak tłuszcz do sukna; często nim kierowali w własnych widokach, nadużywali jego pobłażliwości; niezdolni wzniecić dla siebie szacunku

ani przeszłością, ani teraźniejszością, kłuli jeszcze bardziej w oczy szybkiem porastaniem w pierze, cynizmem, pomiataniem regułami elementarnej przyzwoitości. Istną klęską dla cesarstwa był ks. Napoleon Plon-Plon; bruździł cesarzowi w polityce wewnętrznej i zewnętrznej, utrzymywał stosunki z konspiratorami całego świata, wojował z cesarzową Eugenją, ośmieszał się nietaktem w postępowaniu, czynił się niemożliwym w porządnem towarzystwie swojem życiem domowem i prywatnem;—cesarz wszystko znosił, tolerował, nigdy nie skarcił, jak mógł i był powinien. Kuzynek uchodził za człowieka niebezpiecznego, podobno całkiem niezasłużenie, brakło mu bowiem odwagi osobistej i determinacji. Podobieństwem rysów twarzy do Napoleona I i swadą w wygłaszaniu radykalnych bałamuctw, zyskał sławę tęgiej głowy, wściubstwem—reputację wielkiego intryganta. Cesarz, posiadający niezaprzeczenie znajomość ludzi, zblizka patrząc na kuzynka, mógł prędzej od innych spenetrować głębie tej duszy. Pomimo to używał go do różnych misyj, stwarzał dlań urzędy, podtrzymywał jego upadające znaczenie, nareszcie milczeniem pokrywał najgrubsze wybryki, głosem powszechnym potępione. Ks. Napoleon mógł wprawdzie, przez stosunki z rewolucją europejską, oddawać cesarzowi niejakie usługi, miarkować jej niecierpliwość, dowiadywać się o planach i zamiarach, pośrednio odwracać od cesarza mordercze zamachy. Cesarz jednak zamachów zbytecznie się nie bał, nawet je lekko traktował; mordercy zaś nie chodzili zwierzać się do Palais-Royal ze swemi zamysłami. Nad całością cesarza czuwała tajna policja i pan Pietri, który zarazem mógł służyć i służył za pośrednika między cesarzem i rewolucjonistami. Konspirator z policjantem najłatwiej się zwącha, a czy introduktorem rewolucyjnego agenta do gabinetu cesarza był ks. Napoleon, czy Pietri, to prawdziwie na jedno wychodziło. Tajne schadzki ze

spiskowcami wszystkich narodów, orgje wyprawiane w Palais-Royal, szulernia tam uorganizowana, owe mięsne obiady w Wielki piątek, nieustanne swary z cesarzową, oczywisty antagonizm księcia z cesarzem, obryzgiwały błotem tron i rodzinę panującą. Na cesarza także zwalano odpowiedzialność za olbrzymie szachrajstwa giełdowe. Napoleon III nie był chciwym. Z wyjątkiem paru koronowanych utracjuszów, monarchowie europejscy tego wieku mieli i mają szczególny talent robienia pieniędzy. Jak do tego dochodzą, to już ich sekret. Faktem jest, że każdy schodzi z tronu bezporównania bogatszym, niż przy wstąpieniu. Cesarz francuzów zapożyczył się na koszta zamachu stanu; na wygnaniu przecież niedostatku nie cierpiał. Produkować, nie produkował; oszczędzać, nie oszczędzał; żył wystawnie, rozdawał, budował, ale trochę grosza na bok odłożył. Sprawiedliwość każe dodać, że nadzwyczajnej fortuny nie zgromadził. Jego poprzednik na tronie, Ludwik-Filip, *sparmeister*, jakich mało na świecie, taką odrobiną się nie kontentował. Za to grał na giełdzie ks. Napoleon ze swoją kliką, grał Morny, grał Persigny, grało mnóstwo niechrzczonych i chrzczonych żydów, napewno, o ile tylko napewno grać można. Cesarz patrzył na to przez szpary, przeszkadzać nie zawsze mógł i także nie chciał; odpowiadał zaś i za niemożność i za brak woli.

Co się tyczy zepsucia obyczajów, zgorszeń i skandalów, drugie cesarstwo wzięło w spadku Francję już mocno nadpsutą. Wszyscy wiedzą, co się działo za Ludwika XIV, za Ludwika XV, za dyrektorjatu. W porównaniu, od początku wieku moralność przeciętna poszła prędzej w górę. Za pierwszego cesarstwa, pod restauracją i Orleanami różnie bywało, więcej tylko baczono na *decorum*, na zachowanie pozorów przyzwoitości. Świat się tymczasem szybko zdemokratyzował, nastała równość i jakby zrównanie obyczajów

w tym sensie, że niższe warstwy zaczęły sobie pozwalać zbytków, dawniej niepraktykowanych. Nadto, dawniej nikt nie zwracał uwagi na to, co się święci u dołu; lada zaś skandal u szczytu nabierał rozgłosu. Ztąd, oraz pod wpływem teorji Jana-Jakóba Rousseau, poszło mniemanie, że na dole króluje cnota, na górze występek. Gdy masy wystąpiły na scenę, przekonano się, że i między ludem występek nie jest rzadkością, lecz wychodząc z założenia poprzedniego o przyrodzonem zdrowiu i cnocie ludu, zwalono winę zepsucia na zły przykład wyższych klas. O tem trzeba pamiętać, mówiąc o obyczajności ostatnich okresów czasu; a także i o tem, że na świecie wszystko kołem się toczy, zło zmienia postać i siedlisko, obyczaje naprzemian psują się i poprawiają pod wpływem niezliczonych czynników. Dwór cesarski dobrym przykładem społeczeństwu nie przyświecał. Nie było w Europie dworu równie gościnnego, uprzejmego, łatwego w obejściu, zabawnego, mniej krępowanego etykietą. Cesarz o to dbał, lubił i umiał przyjmować; cesarzowa czarowała pięknością i wdziękiem; oboje nie przywykli od dzieciństwa do ścisłego przestrzegania form życia dworskiego, zostawiali gościom jak najwięcej swobody. Tłum, choć najlepiej wychowany, jest zawsze tłumem; potrzebuje nad sobą oka bacznego, żeby nie nadużył swobody. Powolność pary cesarskiej taki odniosła skutek, że swoboda wybujała i nieraz przemieniała się w licencję, przekraczającą wszelkie dozwolone granice. Na balach, za firankami, działy się rzeczy bajeczne. Na maskaradach niektóre panie pokazywały się prawie nagie, w trykotach i kusych draperjach. Obok podobnych ekstrawagancyj, stanowiących, naturalnie, wyjątki, obniżył się poziom dobrego tonu i obyczaju. Od wiosny do późnej jesieni dwór przenosił się z zamku do zamku, ciągnąc za sobą ścisłe kółko towarzyskie i serje zaproszonych. Panowała tam

jeszcze większa swoboda, bawiono się doskonale, lecz w sposób nie zawsze właściwy dla głów koronowanych, którym pospolitowanie się nie wychodzi na dobre, niszcząc pomału *nimbus*, bez którego schodzą do rzędu zwykłych śmiertelników. Dobór towarzystwa żeńskiego bywał bardzo rozmaity, różne pustoty dozwolone. Jednego wieczora jednej z pań włożono do łóżka lalkę, udającą Bismarka; cesarzowa z gośćmi czekała na korytarzu, jaki to sprawi efekt. Cesarzowa protegowała literaturę jak najlżejszą; Prosper Mérimée czytywał powiastki, umyślnie komponowane, w których solone pomysły nabierały jeszcze mocniejszego smaku, dzięki wykwintnej formalności; jakie potem wszczynały się pogadanki, nietrudno się domyśleć. O ile takie rzeczy napewno wiedzieć można, wszystkie wieści, krążące w swoim czasie o cesarzowej Eugenji, były czystą potwarzą, ale nierozwaga jej własna dostarczała pozorów do obmowy. Kobieta tak piękna i powabna nie mogła nie zawracać głowy mężczyznom. Przez wrodzoną kokieterję, nieco naśladując Marję-Antoninę, także i na mocy hiszpańskiego obyczaju cesarzowa do pewnego stopnia ośmielała zapędy swoich adoratorów. Między innemi zaczęto się bawić w urządzanie *des cours d'amour*, co upoważniało do prawienia madrygałów i igraszek z ogniem. Ciekawych towarzyskiej kroniki owych czasów odsyłam do korespondencji [1]) Prospera Mérimée, który często wyrzekał na dobór rozrywek na dworze cesarzowej i na wstręt do zajęć nieco poważniejszych. Cesarz, po ożenieniu dosyć długo był rozkochany w żonie; gdy miłość ochłodła, przyszła kolej na miłostki. Prosper Mérimée traktuje tę drażliwą materję w następnych słowach, których prawie niepodobna wiernie oddać po polsku: «*Il a le défaut d'aimer le cotillon plus qu'il n'appartient à un*

[1]) «*Lettres à une Inconnue*». «*Lettres à Mr. Panizzi*».

jeune homme de son âge, et de prendre les femmes pour des anges descendus du ciel... Il se monte la tête pour un chat coiffé et pendant une quinzaine de jours pense au bonheur rêvé» [1]). Sentymenty swoje umieszczał, jak się trafiło, niebardzo dbając o tajemnicę. Z tego wynikały nieporozumienia i sceny małżeńskie, plotki, walające się po bruku paryzkim i roznoszone po całej Europie. Dwór cesarski żył jak w szklanym domu, nic nie uszło ciekawości ludzkiej. W miarę, jak we Francji przybywało malkontentów, jak bladła gwiazda cesarza, rosła złośliwość języków i łakomstwo skandalu. Dworowi cesarskiemu zrobiono reputację otchłani zepsucia i rozpusty. Jad, kropla po kropli, dziurawił płaszcz Cezara; przez dziury przezierał człowiek zwyczajny, jego defekty i małostki.

A przecież Napoleon III mógł umrzeć na tronie, gdyby nie bankructwo jego europejskich spekulacyj.

II.

Po osiągnięciu prezydentury rzeczypospolitej, późniejszy cesarz francuzów w bardzo krótkim czasie zyskał poważanie i przychylność dworów monarchicznych, za poskromienie anarchji we Francji. Strach miał tak wielkie oczy, że mocarstwa północne pogodziły się ze wstrętną im myślą restauracji napoleońskiej; chociaż nie brały dosłownie zapowiedzi: «*L'Empire c'est la paix!*» Wojna wschodnia dała rację tym, co po bonapartyzmie oczekiwali zawikłań i niepokojów w Europie. Podjęta napozór w interesie równowagi europejskiej, ryzykowna i kosztowna, zakończona honorowym odwrotem, bez żadnego trwałego rezultatu, wyszła na

[1]) «*Lettres à M. Panizzi*». Tom II, p. 66.

chwałę Napoleona III. Okrył się magicznym urokiem w obliczu Francji; dowiódł Anglji, do jakiego stopnia może jej być potrzebnym i pożytecznym; rozluźnił węzły potrójnego przymierza i zjednał sobie względy Rosji, wczorajszego i pokonanego przeciwnika. U monarchów wyrobił sobie reputację człowieka, z którym bezpieczniej być dobrze. Między ludami uczynił swe imię popularnem, stało się bowiem wiadomem, że władca Francji zamierza sprostować kartę Europy, dawne krzywdy i niesprawiedliwości naprawiać, kroczyć na czele postępu i liberalizmu. Postęp zaś i liberalizm miały, w przeświadczeniu powszechnem, przynieść każdemu, co jego dusza pragnie i o czem nie marzy.

Napoleon III nie należał do rzędu ludzi, trawionych potężną i gwałtowną ambicją. Zacząwszy karjerę, jak stryj, od podporucznika, byłby zapewne dosłużył się szlif jeneralskich, awansując po starszeństwie. Pretendentem został jako synowiec swego stryja i głowa rodu Bonapartów; nic też lepszego nie miał przed sobą na świecie.

W monarchjach regularnych wychowanie książąt krwi, tem więcej domniemanych następców tronu, ulega stałym prawidłom, dąży do tego, aby wpoić w umysł pewien porządek myśli i wyobrażeń, zazwyczaj jednostronny i ciasny, często niszczący samodzielność charakteru i szlachetność uczuć, lecz zastosowany do rzemiosła, jakie ich czeka. Uczą ich stawiać nad wszystko rację stanu, czyli dobro państwa, pielęgnować ustalone tradycje, związki i dziedziczne widoki, nie zmieniać bez koniecznej potrzeby instytucyj kraju i stosunków międzynarodowych. Z tego posiewu wyrasta nierzadko dużo chwastu, duma, egoizm, ślepe przywiązanie do form przeżytych, nieczułość na cudze krzywdy i cierpienia; ale takie wychowanie miarkuje fantazję, poskramia niewczesne zapędy do przewracania świata do góry nogami.

Młodość Napoleona III odmiennym poszła torem. Ojca prawie nie znał i żył z nim w niezgodzie. Wzrastał pod okiem matki, kobiety zwyczajnej i dla syna pobłażliwej. Nauki pobierał w Niemczech i w Szwajcarji, bez planu, dorywczo. Tradycja napoleońska, za ciężka na barki człowieka codziennej miary, nie dająca się poprostu zastosować, obligowała do niecodziennych czynów. Młode lata księcia przypadły na burzliwą i chaotyczną porę. Nazwisko i dwuznaczna pozycja wystawiały go na nagabywania nowatorów, emigrantów, spiskowców i awanturników. Wszedł, czy też dał się wciągnąć w tajne towarzystwa, nie będące dla nikogo dobrą szkołą. Jakie wówczas przyjął na siebie zobowiązania względem rewolucji powszechnej, o ile te zobowiązania ważyły później na jego postanowieniach — niewiadomo. Pewnem jest, iż pozawierał stosunki dla przyszłego monarchy niewłaściwe, że nabrał nałogów dla siebie samego zgubnych. Przyuczył się mianowicie lekko cenić spokój świata i tego spokoju podstawy i rękojmie: obowiązujące prawa i międzynarodowe traktaty, chodzić krętą drogą i używać skrytych sposobów.

Na tronie uczuł cały ciężar spuścizny po stryju. Porównanie między synowcem i stryjem nasuwało się samo, gwałtem, wrogom i przyjaciołom; pierwsi przepowiadali, że cesarz, chcąc stryja naśladować, zaburzy Europę, okaże się nieudolnym i źle skończy; drudzy, że ustrzeże się błędów stryja, lecz zadziwi świat wielkością pomysłów, dzielnością i umiarkowaniem. Bonaparte, wojownik i zdobywca, był anachronizmem w połowie XIX wieku; Napoleonowi III zbywało zresztą na talentach wojskowych. Bonaparte, monarcha miłujący pokój, kontentujący się odrabianiem codziennych powinności, to znowu wyglądało na abdykację i zaparcie się myśli napoleońskiej. Francja oczekiwała po nowym panu jeżeli nie nadzwyczajnych czynów, to no-

wości i emocyj. Trzeba więc było przykroić płaszcz cesarski wedle wymagań czasu, dążyć do odegrania roli arbitra losów Europy. Rola to niezmiernie trudna, niebezpieczna i zdradliwa, co więcej—złudna. Tytuł arbitra zdobyć można, przy zręczności; być nim istotnie—czystem podobno niepodobieństwem.

Wiek nasz widział raz jeden arbitra w ścisłem znaczeniu słowa: polubownego sędziego i rozjemcę, który godzi spory międzynarodowe, po sprawiedliwości i słuszności; widział go w osobie papieża, rozstrzygającego proces o wyspy Karolińskie między dwoma mocarstwami, które wojny z sobą wszczynać wcale nie myślały. Arbitrem losów Europy mianowany był Napoleon I; ale ten Anglji nigdy nie upokorzył, kontynent gniótł żelazną pięścią, dopóki nie przestał być jego absolutnym panem. Najbliższy Napoleonowi I potęgą i procederami, ks. Bismark, jest czujnym stróżem interesu pruskiego; imponuje Europie olbrzymią siłą zbrojną; kunsztem w spekulacjach politycznych broni z dnia na dzień swoje dzieło od trafunków losu. Prusacy powiadają: «*Wir fürchten nur Gott*», ale pocichu każdy szepcze: «*und sonst noch die Russen*»; i to wielkie szczęście, bo bez tego strachu, najpierw Austrja, potem reszta stałego lądu przemieniłaby się w pruskie koszary.

Napoleon III dostąpił przechodnio zaszczytu noszenia tytułu arbitra losów Europy, w gazetach, w wyobraźni ludów, oczekujących po nim poprawy swego bytu, wreszcie u tych, co go potrafili użyć za narzędzie w przedsięwzięciach szkodliwych dla Francji, zgubnych dla drugiego cesarstwa. Punkt wyjścia wiadomy: dążenie do tego, aby prawo traktatowe zmienić, odnowić, poprawić, pogodzić z życzeniami ludów. Nic piękniejszego, w teorji. W praktyce, pierwszym obowiązkiem monarchy dbać o całość, bezpieczeństwo i dobro własnego kraju, rozporządzać zasobami narodu tak, aby się nie marnowały daremnie i aby ponoszone ofia-

ry nie ściągnęły na naród jakiej klęski. Dążyć do poprawy ogólnych stosunków, nie dopuszczać nowych krzywd i bezprawi, jett powinnością moralną, której dopełnienie ma granice, zakreślone prawidłami tamtego, elementarnego obowiązku. Tem mniej winien się troszczyć radykalną naprawą świata, którego nie zrobił, jakim jest. Naprawa istotna, głęboko sięgająca, nie może dopełnić się bez wielkich wstrząśnień, bez rozlewu krwi i srogich cierpień, a nie może być pewności, że się uda, że nazajutrz nie będzie jeszcze gorzej.

Wszelki *status quo*, gorszy czy lepszy, ma tę zaletę dla rządzących, że przedstawia wartość mniej więcej znaną i stałą, na której łatwiej oprzeć przewidywania i rachuby, bez obawy znacznych pomyłek. Nie wynika z tego, żeby wszystko na świecie stanęło w miejscu i skrzepło; żadna zresztą potęga ludzka nie zdoła powstrzymać przyrodzonego pochodu czasu i rzeczy. Idzie tylko o to, aby ten pochód odbywał się, o ile można, bez gwałtownych skoków, bez przewrotów, okupionych zbyt drogo i wiodących do niewiadomych rezultatów. Na tem polega cała sztuka rządzenia i cała polityka. Do tego celu zmierzają instytucje ludzkie, polityczne i cywilne, tudzież międzynarodowe traktaty.

Dopóki nie będzie kodeksu prawa międzynarodowego i trybunału, przez wszystkich uznanego i szanowanego, ludzkość musi się kontentować łataniną traktatową. Każdy traktat przychodzi do skutku, aby sankcją prawną otoczyć fakty, siłą stworzone, tudzież kompromis między sprzecznemi interesami stron rozlicznych. Sprzeczność interesów i namiętności ludzkie każdemu traktatowi gotują koniec, wcześniejszy lub późniejszy; ale tymczasem, zanim ta ostatnia godzina wybije, traktatowa bibuła ma w sobie moc zbawienną. Człowiek może pracować i spać spokojnie, nie będąc

trapiony widmem wojny. Niespokojne duchy, których nigdy nie braknie ani u dołu, ani u góry, nie znajdują podniety i archimedesowego punktu dla swoich zamysłów. Państwa nie są wystawione na niebezpieczeństwo zaboru, albo restytucji.

Niegdyś, niebardzo dawno, monarchowie i mężowie stanu do przesytu karmili świat zapewnieniami o świętości traktatów. Ile w tem bywało szczerości, ile obłudy, to mniejsza; skutek był dobroczynny: świat nie oglądał się wyłącznie na siłę pięści i nie drżał o jutro. Cesarz francuzów, rzucając hasło naprawy europejskiej i reformy prawa traktatowego, podkopał gwarancje bytu i bezpieczeństwa ogólnego, poruszył namiętności, wzbudził mnóstwo nadziei, u jednych ułudne dreszcze zmartwychwstania, u włochów aspiracje do jedności, u prusaków pożądliwość cudzego dobra.

Napoleon III uchodził za idealistę i robił wiele, aby wywołać złudzenie optyczne w tym właśnie sensie. Po prawdzie, był to ideolog, podszyty flegmatykiem. Na moralne konsyderacje niebardzo czuły, do poświęceń osobistych niekoniecznie skłonny, łudził siebie i świat perspektywą naprawy, nie bez zamiaru czynienia sobie tanim kosztem reklamy. Pod nazwą naprawy kryły się rzeczy, stare jak Europa, handel ziemią i ludnością, dysponowanie cudzem, widoki rozszerzenia własnych posiadłości i pomnożenia swojej klienteli. *La France combat pour les idées*, często powtarzał cesarz, ale w jego rozumieniu propaganda idei musiała Francji przynieść Sabaudję, Nizzę, prowincje nadreńskie. Austrji ofiarował zamianę Wenecji i Lombardji na Mołdawję i Wołoszczyznę. Prusom dawał Hanower i co zechcą w północnych Niemczech. Posiadłościami papieża i innych książąt włoskich rozporządzał na korzyść Piemontu. Stare, przez liberalizm współczesny nielitościwie potępiane praktyki, nosiły tylko na sobie podrobione etykiety z godłami świeżego wynalazku,

zasady narodowości, granic naturalnych, swobodnego głosowania mieszkańców, wreszcie uznania faktów spełnionych, nie będącego niczem innem jak metaforą maksymy: siła przed prawem.

Swoje pomysły, poczęte naprędce, pod natchnieniem reminiscencyj napoleońskich, zamiast donosić do kresu, zamiast przetrawić w głowie, oprzeć na realnej podstawie, wystudjować w szczegółach i do właściwej pory przy sobie zatrzymać, cesarz rozgłaszał przedwcześnie, *in crudo*, bez względu na następstwa. Przy pierwszem zaraz zetknięciu z ks. Ernestem Koburskim i z księciem Albertem angielskim, powierzył im wszystkie swoje projekty. Przystępny dla wszystkich, musiał najrozmaitszym ludziom o tych samych projektach wspominać, w sposób także ogólnikowy, pozwalający mniemać, że cesarz ma stałe postanowienia i plany gotowe, z któremi nie chce się zdradzać; pozwalający prócz tego przypisywać cesarzowi zamiary i widoki, przez fantazję interesowanych słuchaczy spłodzone. Tymczasem cesarz ani stałych postanowień, ani planów nie miał. Snuły mu się po głowie mgły, których ani rozpędzić, ani uchwycić i, skondensować nie próbował. Leżało to w naturze człowieka, dużo bruździł nałóg próżniactwa. Rządzić osobiście takim krajem jak Francja, prowadzić samemu zagraniczną politykę na rozległą skalę, podołać niezliczonym obowiązkom monarszego rzemiosła—to nie bagatela. Trzeba najpierw zdrowia, potem żelaznej pracowitości i pilności; trzeba umieć rozporządzać czasem i nie pofolgować sobie ani na minutę, bo co się odwlecze, to i uciecze. Napoleon III, nie lubiąc fałdów przysiedzieć, ratował się na różne sposoby. Załatwianie bieżących spraw pozostawiał całkowicie ministrom i w szczegóły jak najmniej wchodził. Przed ks. Albertem sam się przyznał, że nie czytuje depesz dyplomatycznych, bo go to nudzi. Sobie zachował impuls w polityce wewnętrznej i

zagranicznej, solenne oznajmianie przedsięwziętych ewolucyj, pod postacią mów tronowych, okolicznościowych przemówień, listów otwartych; kierunek opinji publicznej, którą obrabiał za pośrednictwem dzienników i broszur; w końcu, osobistą dyplomację. Poświęcał wiele czasu na reprezentację, w Paryżu pokazywał się jak najwięcej publicznie, interesował literaturą i sztuką; zacząwszy pisać «Życie Cezara», z upodobaniem zajmował się starożytnościami. Będąc sam, siedział godzinami w fotelu, palił papierosy z Marylandu i dumał. Nie trzeba być uczonym psychologiem, żeby odgadnąć o czem dumał. Przesuwały mu się, jak chińskie cienie, karty przyszłej Europy i powiększonej Francji, domowe i zagraniczne kłopoty, troski o los dynastji, *les chats coiffés* i różne różności. W papierach, znalezionych w Tuileries po 4 września 1870 r., nie widać, żeby był używał prostego a niezbędnego środka wyklarowania i ustalenia myśli: notat i memorjałów do własnego użytku, przynajmniej dla przyjścia w pomoc pamięci. Mgły przeto pozostawały mgłami. Rozległe koncepcje polityczne, ledwie zalęgnięte, cesarz konserwował w swoim mózgu, jak w spirytusie.

Pierwsze kroki w kwestji wschodniej Napoleon III stawiał, wiedziony instynktem, że należy mu wyprowadzić Francję i siebie z odosobnienia, szukać aljansów i punktów zetknięcia z mocarstwami i dworami, zdobyć dla drugiego cesarstwa uznanie jawne, w obliczu świata i w biały dzień stwierdzone. Sprawę miejsc świętych użył bardzo zręcznie za punkt wyjścia swoich operacyj i czekał, co dalej wyniknie. Skoro Anglja wmieszała się w spór między Rosją i Portą, przewodnictwo ustąpił gabinetowi londyńskiemu, szedł za nim ślad w ślad, uprzedzał jego życzenia, przystał na wylądowanie w Krymie i oblężenie Sewastopola, wiedząc doskonale, że dla Francji ruskie arsenały i okręty na morzu Czarnem są obojętne. W najświetniejszem i

z wielu względów najzyskowniejszem z przedsięwzięć swoich, cesarz francuzów okazał się jedynie szczęśliwym graczem. W późniejszych przedsięwzięciach inicjatywa działania przychodziła z zewnątrz; cesarza kusili i wciągali ludzie, bezpośrednio w tem interesowani, albo wyprowadzały z nieczynności wypadki, najczęściej wywołane wskutek rozpowszechnienia dążeń napoleońskich i biegiem polityki cesarskiej.

Zapowiedź przerabiania karty europejskiej wabiła nad Sekwanę ambitne i niespokojne duchy. Przystępność cesarza, konspiratorskie nałogi, w późniejszych czasach zwyczaj ustalony załatwiania najważniejszych i najdrażliwszych interesów wprost z cesarzem, w cztery oczy, z pominięciem urzędowej dyplomacji, niezmiernie ułatwiały robotę kusicielom. Jednemi drzwiami wychodzili z gabinetu cesarskiego ambasadorowie wielkich mocarstw, drugiemi wsuwali się tajni agenci rządów i naczelnicy emigracji. Dosłownej prawdy nigdy się nie dowiemy, bo mury słuchu i mowy nie mają; cesarz sam nic nie notował, często zaś milczał i udawał sfinksa; jego interlokutorowie nie zawsze mogli zapamiętać wszystko, nieraz woleli odrobinę przy sobie zachować, albo, gdy sfinks ust nie otworzył, ograniczyć się musieli do przypuszczeń i własnych domysłów i wrażeń. To pewna, że cesarz każdego wysłuchał cierpliwie, rzadko kogo odprawił bez zachęty, mniej więcej wyraźnej, nie dawszy przynajmniej poznać, że wszelkie widoki podziela i w polityce niemal wszystko możliwem sądzi. Jednem słowem, robił co mógł, żeby bliźniego w błąd wprowadzić i siebie uwikłać w dwuznaczne sytuacje; a to nie przez obłudę, ani wyrafinowany machjawelizm, tylko dlatego, że sam nie miał stałych postanowień, określonych zamiarów i planów; nadto, wierzył w swoją gwiazdę i był przekonany, że ona go nieodmiennie zaprowadzi do bezpiecznej przystani. W bardzo drażliwych chwilach, kiedy musiałby

był zasmucić jakiego klienta odmową. czy złą wieścią, lub gdy sam już nie wiedział, jak się wyplątać z gmatwaniny, zamykał swoje drzwi, albo słuchał i milczał. Opuszczał wtedy powieki, twarz robiła się nieruchoma, martwa; na scenę występował sfinks.

Tajemnicę sfinksa pierwszy przeniknął Cavour i swój sekret testamentem przekazał Włochom, którzy przewodnią myśl mistrza zamienili w metodę i upowszechnili w Europie. Bismark sam jeden potrafił odkrycie Cavoura całkowicie zużytkować, przedziwnie stosując takowe do czasu i miejsca. Takich, co Cavoura i Włochów chcieli, ale nie umieli kopjować, liczono na tuziny i na setki. Wszyscy razem, tylko w różnym stopniu, przyłożyli się do upadku cesarza.

III.

Z całych dziejów drugiego cesarstwa, najlepiej jest dotąd wyświecone postępowanie Napoleona III w sprawach włoskich. Włosi, oprócz prac historycznych, ogłosili mnóstwo dokumentów, pamiętników i listów, przedstawiających rzeczy z ich własnego stanowiska, przyczem widać chęć umniejszenia udziału i zasługi cesarza francuzów w dziele zjednoczenia Włoch. Z francuzkich źródeł na szczególną uwagę zasługuje korespondencja Prospera Mérimée z Antonim Panizzi [1]), tudzież świeżo wydana dwutomowa korespondencja poufna między p. Thouvenel i ks. Gramont [2]).

Prosper Mérimée zajmował na dworze cesarskim pozycję wyjątkową, jedyną w swoim rodzaju, którą zawdzięczał szczególnemu zbiegowi okoliczności, tudzież

---

[1]) «*Lettres à M. Panizzi*». 1850—1870. Paris, 1881.
[2]) «*Le Secret de l'Empereur*». Paris, 1889.

niepospolitym i oryginalnym własnościom swego charakteru. Urodzony w r. 1803, utalentowany, dosyć majętny, z upodobania oddał się literaturze. Pierwszy zaraz występ zjednał mu rozgłos niezwykły, a ten występ był olbrzymią mistyfikacją. Wydał mianowicie pod tytułem: «*Le théâtre de Clara Gazul, comédienne espagnole*», zbiór swoich własnych utworów; nieco zaś później, swego wynalazku zbiór pieśni ludowych dalmackich Hjacynta Maglanowicza, zatytułowany: «*Guzla*». Szkoła romantyczna francuzka, będąca w zawiązku, wzięła jedno i drugie za dobrą monetę; Niemcy podobno z zapałem tłómaczyli «*Guzlę*». Ile tam było erudycji i kolorytu lokalnego, wnosić można z późniejszych prób, w których Mérimée, pod formą powiastek i historycznych szkiców, traktował tematy hiszpańskie, litewskie, ukraińskie, ruskie. Do końca życia bowiem zachował gust do tego, co francuzi egzotyzmem nazywali, i także do mistyfikowania bliźniego. Należał do szczupłej liczby współczesnych francuzów, dla których świat nie kończył się u granic Francji i u których rachuba czasu nie zaczynała się od wybuchu pierwszej rewolucji. Biegły humanista, nauczył się po włosku, po hiszpańsku, po angielsku, trochę po rusku; znał lepiej od swoich rodaków obce literatury i wogóle niezmiernie wiele czytywał. Dużo podróżując, zaglądał tam, gdzie noga francuzka rzadko postała, w góry bawarskie i tyrolskie, do Pragi i Pesztu, do małych miasteczek włoskich. Hiszpanję poznał od salonów do szatr cygańskich, przestawał z pastuchami i kontrabandzistami. Miłował się w sztuce, w archeologji, w szperaniu po archiwach, w wynajdywaniu nowości i oryginalności. Z wrodzonego pociągu sybaryta i smakosz, wszystko traktował po dyletancku i we wszystkiem szukał osłody życia. Ciekawy z natury, obdarzony darem obserwacji, zmysłem krytycznym i dobrą pamięcią, zebrał niezwykły zasób najrozmaitszych

wiadomości i tem zwłaszcza odróżniał się między swoimi. Inną oryginalność jego stanowiło to, że nie należał do żadnej partji politycznej, jak Taine: ani do legitymistów, ani do orleanistów, ani do republikanów, ani do bonapartystów; nienawidził tylko wszelkiego nieporządku, zatem wszelkich rewolucyj — i klerykalizmu. W początkach monarchji lipcowej, przesłużywszy kilka miesięcy w biurach ministerjalnych, został inspektorem pomników historycznych, w r. 1844 członkiem akademji. Rewolucja lutowa pozbawiła go urzędu; za Orleanami nie płakał i z republiką gotów się był pogodzić, byle była porządna, i to od pierwszego dnia. «Zaczynam się oswajać z najdziwniejszą z rzeczy i z dziwną postacią zwycięzców, którzy, co jeszcze dziwniejsza, sprawują się, jak na gentlemanów przystoi; widać teraz gwałtowne dążenie do porządku; jeśli tak dalej przyjdzie, gotówem przystać do republikanów» [1]). Dni czerwcowe wyleczyły go z iluzyj republikańskich: «*Au milieu de la douleur que j'éprouve, je sens par-dessus tout la bêtise de cette nation. Elle est sans égale. Je ne sais s'il sera jamais possible de la détourner de la barbarie sauvage où elle a tant de propension à se vautrer*» [2]). I stawiał taki horoskop Francji: «Przez jakie pół wieku może będziemy się doskonalili, jedni w robieniu, drudzy w wywracaniu barykad» [3]). O prezydenturze księcia Ludwika-Napoleona zaledwie wspomina w «Listach do Nieznajomej». W dzień zamachu stanu pisze: «To ostatnia bitwa; jeżeli ją prezydent przegra, przyjdzie Ledru-Rollin»; a nazajutrz wzdycha: «*Nous voguons vers l'inconnu!*» Potem w korespondencji następuje znaczna przerwa, w trakcie której wypadło

[1]) «*Lettres à une Inconnue*». 26 lutego 1848.
[2]) L. c. 27 czerwca.
[3]) L. c. 19 lipca.

ogłoszenie cesarstwa i małżeństwo Napoleona III z Eugenją de Teba.

Hrabinę Montijo, matkę przyszłej cesarzowej francuzów, Mérimée poznał, kiedy ta ostatnia liczyła lat dwa. Nieco później spotkano go w Paryżu, na bulwarach, prowadzącego za rękę kilkoletnią dziewczynkę na ciastka do cukierni; była to hrabianka Teba. Upłynęło dużo wody, Mérimée wszedł w zażyłość z panią Montijo, dziewczynka wyrosła na piękną pannę i zasiadła na tronie francuzkim. Stary przyjaciel matki i stary znajomy córki wciągnięty został do najpoufniejszego kółka pary cesarskiej. Bawił cesarzowę, pomagał urządzać teatry amatorskie, układał szarady; cesarzowi dostarczał materjałów do «Życia Cezara». Dla siebie o nic nigdy nie prosił; prócz senatorstwa, nic od cesarstwa nie zyskał; mienie pomnożył piórem, które we Francji znaczne przynosi dochody. Nie zrobił się ani dworakiem, ani bonapartystą w ścisłem znaczeniu, tylko osobistym zwolennikiem cesarza i cesarstwa, po za czem nic lepszego dla Francji nie widział. Nie uszły jego oka ułomności i pomyłki cesarza, wcześniej od wielu spostrzegł chwianie się opinji publicznej i upadek uroku Francji napoleońskiej w Europie. Przed cesarzem nie ukrywał swego zdania, cesarzowej mówił ostre prawdy; zresztą trzymał się zdala od polityki, stając zwykle po stronie liberalnego odcienia imperjalistów.

Sprawę Włoch wziął do serca, jako przedsięwzięcie cesarza; sprzyjał Wiktorowi-Emanuelowi i Cavourowi, których cesarz skrycie i otwarcie protegował. Mazziniego nie cierpiał, jako rewolucjonistę z profesji; przez wstręt do wszelkich nieporządków, nie pochwalał również wypraw Garibaldiego, ściągających w dodatku na Francję kłopoty. W zasadzie nie miał nic przeciwko wypędzeniu książąt włoskich, szczególnie przeciw wyzuciu papieża z władzy świeckiej i nawet

z duchownej. Będąc nieodrodnem dzieckiem wielkiej rewolucji, nie mógł się pozbyć przesądów, uprzedzeń i nerwowej drażliwości, ile razy szło o tak zwane średniowieczne resztki; średnie wieki lubił tylko jako kopalnię studjów obyczajowych i rysów przewrotności ludzkiej. Przekonania i opinje religijne własne fundował na pojęciach końca XVIII wieku; kierując się tem, co francuzi zwą *l'humeur voltairienne*, nie tyle negował wprost, ile wątpił, wszystko nicował rozumem i sceptycznym dowcipem, zbywał drwinkami. Nie utonąwszy całkiem w materjalizmie, nie zdołał stworzyć sobie opinji o tem, co się stanie z człowiekiem po śmierci. Krewni i znajomi wymierali, ale nikt nie wrócił z tamtego świata, żeby opowiedzieć, co tam słychać. Niepewność go dręczyła. Tymczasem, papież i księża ciągle powtarzali, że człowieka czeka po za grobem ścisły obrachunek i sąd, a za pewne sprawki czyściec albo piekło. Czując się niezupełnie w porządku, Mérimée okropnie im to miał za złe i radby był zamknąć im usta. W tem tkwiło źródło jego nienawiści do klerykalizmu, popieranej i podsycanej teorjami i dążeniami czasu. Pierwotne wyobrażenia o papieztwie i rządzie papiezkim zaczerpnął z pism Stendhala, zawziętego ich wroga i pamflecisty. Stendhal, niegdyś konsul francuzki w Civitta-Vecchia, pozostawił w manuskrypcie wyciągi z archiwów watykańskich, pełne skandalicznych awantur, wydarzonych na dworach włoskich. Takiemu amatorowi skandalów i tłustych anegdot, jak Mérimée, ślinka szła do ust na samą myśl, ile to skarbów podobnych znalazłoby się jeszcze w Watykanie, zamkniętym wówczas na cztery spusty dla niedyskretnych szperaczy. Gorąco więc pragnął upadku władzy świeckiej i duchownej papieża, aby poskromić straszenie ludzi piekłem, obalić rząd, będący anachronizmem i skazą XIX wieku, a w końcu dostać się do archiwów w Watykanie.

Manuskrypt Stendhala przyczynił się pośrednio do tego, że Mérimée począł bliżej trudnić się polityką. Siostra Stendhala chciała spieniężyć pracę brata; Mérimée, bardzo usłużny, zaproponował kupno dyrekcji British-Museum, gdzie konserwatorem druków był pod ten czas włoch, nazwiskiem Panizzi. Tak zawiązała się korespondencja, z początku rzadka, od r. 1858 bardzo częsta i żywa, trwająca do upadku cesarstwa, który Mérimée przeżył zaledwie o kilka tygodni.

Antonio Panizzi urodził się w r. 1797, w Modeńskiem. Skompromitowany w ruchach rewolucyjnych neapolitańskich i turyńskich około 1820 r., skazany na śmierć, schronił się do Szwajcarji, a wskutek reklamacji Austrji, do Anglji. W Liverpool przez lat kilka żył z lekcyj, aż w r. 1828 dano mu katedrę języka i literatury włoskiej w uniwersytecie londyńskim. Później nieco został adjunktem konserwatora druków w muzeum brytańskiem, wyszedł na znakomitego bibljografa, zreformował i przyprowadził do świetnego stanu bibljotekę zakładu, zajął posadę naczelnego administratora muzeum, oraz niepoślednie stanowisko w towarzystwie angielskiem. Umarł w r. 1879, kawalerem orderu Łaźni i senatorem włoskim; do śmierci mieszkał w Londynie, rzadko zaglądając do ojczyzny.

Stosunki z patrjotami włoskimi z jednej, stosunki z ludźmi politycznymi w Anglji i osobista przyjaźń z Gladstonem z drugiej strony, wykierowały Panizziego na rodzaj tajnego agenta, albo, jeżeli chcemy, dobrowolnego pośrednika między dwoma rządami i narodami. Rolę swą spełniał, o ile wiadomo, z przekonania i z zamiłowania, przenosząc wygodne i zgodne z gustami stanowisko w Anglji nad karjerę w ojczyźnie, gdzie mu nieraz ofiarowano teki ministerjalne. Zjednanie sobie takiego człowieka Napoleon III uznał bardzo pożytecznem, aby przezeń na dwóch partnerów, anglika i włocha, wpływać nieznacznie.

Obaj starzy kawalerowie, sybaryci, smakosze, zawołani bibljofile, Panizzi i Mérimée mieli wspólne upodobania, wspólną namiętność do anegdot i plotek. Panizzi, jeszcze większy wygodniś, ciężki, bardzo dbały o swoją swobodę, nienawidził przymusu dworskiego. Mérimée dopomagał parze cesarskiej do skaptowania włocha. Ile razy włoch pojawił się w Paryżu, wiózł go do Tuileries, albo do Saint-Cloud, na śniadanie, na obiad, w jak najmniejszem kółku; wabił do Biarritz na dłuższy pobyt w willi cesarskiej, gdzie go karmiono, pojono, głaskano na wszelkie sposoby. Korespondując z nim, Mérimée służył cesarzowi za gatunek telefonu, ale inteligentnego i zachowującego niezależność bystrego sądu. Gdy cesarz pragnął, aby cokolwiek doszło ministrów angielskich, czy też włochów, rzucał słówko, które Mérimée w lot chwytał i podawał dalej, opatrzone swoim komentarzem. Najczęściej opisywał swoje własne spostrzeżenia i wrażenia, z przydatkiem bieżącej kroniki politycznej i dworskiej, skandalików i anegdot, opowiedzianych, jak on to umiał robić. Z dwoma tomami tych listów, historja liczyć się będzie musiała. Czem więcej się oddalamy od epoki drugiego cesarstwa, tem więcej wagi one nabierać będą, jako momentalne zdjęcia fotograficzne ludzi i rzeczy owego czasu.

Książka p. t. «*Le Secret de l'Empereur*» zawiera prywatną korespondencję ministra spraw zagranicznych Thouvenela z ks. Gramont, ambasadorem francuzkim przy stolicy apostolskiej, oraz z hr. de Flahault, ambasadorem w Londynie, z lat 1860 — 1863. Listy do tego ostatniego adresowane, nie przedstawiają prawie żadnego interesu. Listy między poprzedniemi wymienione, są ciekawe i ważne. O sam tytuł—podsunięty głośną pracą ks. de Broglie: «*Le Secret du Roi*», o tajemnej dyplomacji Ludwika XV — możnaby się spierać z wydawcą. Napoleon III miał swoją sekretną dyplo-

mację, którą sam osobiście robił; sekret jego polityki tkwił bez żadnej kwestji w tem, że gdy mu się jaka spekulacja nie powiodła, puszczał resztę na flukty wypadków, których nie był panem, ulegał niby konieczności, a zwłaszcza woli ludzi, od siebie zręczniejszych i śmielszych. W takich razach interwenjował osobiście i najprzód tajemnie, stawiając w najprzykrzejszem położeniu ministra spraw zagranicznych i ambasadorów, reprezentujących zupełnie inny kierunek. Ks. Gramont, uwierzytelniony przy papieżu, częściej i dotkliwiej od innych, odczuwał skutki krytych sztychów cesarza. W poufnych listach do swego zwierzchnika, oprócz częstych żalów i wyrzekań, zostawił obraz synoptyczny wszystkich kunsztów, jakiemi cesarz francuzów usiłował rozwiązać kwestję rzymską i zadowolnić pożądliwość włochów na Rzym.

IV.

Cesarz francuzów, od rozpoczęcia wojny wschodniej, w rozmowach z rozmaitymi ludźmi wspominał o zamiarach swoich i uwolnienia Włoch od panowania austrjackiego.

Napoleon III zraził i zaniepokoił cesarza Franciszka-Józefa wzmianką o zamianie Lombardji i Wenecji na Mołdawję i Wołoszczyznę, tudzież rozpowiadaniem, że bezrząd austrjacki we Włoszech powinien raz ustać; potem zaś żądał od Austrji, aby przyłożyła ręki do «naprawy Europy». A dla Austrji, naprawa Europy zapowiadała oderwanie włoskich prowincyj i Węgier.

Perspektywy podobnej mógł nie brać w rachubę ideolog i gracz, siedzący na tronie francuzkim; liczyła się z nią natomiast polityka dworu wiedeńskiego, z nałogu podejrzliwa, pełna wówczas nie-

ufności ku Francji, nader ostrożna i bojaźliwa w stosunku do Rosji. Rosja była Austrji potrzebną i pożyteczną, raz wobec rewolucji powszechnej, drugi raz wobec Francji, zawsze wątpliwej, brała stronę Austrji w rzeszy niemieckiej. Jedyny punkt drażliwy w stosunkach między dwoma mocarstwami, stanowiła Turcja. Ile razy Rosja zaczepiła Portę, gabinet wiedeński czuł się zaniepokojonym, wystawiał korpusy obserwacyjne, zbliżał się do Anglji, tamował swobodę ruchów ruskich i na tem poprzestawał. Wobec ostatnich planów cesarza Mikołaja na Turcję, powtórzyła się w Wiedniu taż sama historja; zagrały przytem rozmaite namiętności; do tego przyłączyła się fałszywa ocena sił stron wojujących. Siłe odporną turków szacowano zbyt nizko, potęgę Mikołaja nazbyt wysoko. Tymczasem, zamiast wdawać się w demonstracje militarne, które pochłonęły tyle ludzi i pieniędzy, co wielka wojna, dość było cicho siedzieć i piłowanie pazurów Rosji zostawić turkom, francuzom i anglikom, zwłaszcza, że Austrja dążyła jedynie do przedłużenia żywota Porty i do żadnych nabytków dla siebie nie pretendowała. Ferwor gabinetu wiedeńskiego zwiódł cesarza francuzów, który sobie wystawiał, że Austrja tylko czeka sposobności i zachęty, aby się rzucić na Rosję. Do tego było niezmiernie daleko. Austrjacy, pamiętni losu Napoleona I, nie mieli najmniejszej ochoty zapuszczać się głęboko w stronę Dniepru i Dźwiny, ani też przyprowadzać Rosji do ostateczności i robić sobie z niej nieprzebłaganego wroga, do czego nieomylnym środkiem było proponowane przez cesarza francuzów podjęcie kwestji polskiej.

W mojem osobistem przekonaniu Napoleon III naprawdę Polską wtedy się nie zajmował; rzucił swój projekt na wiatr, przewidując niepowodzenie i niewiele się o niego troszczył. Był to poprostu manewr, podyktowany polityką wewnętrzną, oraz

pociągnięcie na szachownicy europejskiej, mające głównie na celu Petersburg, aby dać poznać Rosji, że przychylność Francji zabezpieczy ją od widma Polski. Skutek okazał się zaraz na kongresie paryzkim; o Polsce wspomniano na to tylko, aby oznajmić światu, że sprawa jest załatwioną między Francją a Rosją. Że cesarz pragnął zbliżyć się do Rosji, to rzecz prosta. Przymierze angielskie *ad hoc* stworzone, nie miało racji bytu i przedmiotu; Anglja nie przypuszczała zmiany karty europejskiej i obowiązujących traktatów. Rosję łatwiej było kupić usługami na Wschodzie i wciągnąć w przeróżne kombinacje, szczególniej takie, przy których Rosja mogła odpłacić Austrji pięknem za nadobne.

Wykładając swoją politykę ambasadorowi angielskiemu, cesarz francuzów mówił: «Austrja mnie zawiodła i opuściła, zająłem się przeto poprawą losu Włoch i w tym celu zbliżyłem do Rosji». Kiedy te słowa były wyrzeczone, «los Włoch» stał już na porządku dziennym. Kto go tam postawił, to inna materja.

Cesarz spędził część młodych lat we Włoszech, pobratał się i spiskował z patrjotami, może im służbę zaprzysiągł; w każdym razie wyniósł z tej pory wrażenia i sympatje, odzywające się w całem jego życiu. We Włoszech, od wieków Francja walczyła z Austrją o wpływ i znaczenie. Troszcząc się przeto o tak zwaną poprawę losu Włoch, cesarz czynił zadość własnym skłonnościom, kontynuował tradycje polityki francuzkiej, w końcu odpowiadał wymaganiom roli reformatora Europy i opiekuna uciśnionych ludów.

Poprawa losu Włoch, była to formułka bardzo elastyczna. Pozostawało jeszcze określić, co się stanie z terytorjum Austrji odebranem, jak wyglądać będą Włochy nazajutrz po wypędzeniu austrjaków, których obecność w Medjolanie i w czworoboku fortec stano-

wiła główną podporę i rękojmię istniejącego porządku rzeczy na półwyspie. Co do tego punktu, każda strona miała inne widoki. Patrjoci włoscy dążyli do absorbcji Włoch przez Piemont. Cesarz jedności włoskiej nie przypuszczał. Wspominając o poprawie losu Włoch, ograniczał się do ogólników; jedno tylko ciągle wracało, bezrząd i ucisk austrjacki, argument żywcem pożyczony u włochów. Jednocześnie cesarz chwalił administrację austrjacką w Galicji, co zdaje się świadczyć, że o prawdziwym stanie rzeczy na miejscu musiał mieć bardzo niedokładne pojęcia. Jeżeli gdzie wolno było mówić o ucisku i bezrządzie, to właśnie w Galicji; prowincje włoskie były bezporównania lepiej rządzone, ucisk zaś, o ile istniał, był następstwem knowań rewolucyjnych, szerzonych przez patrjotów włoskich na współkę z rządem sardyńskim. Skargi na administrację austrjacką mogły być używane jako pretekst do interwencji, lecz faktem jest, że cesarz o przyszłej postaci Włoch milczał uparcie, a przebieg wypadków wnosić dozwala, iż Cavour podrzucił cesarzowi własne dziecko, które Napoleon III zaadoptował i pielęgnował, aż przybranego ojca zrujnowało.

V.

Podczas wojny wschodniej, Cavour, wiedziony czy przenikliwym wzrokiem, czy też instynktem szczęśliwego gracza, przystąpił do zachodniego przymierza i połowę armji sardyńskiej wysłał do Krymu na własną odpowiedzialność, nie otrzymawszy od sprzymierzeńców żadnych zobowiązań, ani przyrzeczeń na korzyść Piemontu. W nawiasie dodać trzeba, że mu Austrja niesłychanie ten manewr ułatwiła, stając po stronie Francji i Anglji, tudzież wdając się w demonstracje militarne, wymierzone przeciwko Rosji. Wobec Austrji

neutralnej i zachowującej swobodę ruchów, Cavour nigdyby nie był śmiał rzucać tak znacznej siły zbrojnej na drugi koniec Europy. Tak zaś Austrja była materjalnie i moralnie związaną, Piemont nie bał się napaści, Cavour mógł bezpiecznie swoje sieci zarzucać. Przystąpienie Piemontu do koalicji, w której Austrja brała udział, nie podobało się izbom turyńskim; minister spraw zagranicznych, Dabormida, ustąpił z gabinetu, nie chcąc przykładać ręki do tak ryzykownego przedsięwzięcia. Cavour niczem się nie zrażał. Opór parlamentu przełamał prośbą, groźbą, udawaniem, że ma w kieszeni zapewnione zyski, choć, po prawdzie, nie miał nic. Sprzymierzeńcy zrazu nie chcieli przypuścić Piemontu do wszystkich obrad kongresu paryzkiego; Massimo d'Azeglio, mianowany pełnomocnikiem sardyńskim, złożył z tego pełnomocnictwo. Wtedy Cavour pojechał osobiście do Paryża i postawiwszy na swojem, zasiadł pomiędzy reprezentantami wielkich mocarstw, narówni z pełnomocnikami Austrji, o co mu najbardziej chodziło. Znalazł także sposób wprowadzenia na stół kwestji włoskiej. Udał się mianowicie do lorda Clarendon z prośbą, aby od siebie postawił wniosek, wzywający monarchów włoskich do udzielenia amnestji skazańcom politycznym. Kongres podobnego kroku uczynić nie mógł, lecz anglicy lubią się bawić w humanitaryzm cudzym kosztem i robią to z miedzianem czołem. Lord Clarendon ujął się za patrjotami włoskimi, jęczącymi w więzieniach neapolitańskich i rzymskich, jak gdyby anglicy nie mieli na sumieniu takich samych i gorszych sprawek w Indjach i w Irlandji. Wynikła ztąd gwałtowna sprzeczka między pełnomocnikiem austrjackim a angielskim, przyczem wyszło na jaw zupełne odosobnienie Austrji, której nikt nie pospieszył z sukursem. Cavour tylko tego pragnął. Podczas pobytu w Paryżu nie zaniedbał wysondować Napoleona III; o ile dotąd wiadomo, obietnic wyraź-

nych nie otrzymał i mógł jedynie zmiarkować, że cesarz chętnie pozwoli się zgwałcić w pewnych okolicznościach. Szło mu jeszcze mocno o wybadanie anglików do dna. Lorda Clarendon nastraszył wojną na noże między Piemontem a Austrją. Anglik miał odrzec, czego się potem zaparł, że i w jego przekonaniu do wojny przyjść musi, tylko o tem nie czas jeszcze głośno gadać; oraz, że Piemont może liczyć na pomoc Anglji, która zadziwi włochów swoją energją. Ostrożny włoch, w porozumieniu z cesarzem francuzów, podążył do Londynu, aby się na miejscu przekonać, ile w tych obietnicach może być prawdy. Palmerston oblał go wiadrem zimnej wody, radząc ostrożność w igraszkach z pokojem Europy.

W biografjach Cavoura często czyta się o ciężkich walkach, toczących się w jego duszy. Dusza to była gorąca i namiętna, lecz organizm nadzwyczaj elastyczny musiał mu te walki czynić lżejszemi, niż niesie legenda. Bądź co bądź rzucił się w grę nader hazardowną. Od powrotu do Turynu, nie tracąc chwili, podjął uzbrojenia wojenne, tudzież kampanję dyplomatyczną i prasową na temat ucisku austrjackiego, burbońskiego i papiezkiego. Jedno nie mogło być dlań wątpliwem, że Piemont sam Austrji nie da rady. Co się tyczyło Anglji, mógł liczyć zaledwie na to, że przeszkadzać nie będzie. Najsilniejszą kartę w grze stanowiła nadzieja, że cesarza francuzów on, Cavour, skusi i za sobą pociągnie.

Współcześni pamiętają, jaki sukces odniosły w Europie powieści o bezprzykładnym ucisku, który miał gnębić Włochy wszędzie, z wyjątkiem Piemontu, gdzie królowała złota wolność. Stronnicy owych rządów okrutnych twierdzili wprost przeciwnie, ale im wiary nie dawano. Prawda leży gdzieś bardzo głęboko, przygnieciona mnóstwem wymysłów i egzageracyj. O Lombardji i Wenecji mamy zeznanie klasycz-

nego świadka, jenerała La Marmora: «Jarzmo Austrji nie było tak twardem, tak okrutnem, jak to wszyscyśmy głosili, z większą lub mniejszą przesadą» [1]). Włochów obrażało obce panowanie, Piemont pożądał nabytku i występował jako naturalny spadkobierca Austrji. Toskanja, Modena, Parma, kraje kwitnące cywilizacją i kulturą, nie wyrzekały na swój los i na swoje rządy. Zachodziło tam co innego, pokrewieństwo dynastyj panujących z domem austrjackim, oraz traktaty z Austrją, mocą których Austrja posiadała prawo interwencji w razie wybuchu ruchów rewolucyjnych. Rząd sardyński upatrywał w owych traktatach groźbę dla siebie, w dynastjach swoich wrogów naturalnych, w ich posiadłościach zaś dobrą zdobycz. W Rzymie i w Neapolu działo się niezupełnie dobrze, ale każde społeczeństwo, nie rządzone przez obcych, ma niezawodnie rząd, na jaki go stać, więc na jaki zasługuje. Na tronie papiezkim od niepamiętnych czasów siedzieli włosi; na tronie neapolitańskim od półtora wieku dynastja burbońska, lecz zwłoszona, zżyta z narodem, nawet *zlazzaronizowana*, lubiąca makaron, Pulcinella, *dolce far niente*, wszystek obyczaj miejscowy. Ani Pius IX, ani Ferdynand neapolitański nie naprowadzili cudzoziemców; obydwaj rządzili przez rodowitych włochów. Teokracja w Rzymie zasadzała się na tem, że sutanna była pierwszą kwalifikacją do urzędu. Rodzice obierali dla dzieci stan duchowny, aby im zapewnić chleb i karjerę, zbyt często może nie pytając o powołanie; lecz ksiądz bez powołania mógł zostać dobrym urzędnikiem, urzędnik zaś nieraz nosił sutannę, nie przyjąwszy święceń kapłańskich. Natomiast wychowanie w zakładach duchownych było staranniejsze, naprawiało niejedną wadę, wyniesioną z rodzin-

[1]) A. La Marmora: «*Un peu plus de lumière*». (Paris, 1874, p. 347).

nego ogniska. W Neapolu, wedle naszych wyobrażeń, niezaprzeczenie panował nieład; morderstwa, przekupstwa były zwykłem zjawiskiem, bo społeczeństwo było złe i zepsute. Włoch południowy zachował we krwi dzikość i pogańskie pierwiastki, a w Rzymie, jako tradycję polityczną, wieczną wojnę z papieztwem. Rzymianin szczycił się papieztwem, dbał niezmiernie o obecność w Rzymie papieża, ale go prześladował bez miłosierdzia; gdy zaś papież z musu Rzym opuszczał, nazywał go zdrajcą. Liberalizm włoski przypisuje dotąd wszystko złe, pojawiające się w południowych Włoszech, obskurantyzmowi, szerzonemu niegdyś przez dawne rządy, nie chcąc pamiętać, jak już długo sam gospodaruje, bez widocznego skutku. Wszędzie na świecie zawiodły nadzieje, budowane na sztucznem szerzeniu oświaty z urzędu; doświadczenie pokazało, że przymus szkolny ani moralności, ani obyczajów sam nie naprawia; nawet gadka o Schulmeistrze pruskim, co zwyciężył pod Sadową, poszła między bajki, faktem jest bowiem, iż zaledwie 19% żołnierzy pruskich czytać umiało. Rząd papiezki nie napędzał dzieci gwałtem do szkoły; chętnym naukę ułatwiał, bezpłatną, zgodną z własną naturą; do więcej nie był obowiązany. W Neapolu ludzie gardzili ziemską mądrością, więc im pozwalano żyć wedle gustu. Prawodawstwo, administracja, cały system rządu tu i tam odpowiadał pojęciom, obyczajom i przyzwyczajeniom ludności, innym, aniżeli w Turynie i w Paryżu, zkąd dzień w dzień rozlegał się po Europie okrzyk: «Patrzcie, jakie tam barbarzyństwo panuje!» Tymczasem, między tysiącami rzekomych ofiar barbarzyństwa trudno przychodziło wynaleźć jednego człowieka, coby znajdował swój los pożałowania godnym i miał najlżejsze pojęcie o dobrodziejstwach, jakie nań słać chciał cesarz francuzów z Cavourem. «Krzyki boleści» fabrykowały się w redakcjach dzienników, najczęściej płatnych przez rząd

sardyński; plebiscyty, mające świadczyć o woli ludu, były czystą komedją. Tron Burbonów w Neapolu upadł wskutek przekupstwa i zdrady, papież utracił władzę świecką przez prosty gwałt.

Dwa lata z rzędu Cavour obrabiał opinję liberalną Europy i posuwał coraz dalej «zdobycze moralne» we Włoszech. Około domu sabaudzkiego skupili się malkontenci włoscy wraz ze znaczną częścią republikanów, stronników Mazziniego. Jednocześnie Cavour pracował nad usposobieniem cesarza francuzów w swoim duchu przez mnogich agentów, mężczyzn i kobiety, spokrewnionych z rodziną Bonapartów, lub dawnych znajomych cesarza. Rzecz szła powoli i z oporem. Napoleon III nie śmiał burzyć pokoju Europy, nie był pewien zachowania się Anglji i Rosji wobec wojny z Austrją. Anglja zasłaniała się prawem traktatowem; Rosja, dając poznać, iż chętnie ujrzy austrjacką niewdzięczność ukaraną, wyraźnych zobowiązań nie chciała zaciągnąć. Sam cesarz niekoniecznie rwał się do bojów, skoro do ostatniej chwili, kiedy już wojna zdawała się i w samej rzeczy była nieuchronną, jeszcze próbował zebrać kongres europejski i przy zielonym stole los Włoch poprawić. Zwrotnym punktem w dziejach zjednoczenia Włoch stał się zamach Orsiniego (14 stycznia 1858 r.), ułożony w Londynie przez radykałów francuzkich wspólnie z mazzinistami.

Zamach sprawił wrażenie straszne, głębokie i powszechne. Para cesarska wyszła cało, tylko odłamek bomby lekko skaleczył cesarzowę w oko; padło jednak 10 trupów i 156 ranionych. Cesarz i cesarzowa, widocznie przygnębieni, trzymali się, dopóki trwało przyjęcie urzędowe; potem poszli do pokoju cesarzewicza i tam cesarz miał gorzko płakać. Nazajutrz, nietylko w sferach urzędowych, lecz i w całym Paryżu podniosło się wielkie oburzenie na Anglję za gościnność użyczaną mordercom. Gabinet paryzki zażądał w Lon-

dynie ograniczenia prawa schronienia, następnie ekstradycji Szymona Bernard, emigranta francuzkiego, podejrzanego o udział w zamachu. Lord Palmerston wniósł w parlamencie bil, zaostrzający kary za spiski, morderstwo mające na celu, lecz ekstradycji Bernarda odmówił; inaczej żaden minister angielski podobno nie mógł postąpić. W Paryżu wzmagał się tymczasem prąd, pierwotnem przerażeniem zrodzony. Cesarz ustanowił rejencję, tekę spraw wewnętrznych powierzył jenerałowi Espinasse, znanemu z surowości, i pozwolił na demonstracje w armji; adres pułkowników, naturalnie z wiedzą cesarza podany, odznaczał się gwałtownym tonem przeciwko Anglji, «jaskini zbójców». Anglicy nie pozostali dłużni z odpowiedzią. Prasa londyńska powstała na rząd cesarski, w obronie prawa gościnności; na meetingach w Hyde-Park krzyczano: «*Down with the French!*» Bernarda sąd przysięgłych uniewinnił, a co gorzej, upadł gabinet i do władzy przyszli torysi, projektom włoskim bezporównania bardziej przeciwni. Chociaż sam cesarz prędko zimną krew odzyskał, w stosunkach z Anglją nastąpiło znaczne oziębienie. Co się tyczy włochów, w pierwszej chwili cesarz miał być mocno rozgoryczony. Urzędownie Francja domagała się w Turynie wypędzenia ztamtąd niebezpiecznych emigrantów, zamknięcia organu Mazziniego «Italia del Popolo» i surowszego dozoru nad prasą, czego Cavour odmówił, aby nie zniechęcić ku sobie własnych sprzymierzeńców. Król Wiktor-Emanuel wystosował do cesarza list z upomnieniem, aby nie żądano odeń rzeczy niepodobnych, oraz z pogróżką, że doprowadzony do ostateczności, bronić będzie, za przykładem przodków, swej korony na Alpach. Zląc się, Napoleon III nie zląkł się, bo nie było czego, ale odpisał, bez wiedzy ministra spraw zagranicznych, w sposób okazujący, iż sprawę uważa jako załatwioną. Żeby wiedzieć, co właściwie cesarza do

takiego kroku i do dalszych skłoniło, trzebaby znać zakulisowe przejścia, tudzież najgłębsze tajniki duszy Napoleona III. Z Orsinim, zamkniętym w więzieniu, cesarz znosił się przez zaufane osoby i koniecznie chciał go ułaskawić, a odwiedziony przez ministrów, kazał ogłosić w «Monitorze» list Orsiniego, w którym tenże błagał i wzywał cesarza o wzięcie w ręce sprawy włoskiej. W lipcu zaś r. 1858, w pół roku po zamachu, miało miejsce w Plombières widzenie się cesarza z Cavourem. Tam stanął układ następnej treści: Francja i Piemont wydadzą wojnę Austrji i walczyć będą, dopóki nie wypędzą austrjaków za Alpy i Isonzo; dolina rzeki Po, Romanja i Legacje utworzą królestwo wyższych Włoch dla domu sabaudzkiego; papież zatrzyma Rzym z okolicą; reszta posiadłości papiezkich z Toskanją złożą królestwo Włoch środkowych; Neapol z Sycylją pozostaną nietknięte; cztery mocarstwa włoskie zawiążą federację pod prezydencją papieża. Gdyby trony w Neapolu i Florencji zawakowały wskutek ucieczki panujących, cesarz Napoleon przeznaczał koronę neapolitańską dla ks. Murata; Cavour proponował przenieść do Florencji księcia Parmy; prócz tego, zobowiązał się do ustąpienia na rzecz Francji Sabaudji i Nizzy, oraz do oddania ręki ks. Klotyldy sabaudzkiej ks. Napoleonowi. W ten sposób w oczach cesarza francuzów spełniała się naprawa losu Włoch, wpływ austrjacki ustawał we Włoszech, Francja odzyskiwała część granic naturalnych, w Neapolu Murat wznawiał tradycję napoleońską, przesadzenie domu rodziny Parmeńskiej świadczyło wobec świata, że Bonaparte nie prześladuje Burbonów. Cavour otrzymywał więcej, niż marzyć mógł. «W. Kr. Mość — pisał do króla — jako władca prawowity najbogatszej i najpotężniejszej połowy Włoch, będzie *de facto* panem całego półwyspu» [1]).

[1]) Raport Cavoura do króla Wiktora Emanuela z 24 lipca 1858 r., cytowany przez Onckena w «*Das Zeitalter des Kaisers Wilhelm*».

Układ przewidywał wreszcie ucieczkę panujących włoskich; rzeczą było patrjotów włoskich przewidywanie zamienić w fakt dokonany.

Pomimo układu w Plombières zawartego, sprawa nie musiała być jeszcze w umyśle cesarza zdecydowaną; przynajmniej nie ustawały tajemne zachody ze strony włochów. W jesieni zjawił się w Compiègne florentczyk Salvagnoli; po pamiętnem przyjęciu noworocznem w Tuileries, Mérimée odzywa się do Panizzego: «Słowa cesarza dowodzą, że nasz przyjaciel Salvagnoli jest wielkim dyplomatą». W Nowy rok 1859, podczas recepcji ciała dyplomatycznego, cesarz rzekł do posła austrjackiego: «Żałuję, że stosunki między Austrją a Francją nie są takie, jak dawniej». Tak brzmiała wersja urzędowa, podobno umyślnie opiłowana, lecz i ona sprawiła w Europie wrażenie pękającej bomby; wszyscy byli przekonani, że wojna za pasem. W dwa tygodnie później nastąpił ślub ks. Napoleona z ks. Klotyldą i przy tej sposobności podpisany został traktat zaczepny i odporny między Francją a Sardynją, odpowiadający treścią układowi w Plombières; wojna z Austrją miała się rozpocząć nie wcześniej jak w kwietniu, nie później jak w lipcu. Pomimo to, cesarz prawie do końca się wahał. Anglja przeszkadzała, Rosja obiecywała neutralność, z warunkiem, że Francja wyrzeknie się widoków dynastycznych we Włoszech; Prusy bawiły się w metafizyczne określenie, jak daleko sięga specyficzny interes Austrji i gdzie się zaczyna interes rzeszy. Co najważniejsza, Francja nie była gotową do kampanji, artylerja mianowicie była w przeróbce. Z wyjątkiem armji, francuzi czuli wielki wstręt do wojny z powodu przewidywanych strat materjalnych; «*notre vieux sang gaulois s'est gâté*», wyrzekał Mérimée przed Panizzim. Ważyła także obawa, żeby niepowodzenia wojenne, zawsze możliwe, nie wywołały we Francji ruchów rewolucyjnych. Cesarz wracał z upo-

dobaniem do wiecznej mrzonki kongresu. Węzeł przeciął Cavour, siejąc wichry rewolucji po całym półwyspie. Tem rozdrażnił Austrję do najwyższego stopnia i zmusił do wyboru, albo uderzyć wstępnym bojem, albo interwenjować na mocy traktatów, gdy rewolucja w księztwach wybuchnie. Austrja wybrała pierwsze, w nadziei, że francuzów uprzedzi w Turynie.

Zachowanie się cesarza w tym perjodzie okazało, że do czynu można i trzeba go skusić, a wreszcie zgwałcić. Sam przebieg rzeczy był wprawdzie mało komu wiadomy, mało kto też zdawał sobie sprawę wyrozumowaną z tego, jaką drogą i jakiemi środkami Napoleon III został przez włochów wywiedziony w pole; lecz instynkt prędko ostrzegł interesowanych, którędy idzie się do celu. Dla jaśniej i zblizka patrzących wyłonił się fakt, że drugie cesarstwo nie dba, jak należy, o siłę zbrojną Francji, grzeszy na tym punkcie nieoględnością, rzuca sie na hazardy, nie przygotowawszy poprzednio odpowiednich środków działania. Wystąpiła dalej zmienność i zapalność francuzów, u których nagle wstręt do wojny przeszedł w entuzjazm, mający, jak się wyrażał Mérimée, w sobie «coś wspaniałego i zarazem coś zastraszającego», zastraszającego zwłaszcza dla rządu, który nigdy nie mógł przewidzieć, gdzie uderzą nazajutrz fale opinji ludowej i czy on sam będzie w stanie oprzeć się prądowi.

W trakcie przygotowań do kampanji włoskiej, Napoleon III wszedł, po raz pierwszy odkąd siedział na tronie, w bezpośrednią styczność z rewolucją europejską. Sprawa włoska była z natury rzeczy sprawą arcyrewolucyjną, rząd sardyński nie przebierał ani w środkach, ani w ludziach; lecz dla rządu cesarskiego i dla cesarza nie było konieczności walania sobie rąk brudami. Cesarza mianowicie wyręczał Wiktor Emanuel, znoszący się osobiście z ludźmi, których Cavour wolał

nie widywać. Nieustanne konszachty ks. Napoleona z radykałami włoskimi i ze skrajną emigracją całego świata, wciągały w nieczyste roboty dynastję i osobę cesarza, bez istotnego pożytku. Mając w Pietrim specjalnego agenta do znoszeń z podejrzanemi figurami, cesarz mógł sobie oszczędzić przynajmniej osobistych zetknięć, które go bardziej angażowały niż może myślał i stopniowo przyczyniły się do ustanowienia, obok urzędowej, osobistej, tajnej dyplomacji cesarskiej. Charakterystycznym objawem konspiratorskich nałogów cesarza, jest epizod z Węgrami, szczegółowo opowiedziany przez Kossutha [1]). Cavour długo przed wojną umawiał się z emigracją węgierską o powstanie w Węgrzech, na wypadek wojny z Austrją. Zamiast na tem poprzestać, cesarz sprowadził w maju 1859 r. Kossutha do Paryża i do swego gabinetu. Introduktorem gubernatora był ks. Napoleon. Na stole leżał pergamin, oryginał odezwy Napoleona I do węgrów w roku 1809. Cesarz oświadczył gubernatorowi, że całem sercem sprzyja spełnieniu patrjotycznych pragnień tego ostatniego, iż chętnie skorzysta z nadarzonej sposobności, aby dopomódz węgrom do odzyskania niepodległego bytu. Może Kossuth w powtórzeniu rozmowy coś dodał, lub przesadził; wszystkiego w żadnym razie nie zmyślił. Z ust potężnych padły słowa wielkiej wagi i doniosłości, rzucone nieostrożnie, a podejrzanej szczerości. Trudno przypuścić, aby cesarz zamierzał na serjo jednym zamachem odbudować Włochy i Węgry; rozmowa skończyła się zaś na tem, że cesarz «nawpół pytając, nawpół prosząc», rzucił wzmiankę, czyby się przecież nie dało urządzić małego powstania w Siedmiogrodzie, albo między Szeklerami. Gubernator bowiem obiecywał wzniecić ruch zbrojny w Wę-

[1]) Kossuth: «*Meine Schriften aus der Emigration*». (Lipsk, 1880 r.).

grzech dopiero wtedy, gdy silny korpus francuzki wyląduje na wybrzeżach korony św. Stefana i ukaże się proklamacja cesarska, zapewniająca węgrom niepodległość. Jeżeli szło tylko o dywersję na tyłach austrjackich, o dywersję ostatecznie nieznaczną, na los wojny nie mogącą stanowczo wpłynąć, prędzej zdolną Rosję zaniepokoić na szkodę Francji, po co cesarz osobiście na scenę wystąpił i maczał palec w przedsięwzięciu co najmniej niechwalebnem? Wszak na jego głowę spaśćby musiała krew garści straceńców i przekleństwa miljonowego ludu? Kossuth został przy swojem, przyrzekł agitować w Anglji przeciwko torysom i otrzymał aprobatę cesarską dla posiłkowego legjonu węgierskiego przy armji sardyńskiej, któremu nie miał za co sprawić mundurów i koni dostarczyć.

VI.

Manifest cesarski z 3 maja 1859 r. niósł, że Włochy muszą być wolne aż po Adrjatyk. W tych słowach Napoleon III zaciągnął uroczyste zobowiązanie wobec Włoch, wobec Francji i wobec Europy. Po dwóch wielkich bitwach zwycięzkich, pod Magentą i pod Solferino, zadał kłam samemu sobie, poprzestając na cesji Lombardji, podczas gdy Austrja zatrzymywała Wenecję. Powody są wiadome. Jednym z głównych był osobisty, fizyczny i nerwowy wstręt cesarza do wojny, wzbudzony widokiem okrwawionego pola bitwy pod Solferino. Cesarz przekonał się, że nie jest stworzony na wodza i że nie ma ani jednego jenerała z prawdziwym talentem. Austrja pobita, lecz niepokonana, dawała za wygranę z pobudek politycznych, aby nie stracić przewagi w rzeszy niemieckiej na rzecz Prus. Armja pruska zdążała wprawdzie ku Renowi, ale tak powoli i tak mało wówczas budziła strachu, że po-

stawa Prus posłużyła tylko cesarzowi za pożądaną wymówkę, za pretekst do wycofania się z przedsięwzięcia, które mu nad głowę przerosło. Cesarz zaniedbał zawczasu uzbroić się odpowiednio, wystawić korpus, zabezpieczający Francję od strony Renu, przygotować siły, niezbędne do dłuższej wojny z Austrją. Teraz było zapóźno odrabiać zaległości. Chcąc wojnę z Austrją przedłużać, należało zdobywać słynny czworobok, na samo wspomnienie którego włochów przechodziły dreszcze [1]), lub też, obsaczywszy fortece, ciągnąć, jak niegdyś stryj, prosto na Wiedeń, bez wodza, z armją przetrzebioną. Okazało się tutaj, jaka zachodziła różnica między stryjem a synowcem. Stryj wszystko zawsze umiał przewidzieć; nie powstrzymały go te same fortece, nie zachwiał go widok pobojowiska.

Pośpiech, z jakim Austrja przystała na zawarcie pokoju, wybawił chwilowo cesarza z kłopotu; lecz pokój namnożył na półwyspie komplikacyj bez liku. Program, ułożony w Plombières, spełnił się o tyle, że austrjacy opuścili Lombardję i książęta włoscy pouciekali z Toskanji, Modeny i Parmy. W księztwach i zbuntowanych prowincjach państwa papiezkiego panowały rządy tymczasowe patrjotów włoskich, otwarcie dążące do unji z Piemontem. Rzymu i władzy świeckiej papieża broniła załoga francuzka. Retrocesja Lombardji na rzecz Piemontu, zawarowana traktatami i moralnemi zobowiązaniami, nie podlegała kwestji. Co do reszty, coś musiało stać się z tem wszystkiem w niedalekiej przyszłości, a dla Francji musiała się okroić Sabaudja i Nizza: to był jedyny stały punkt w umyśle cesarza.

Dla każdego monarchy perspektywa nabytków terytorjalnych, zaokrąglenia państwa, jest pokusą, której, jak historja uczy, prawie żaden oprzeć się nie

[1]) «Jakie pozycje! jakie fortece»!—woła La Marmora, najtęższy wtenczas jenerał włoski.

umie. U cesarza francuzów przyłączała się druga pokusa, niemniej silna, przywrócenie Francji granic z przed roku 1815. czyli, jak się wyrażał elastycznie, «granic naturalnych». Wówczas jednak Sabaudya miała dla Francji, politycznie i strategicznie, bardzo podrzędne stanowisko; nie było o co gwałtownie się dobijać. Na swoje nieszczęście, cesarz działał pod presją gorączkowej chęci nabycia tego skrawka ziemi, osobistych sympatyj, niemiarkowanych rozsądkiem, i żądzy uchodzenia za opiekuna uciśnionych ludów; działał przytem, jak zwykle, bez planu naprzód ułożonego, ufając swojej gwiaździe, nie dbając o drogi i środki. Na domiar złego, trafił na ludzi bez czci i wiary, przebieglejszych i zręczniejszych od siebie, którzy go w pole wywiedli i zaprowadzili tam, gdzie wcale dojść nie zamierzał; cesarz bowiem jedności włoskiej, absorbcji Włoch przez Piemont, nie przypuszczał. Tymczasem stopniowo doszedł do tego, że za miskę soczewicy sprzedał swoje dobre imię w Europie, przyjął na barki odpowiedzialność za niezliczone niegodziwości rządu sardyńskiego, odkrył przed światem słabe strony swego pancerza, puścił się na najpospolitsze matactwa, które mu zjednały przydomek «koronowanego konspiratora»; Francji przysposobił pod bokiem wroga i sprzymierzeńca wszystkich jej wrogów.

Pokój, podpisany w Villafranca i następnie traktat zürichski zawarowały restauracyę dawnych dynastyj w Toskanji i Modenie. Cesarz jeszcze w Valeggio oznajmił deputacji bolońskiej, że nie przyszedł odzierać papieża z posiadłości i że Romanja wrócić powinna pod prawną władzę. Jedno i drugie sprzeciwiało się traktatowi z Piemontem, którym Wiktor-Emanuel zasłaniał się, odmawiając ustąpienia Sabaudji. Lombardję przyjmował jak z łaski; o oddaniu kolebki swego rodu słyszeć nie chciał. «Zapłaćcie mi koszta wojenne, a o Sabaudji mowy nie będzie», rzec miał cesarz do króla,

przy wjeździe do Turynu. Wiktor-Emanuel płacić nie czuł ochoty; zapomniawszy, co go niechybnie czekało, w razie niedopisania francuzkiej odsieczy, udawał pokrzywdzonego i uciśnionego, brząkał mieczem przodków, który świeżo a dość licho był się zadokumentował. Rządy tymczasowe w zbuntowanych prowincjach, działające w porozumieniu z Turynem, poskładawszy z tronu dawne dynastje, zawiązały ligę i ogłosiły unję z Piemontem. Francja nie mogła dopuścić napowrót interwencji austrjackiej we Włoszech; gabinet wiedeński przyrzekł zresztą Francji nic nie przedsiębrać w celu przywrócenia zdetronizowanych książąt. Cesarz tłómaczył włochom, że powinni być kontenci i podziwiać, a zarazem naśladować jego umiarkowanie; obiecywał nakłonić Austrję i papieża do reform liberalnych, zasłaniał się moralną niemożebnością użycia gwałtu względem ludu, który przyszedł oswobodzić; lecz miał armję francuzką w Lombardji, mógł okupację przedłużać i, byle wola była po temu, zmusić włochów i rząd turyński do uległości. Woli silnej nigdy nie było; oswobodziciel Włoch, opiekun uciśnionych, spekulant pożądliwem okiem spoglądający w stronę Sabaudji, postawił się sam w fałszywem położeniu; ręce sobie związał i ster wypuścił z dłoni. Zaczął tedy udawać sfinksa. «Niepodobna mi — pisał Mérimée do Panizzego 26 grudnia 1859 r. — przytoczyć jednego słowa, jednego faktu, świadczącego, czy cesarz jest za restauracją, czy przeciw restauracji książąt. Osobiste moje wrażenie jest, że w gruncie o to bardzo mało się troszczy i tylko usiłuje utrzymać równowagę między reputacją monarchy, szanującego dawne traktaty, i reputacją obrońcy wolnej woli ludów, o co dba zarówno».

Cavour, zaraz po zawarciu pokoju w Villafranca, podał się do dymisji. Kossuth z Pietrim odwiedzili go wtedy w Turynie. «Cesarz mnie zbezcześcił—wyrzekał

Cavour, wiedząc dobrze, że Pietri wszystko cesarzowi powtórzy—cesarz dał mi słowo, że się nie zatrzyma, póki ostatnia noga austrjacka nie ustąpi z ziemi włoskiej, w zamian wymówił dla siebie Sabaudję i Nizzę. Mój dobry, uczciwy król przystał na to, polegając na mojej poręce; a teraz cesarz sięga po swój łup i nas opuszcza. Kiedy tak, zrobię się konspiratorem, rewolucjonistą, ale pokój zawarty z Austrją nie będzie wykonany». Nieco wcześniej, przed podpisaniem pokoju, umawiając się z Kossuthem o legjon węgierski, Cavour wyrzekł słowa, w których sam się cały odmalował: «Legjon z chorągwią węgierską nas skompromituje, ale ja właśnie chcę być skompromitowanym». Polityka rządu turyńskiego, czy Cavour w nim siedział, czy nie siedział, zasadzała się na tem, żeby konspirować z rewolucjonistami włoskimi i pozwalać się przez nich kompromitować, podstępem i gwałtem stwarzać fakty spełnione. Wrodzony spryt polityczny włochów szybko skłonił partję rewolucyjną do rzucenia się w ramiona monarchji sabaudzkiej, aby jej najprzód dopomódz, a potem ją opanować. Dzięki temu, rząd turyński wszystkiem, aż do ekspedycji Garibaldiego na Sycylję i Neapol, kierował. Najdrażliwsze sprawy Wiktor-Emanuel osobiście załatwiał. *Il re galantuomo* olśniewał republikanów majestatem królewskim, czarował patrjotyzmem; w stosunkach z papieżem nie gardził ani podstępem, ani gwałtem; cesarzowi francuzów opłacał najczarniejszą niewdzięcznością.

Do końca roku 1859, urzędowa dyplomacja francuzka trzymała się traktatu zürichskiego, ganiła postępowanie Piemontu względem ligi, nie uznawała postanowień ligi. Gabinet paryzki pracował nad zebraniem kongresu, aby Europa wzięła na siebie przeróbkę traktatu zürichskiego, w myśl tajnych widoków cesarza. W skutek nikt nie wierzył. Austrja nie czuła najmniejszej skłonności dopomagać swoim przeciwni-

kom do wybrnięcia z kłopotów z własną szkodą, ani też włazić w istne gniazdo osie, znaleźć się odosobnioną i spotkać z pretensjami włoskiemi do Wenecji i Tyrolu. Ówczesna Europa urzędowa wzdragała się na myśl prostego wywłaszczenia prawowitych monarchów, za zielonym stołem, dlatego, że rewolucja zwyciężyła faktycznie; przewidywano prócz tego, że na kongresie albo przyjdzie położyć poprostu podpis na propozycjach francuzkich, albo zerwać obrady i wojnę rozpocząć. Zjednoczenie Włoch uważano za rzecz niemożebną, zanadto szkodliwą interesom Francji, aby cesarz na to zezwolił; prędzej przypuszczano wybuch wojny domowej we Włoszech, nastanie zupełnej anarchji i powrót do dawnego porządku. Austrja mianowicie, nawet bardzo długo, taką łudziła się rachubą. Ale główny opór przeciwko kongresowi wychodził z Londynu. Tam wszyscy, ks. Albert, Palmerston, lord John Russel, wigowie, torysi, każdy z innego powodu, byli przeciwni kongresowi, naprzekór cesarzowi i Francji. Anglja, zdjęta paroksyzmem strachu i nieufności względem niedawnego sprzymierzeńca, przeszła całkowicie na stronę Włochów i wystąpiła z wnioskiem następnym: Austrja i Francja zobowiążą się nie interwenjować w wewnętrzne sprawy Włoch; armja francuzka opuści Lombardję i Rzym; król sardyński zobowiąże się nie wysyłać wojsk do Włoch środkowych, których legalna reprezentacja orzeknie, czy chce połączenia z Piemontem. Rząd turyński o czemś więcej nie marzył, będąc pewien swego. Gabinet paryzki zwlekał z odpowiedzią na propozycje angielskie; w głowie cesarza dojrzewał tymczasem zwrot na korzyść aspiracyj włoskich. Pod koniec roku 1859 unja Włoch środkowych z Piemontem była w umyśle cesarza zdecydowaną; szło jedynie o znalezienie przyzwoitej formy, o *modus procedendi*, tudzież o wymuszenie ustępstwa Sabaudji. W liście do Piusa IX z 31 grudnia,

cesarz nalegał na konieczność poświęcenia Romanji, gdzie wola ludności oświadczyła się za unją, poręczając wzamian papieżowi nietykalność reszty posiadłości. W styczniu 1860 r., w Turynie Cavour wrócił do steru; w Paryżu, ambasador francuzki przy Porcie, Thouvenel, objął tekę spraw zagranicznych po Walewskim, który przeszłością związany, nie mógł prowadzić nowej polityki cesarza.

Jaka była ta nowa polityka, dowiadujemy się z programu, zaraz na wstępie przez ministra cesarzowi przedłożonego i przez cesarza aprobowanego [1]). Program brzmiał w treści, jak następuje:

«Wojna włoska uczyniła zadość tradycyjnej polityce francuzkiej, co się tyczy równowagi i rozkładu sił między mocarstwami europejskiemi, tudzież zasad, na jakich opiera się cesarstwo i społeczeństwo francuzkie. Zwycięztwo nad Austrją zadowolniło uczucia narodowe. Pozostaje teraz zorganizować Włochy, odpowiednio do pojęć, jakie armja francuzka wniosła na półwysep, starając się przytem nie stracić owocu zwycięztw cesarza.

«Z tego stanowiska, powrót upadłych dynastyj, oraz powrót Legacji pod władzę papieża, zaliczone być muszą do rzeczy niemożliwych, a wydziedziczenie dawnych władców, do kategorji faktów spełnionych. Nadal radzić się przyjdzie w pierwszym rzędzie interesu i życzeń ludności, zarazem trzymać na wodzy ambicję Piemontu.

«Nasuwają się dwie kombinacje: utworzenie w środkowych Włoszech niepodległego królestwa, członka federacji włoskiej, albo aneksja do Piemontu.

«Pierwsza kombinacja przedstawia większe korzyści, lecz bieg wypadków nie obiecuje pomyślnego skutku.

---

[1]) *Memento adressé par M. Thouvenel à S. M. l'Empereur.* «*Le Secret de l'Empereur*». T. I

W najlepszym razie pozostawałaby kwestja dynastji. Osadzenie księcia francuzkiego na tronie, nie omieszkałoby wzniecić burzy w Europie. Wszelki inny książę stanąłby szybko po stronie Austrji, wskutek rywalizacji z Piemontem i z obawy tendencyj unitarnych tego państwa. Przy wyborze dynastji dom lotaryński znalazłby poparcie mocarstw, a Francja byłaby związaną traktatem zürichskim na korzyść tego domu.

Aneksja ma swoje niedogodności, ale ma i dobre strony. Musiałaby pociągnąć za sobą, jako warunek *sine qua non*, przyłączenie Sabaudji i Nizzy do Francji, dla zabezpieczenia naszych granic. Należy przygotować do tego umysły i z tą ewentualnością oswoić gabinety»

Aneksja księztw nie przedstawiała trudności. Austrja trzymała się na uboczu, Anglja otwarcie popierała zachcianki Piemontu. W księztwach wszystko było przysposobione i nawet zrobione w większej połowie; szło tylko o urzędowy epilog. Gabinet londyński proponował powierzyć rozstrzygnięcie zgromadzeniu narodowemu; Francja zalecała plebiscyt przez głosowanie powszechne; dla Piemontu forma była obojętną, bo rezultat nie podlegał wątpliwości. Drażliwy punkt, zwłaszcza dla Francji, stanowiły zbuntowane prowincje papiezkie.

Na propozycje cesarza, tyczące się ustępstwa Romanji, zawarte w liście z 31 grudnia 1859 r., Pius IX odpowiedział encykliką, potępiającą wszelki zamach na prawowitą własność stolicy apostolskiej. Ogłoszenie encykliki i listu cesarskiego, wytoczyło sprawę przed *forum* opinji publicznej. Broszura «Papież i kongres» [1]), puszczona, jeżeli nie z rozkazu, to z wiadomością cesarza, przyznając w zasadzie konieczność wła-

[1]) Autorem broszury był senator de La Guéronnière, domowy publicysta cesarza.

dzy świeckiej papieża, dowodziła, że papież nie potrzebuje rozległego terytorjum i może poprzestać na posiadaniu wiecznego miasta. Broszurę, którą Thouvenel zastał już kursującą po świecie i nazywał «pożałowania godną», wzięto powszechnie za wyraz tajemnej myśli Napoleona III. Wszystko razem wzbudziło słuszną nieufność w Rzymie i postawiło cesarza w bardzo przykrem a fałszywem położeniu. Osobiście, miał on obowiązki wdzięczności dla Piusa IX-go. Niegdyś, w dziecinnych latach, ks. Ludwik-Napoleon Bonaparte sługiwał w Rzymie do mszy ks. kanonikowi Mastaï-Ferretti. Po roku 1830, ten sam Ludwik-Napoleon, ścigany przez władze papiezkie i austrjackie za udział w ruchach rewolucyjnych, bez grosza przy duszy, szukał schronienia u arcybiskupa w Spoleto, którym był przyszły papież, Pius IX. Arcybiskup przytulił księcia, dał mu na drogę 5,000 fr., pożyczone w mieście w tym celu, i własnym powozem odwiózł w bezpieczne miejsce, za co ściągnął na siebie niełaskę Grzegorza XVI. Teraz więc Napoleon III znalazł się w kolizji z dawnym dobroczyńcą, nadto w kolizji z niedawnym swoim protegowanym, któremu powrót do Rzymu z Gaëty w r. 1849 ułatwił; nakoniec w kolizji z papieżem, namiestnikiem Chrystusa. Cesarzowa Eugenja, hiszpanka rodem, uważała krzywdę stolicy apostolskiej za świętokradztwo; brzydziła się myślą, że krzywda dotknie chrzestnego ojca jej syna i ściągnie nieszczęście na dynastję; powstała zatem kolizja domowa między parą cesarską. Dalej, sprawa rzymska przybrała postać wewnętrznej sprawy francuzkiej, wywołując kolizję między rządem cesarskim a biskupami i duchowieństwem, oraz całą opozycją nieprzejednaną. O legitymistach zbytecznem wspominać; ale i orleaniści przeszli raptem do obozu katolickiego. Akademja francuzka wybrała o. Lacordaire, aby wyborem zaprotestować przeciwko polityce cesarza. Villemain, nie-

gdyś wielki wróg jezuitów i papieztwa, napisał broszurę w obronie papieża. Nawet w senacie cesarskim, między starymi wojskowymi z czasów Napoleona I, podniosły się głosy oburzenia, które Mérimée przypisywał wpływowi kobiet i obawie piekła, zwykle ludzi na starość zdejmującej.

«Bogu wiadomo, ile cesarz jest dalekim od myśli użycia gwałtu względem stolicy św. — zaręczał Thouvenel w liście do ks. Gramont z 29 stycznia 1860 r. Cesarz wysila się, aby złagodzić *(trouver des tempéraments)* sytuację, stworzoną przez logikę faktów». Ku temu minister wynalazł precedens i krętą ścieżkę. Precedensem był traktat z r. 1814 między Austrją i królem Muratem neapolitańskim, temu ostatniemu zapewniający nabytek czterechkroć sto tysięcy dusz wziętych z państwa rzymskiego, którym można było się zasłonić, jako mocarstwa katolickie nie uznawały świeckich posiadłości papieża za własność nietykalną. Kręta ścieżka polegała na tem, żeby kwestję księztw oddzielić *pro forma* od kwestji Romanji, zebrać najprzód zgromadzenie narodowe w Toskanji, Parmie i Modenie, a dopiero gdy one aneksję uchwalą, pozwolić na podobną operację w Bolonji. «Wtedy — konkludował Thouvenel—Romanja będzie uchodzić za porwaną prądem, z naszej zaś strony nie okaże się zamiar zgóry powzięty, rozbioru państwa papiezkiego. W mojem przekonaniu, rezultat będzie jeden i ten sam, ale zachowanie form sprawi, że opinja katolicka we Francji łatwiej pogodzi się z rzeczą. Cesarz oświadczył się za przyjęciem tego systemu. W ostatniej chwili można także, choć bez nadziei w skutek, zaproponować stolicy apostolskiej utworzenie w Romanji lennictwa pod świeckim namiestnikiem, mianowanym przez papieża i płacącym daninę. Cesarz sobie tego życzy» [1]).

[1]) *Annexe Nr. 2 à la lettre du 29 janvier 1860.* «*Le Secret de l'Empereur*». T. I.

Odłożywszy na bok niemoralność programu polityki cesarskiej i nieuczciwość wybranych środków, nie można powiedzieć, żeby cesarz wraz ze swoim ministrem zdobył się na arcydzieło; któż bowiem mógł być do tego stopnia niemądrym, żeby się nie poznać na takiej dyplomacji, szytej, jak mówią francuzi, białemi nićmi? Papież pierwszy w żadnym razie. Cesarzowi psuli zresztą robotę fałszywi przyjaciele. Już 31 stycznia, zanim doszedł go jeszcze ów program ministerjalny, ks. Gramont donosił z Rzymu: «Odo Russell [1]) odebrał od stryja list z wiadomością, że aneksja Romanji dopełnioną zostanie przez wejście deputowanych tej prowincji do izby sardyńskiej; Anglja uzna natychmiast nowy porządek, a cesarz pójdzie w ślad za jej przykładem; ma to być ułożonem między dwoma gabinetami. Ułożonem jeszcze ostatecznie nie było, ale łatwo sobie wystawić wrażenie, tą wieścią w Rzymie sprawione. Biedny ambasador francuzki aż się za głowę chwycił. «Uznanie aneksji—pisał do ministra—byłoby pierwszym faktem, świadczącym o czynnym udziale cesarza w odarciu stolicy apostolskiej. Dotąd rząd cesarski unikał starannie wzięcia na siebie podobnej odpowiedzialności. Mógł przyznawać słuszność niektórym skargom ludności na rząd papiezki; mógł oświadczyć, iż nie użyje siły dla przywrócenia władzy papieża; mógł wyrazić zdanie, że poświęcenie zbuntowanych prowincyj przedstawia dla papieża i dla Włoch rozwiązanie, którego korzyści i straty równoważą się nawzajem; lecz nigdy urzędownie nie zatwierdził zaboru posiadłości papiezkich przez dom Sabaudzki. Z rozkazu cesarza i na mocy wyraźnych instrukcyj Walewskiego, powtórzyłem nie wiem ile razy, że cesarz ni-

[1]) Odo Russel, agent dyplomatyczny angielski przy dworze papiezkim. Jego stryj, lord John, był natenczas ministrem spraw zagranicznych.

gdy nie będzie *ni l'agresseur ni le spoliateur du Pape.* Powiedziałem to papieżowi i ministrom, mieszkańcom Bolonji i Rzymu, naczelnikom rządu bolońskiego, całemu ciału dyplomatycznemu. Uznając teraz aneksję, cesarz weźmie stronę odziercy *(du spoliateur)*, przyjmie na siebie odpowiedzialność za akt krzywdy. Po takiem zadaniu kłamu swoim własnym słowom, z jakiem czołem będę mógł nadal zastępować rząd cesarski przy stolicy apostolskiej? Cesarz jest pierwszy interesowany w tem, aby jego ambasador zachował osobistą godność i szacunek u ludzi». Minister mu na to poradził, jak najmniej się wystawiać i czekać, co powie druga strona. «W przekonaniu cesarza, papież może zatrzymać Legacje tylko pod warunkiem, że ustanowi świeckiego namiestnika; król sardyński ofiaruje się na urząd namiestnika, z pozostawieniem papieżowi części dochodów» [1]).

Tymczasem ks. Gramont usłyszał z ust papieża następne rzeczy: «Położenie się wyjaśniło; wiem, że niczego od cesarza oczekiwać nie mogę; pozwoli zabrać mi Legacje i Romanję, a ja nie mogę temu przeszkodzić. Cesarz ma siłę, więc jest panem». Pius IX dodał, że cesarz już dawno powziął zamiar oderwania tych prowincyj od państwa papiezkiego, chociaż czyni to ze wstrętem; papieżowi podsuwano rozmaite sposoby, których sumienie przyjąć nie pozwala; woli przeto zdać się na Opatrzność i sobie nie mieć nic do wyrzucenia. W chwili aneksji obowiązek zmusi papieża do rzucenia imiennie wielkiej klątwy na króla sardyńskiego, lecz papież ma nadzieję, że cesarz nie weźmie czynnego i otwartego udziału w zaborze; tu Pius IX po dwakroć powtórzył: «Nie straciłem bowiem nadziei, że kiedyś doznam od cesarza pociechy». W toku audjencji papież wspomniał o liście odebranym od Wik-

[1]) List z d. 7 lutego 1860 r.

tora-Emanuela, jeszcze w sierpniu w r. 1859, w którym były te słowa: «Cesarz przedsięwziął kampanję włoską nie dla moich pięknych oczów, ani przez sympatję dla Włoch, tylko w celu zabrania mi części mego państwa; muszę przeto ze swojej strony zaokrąglić się, aby po wojnie nie być uboższym, niż przed wojną» [1]).

Pełnomocnik francuzki w Turynie otrzymał polecenie wpłynięcia na króla Wiktora-Emanuela, aby rząd sardyński przed przyjęciem uchwały, orzekającej aneksję Romanji, odniósł się do papieża i do mocarstw katolickich i z niemi się «rozmówił». Wszystko dlatego, żeby cesarzowi oszczędzić wyrzeczenia słów: *consummatum est.* Król Wiktor-Emanuel wysłał wskutek tego do Rzymu ks. Stellardi, intryganta w sutannie, z listem, żądającym od papieża ustąpienia królowi Marchji i Umbrji, czyli terytorjum dwa razy większego od Romanji. Poseł dał do zrozumienia, że list był napisany za poradą cesarza; rozpowiadał, że król jest bardzo zasmucony i bardzo nieszczęśliwy, ale ulega woli cesarza i Cavoura [2]). Albo to było czyste kłamstwo, albo cesarz kręcił na swoją rękę, utrudniając jakby umyślnie działanie urzędowej dyplomacji. «Jestem nieco w kłopocie, co dalej począć—pisał Thouvenel do ks. Gramont. Zbytecznem powtarzać, iż chcemy Sabaudji i Nizzy» [3]). Wiktor-Emanuel bronił się rękami i nogami, może nie bez nadziei, że się uda cesarza z niczem odprawić; bardziej jeszcze, aby oporem cesarza zmiękczyć i otrzymać zezwolenie na aneksję, bo, jak mówił Cavour: «*Aprés avoir donné la fille, on pouvait donner le berceau*»—oddawszy ks. Klotyldę, można było dodać kolebkę domu Sabaudzkiego. W Anglji, skoro się dowiedziano o projekcie ustąpienia Sabaudji, podniósł się

[1]) List ks. Gramont z d. 11 lutego 1860 r.
[2]) List z d. 18 lutego 1860 r.
[3]) List z d. 19 lutego 1860 r.

straszny krzyk na chciwość cesarza, choć cesarz okupił się zawarciem traktatu handlowego, korzystnego dla anglików. Gabinet paryzki pragnął się zapewnić całkowicie ze strony Austrji i Prus w przewidzeniu aneksji księztw, a to tem więcej, że dla uspokojenia Anglji Francja przedsięwzięła rozbrojenia na lądzie i morzu. W tym samym liście Thouvenel wspomina o dwóch kombinacjach, mogących ułatwić rolę rządu cesarskiego. Pierwsza brzmiała: «Aneksja Modeny i Parmy do Piemontu, namiestnictwo Wiktora-Emanuela w Legacjach, z inwestyturą papiezką i daniną trzech miljonów franków; utworzenie z Toskanji państwa niepodległego pod księciem z domu Sabaudzkiego, wzamian za ustąpienie Francji Sabaudji i Nizzy»; druga niosła: «Aneksja Modeny, Parmy i Toskanji do Piemontu; w Legacjach namiestnictwo ks. Parmy, z inwestyturą, lecz z mniejszą daniną». W drugiej kombinacji ustępstwo Sabaudji nie było wyraźnie wymienione, lecz w nawiasie znajdowały się słowa: z powodu naszych szczególnych widoków — z których to słów, w związku z poprzednią wzmianką, że Francja żąda Sabaudji, wnosić trzeba, iż w umyśle cesarza aneksja Toskanji stanowiła zapłatę za kolebkę Wiktora-Emanuela. Cesarz jednak przechylał się na stronę pierwszej kombinacji, bardziej zbliżonej do wniosków angielskich i korzystniejszej dla Piemontu, tudzież warującej imiennie wynagrodzenie dla Francji, przytem osłaniającej prostą aneksję pozorami przyzwoitości, niepodległością Toskanji i namiestnictwem w prowincjach zabranych papieżowi. Chodziło tylko o to, jakim sposobem zmusić Piemont do przyjęcia projektu cesarza. «Zagrozimy Włochom odwołaniem armji francuzkiej z Lombardji — kończył Thouvenel — niech sobie same radzą». Obecność armji francuzkiej w Lombardji, zabezpieczała wprawdzie włochów od napaści austrjackiej, której włosi bali się mocno; ale pogróżka fran-

cuzka nie mogła zastraszyć gracza tak sprytnego i śmiałego, jak Cavour. Dopuszczając interwencji austrjackiej, mało prawdopodobnej chwilowo, cesarz burzył własne dzieło, wyrzekał się naprawy Europy, wystawiał siebie na sztylety włochów, poniżał się w opinji liberalnej demokracji francuzkiej, o którą dbał więcej, aniżeli o katolików. Prędzej wolno było liczyć na to, że cesarz, w razie nowej wojny między Austrją a Piemontem, stanie znowu po stronie Włoch; jeżeli zaś do wojny nie przyjdzie, a okupacja francuzka ustąpi, rząd turyński będzie miał ręce rozwiązane, aby we Włoszech na współkę z patrjotami gospodarować.

Obiedwie kombinacje Thouvenela chromały na wspólnym punkcie namiestnictwa w prowincjach papiezkich. Książę Gramont zawczasu ostrzegł ministra: «Nigdy, przenigdy papież nie przystanie na namiestnictwo ani Wiktora-Emanuela, ani ks. Parmy, ani niczyje... Co najwięcej, rząd cesarski może oświadczyć, iż widząc się bezsilnym, a nie mogąc używać przymusu, powstrzyma się od mieszania w sprawę między ludnością tych prowincyj a stolicą apostolską, której praw nigdy nie przestał szanować. Legacje, sobie pozostawione, potrafią ułożyć się z Piemontem i skończy się na tem samem, lecz cesarz zamknie usta dworowi rzymskiemu, tudzież partji klerykalnej we Francji. Co się tyczy Sabaudji, wątpię, żeby Piemont ustąpił ją z dobrej woli, i boję się, że przyjdzie nam ją wziąć, co może stać się bez trudności przy cofaniu z Włoch naszej armji, która po drodze przyłoży się do wywołania objawu przychylnych nam życzeń tamtejszych mieszkańców» [1]).

«W Paryżu czas naglił»—mówiąc słowami Thouvenela; gabinet cesarski ujrzał się zmuszonym oznajmić swoją decyzję w Londynie i w Turynie, i wybrał pierw-

[1]) List z d. 25 lutego 1860 r.

szą z wymienionych wyżej kombinacyj. Cesarz zgadzał się na aneksję Modeny i Parmy, to jest pozwalał Piemontowi przyjąć uchwały, aneksję orzekające; radził osadzić w Toskanji na tronie, przez głosowanie powszechne, ks. Genui, liczącego pięć lat wieku; wszystko pod warunkiem, że Legacje pozostaną pod zwierzchnictwem papieża, z królem Wiktorem - Emanuelem jako namiestnikiem, oraz że Francja otrzyma Sabaudję. «Nie robię sobie żadnej iluzji—pisał Thouvenel—co do przyjęcia, jakiego namiestnictwo dozna w Rzymie, chociaż jest to jedyny środek ocalenia reszty posiadłości papieża i także Neapolu. Co Turyn odpowie na nasze propozycje — tajemnica; nic naprzód przesądzać nie mogę» [2]).

Nie ma kwestji, że namiestnictwo Wiktora-Emanuela było jedynem wyjściem możliwem. Romanja dobrowolnie nie chciała wrócić pod władzę papieża; przymusu również nikt nie chciał do tego używać, a mocarstwa europejskie nie mogły zdobyć się nawet na głośne potępienie faktu, którego żadne w duchu nie pochwalało. Ustanowienie namiestnictwa pozostawiało przynajmniej nietkniętą zasadę zwierzchnictwa i prawa własności papieża, lecz dwór rzymski mógł zgodzić się na tę kombinację pod warunkiem, że Wiktor-Emanuel postępować będzie z dobrą wiarą i sumiennie wypełniać prawa i obowiązki namiestnika. Po wszystkiem, co zaszło, po misji ks. Stellardi i po owym liście, żądającym Marchji i Umbrji, który sam Thouvenel nazwał «*une étrange et coupable sortie*», dać inwestyturę Wiktorowi-Emanuelowi, znaczyło tyle dla papieża, co wpuścić wilka do owczarni, narazić się na to, że namiestnik daniny nie zapłaci, zaprowadzi w Romanji sardyńskie porządki, zabierze dobra kościelne, rozpędzi zakony i w dodatku założy tam gniazdo knowań re-

[2]) List z d. 26 lutego 1860 r.

wolucyjnych, dążących do zupełnego wywłaszczenia papieża z władzy świeckiej. «Czasy i ludzie się zmieniają, Legacje mogą kiedyś same zażądać powrotu pod władzę papieża»—filozofował Thouvenel, jak gdyby nie wiedział, że rewolucję w Romanji zrobiła garść zuchwalców, teroryzujących ludność tamtejszą—jak gdyby nie znał rządu sardyńskiego i przypuszczał, że ten rząd dozwoli kiedykolwiek mieszkańcom zabranej prowincji wybierać swobodnie między sardyńskiem i rzymskiem panowaniem.

Zgodnie z przepowiednią ks. Gramont, papież namiestnictwo urzędownie odrzucił. Gabinet turyński domagał się prostej aneksji Toskanji, Parmy i Modeny (zwanych teraz Emilją) i Romanji. Między Turynem i Paryżem toczyły się układy w tej materji, za pośrednictwem hr. Arese, dawnego przyjaciela cesarza, oraz margrabiego Pepoli, krewnego Bonapartów. Skończyło się niebawem na nowej porażce polityki cesarskiej. «Aneksja może przyjść do skutku, ale bez naszego udziału; nie będziemy sankcjonowali sposobu, w jaki się odbędzie, a to wiele znaczy ze stanowiska zasad innych mocarstw i naszej własnej swobody działania w przyszłości. W Romanji pozwolimy Sardynji robić co zechce, ale urzędownie nie uznamy wywłaszczenia stolicy apostolskiej» — oznajmiał Thouvenel 4 marca ks. Gramont, a w tydzień później, 11 marca, pisał: «Rozumie się, że bynajmniej nie myślimy poróżnić się z «powiększonym» Piemontem; kompromitować się nie damy, lecz musimy zachować pewne względy, aby zapobiedz natychmiastowemu odwetowi ze strony Austrji, tudzież wejść w posiadanie Sabaudji».

Ta nieszczęśliwa Sabaudja ustawicznie wchodziła w drogę. Ze wszystkich mocarstw europejskich, jedna Rosja stała w tej sprawie po stronie Francji i to tak gorąco, że Thouvenela niepokoiła myśl, jakiej Rosja, za swoje usługi, zażąda nagrody? Gabinet londyński

judził całą Europę na Francję, wreszcie zaś wymyślił zarzut, iż neutralność Szwajcarji będzie naruszoną wskutek aneksji Sabaudji. Cavour straszył cesarza fintami. Ks. Gramont, 13 marca, z przerażeniem uprzedzał ministra: «Cavour chce zarządzić w Sabaudji i Nizzy głosowanie powszechne za Piemontem, aby tę uchwałę przeciwstawić naszym pretensjom do granic naturalnych. Znając z pięcioletniego doświadczenia [1]) administrację sardyńską, ręczyć mogę, że głosowanie wypadnie na naszą szkodę. Nic nie idzie w porównaniu z brutalnością władz sardyńskich; nie znam kraju, gdzieby w podobny sposób gwałcono prawa i osobistą swobodę obywateli. Mam w rękach papier, pozwalający okazicielowi aresztować każdego bez wyjątku i żądać do tego pomocy żandarmerji i wojska». Plebiscytem na korzyść Piemontu, Cavour mógł piekielny żart wyrządzić cesarzowi, który gwałtem chciał się pochwalić przed światem, że cała ludność sabaudzka, aż do ostatniego kominiarza, dniem i nocą myśli o przyłączeniu do Francji. Trudno wiedzieć, czy Cavour na serjo myślał o plebiscycie i jak mu ten koncept z głowy wybito; to pewne jednak, że odwrót armji francuzkiej z Lombardji był skombinowany z zamiarem przyciśnięcia Piemontu do ściany i zajęcia Sabaudji.

Odstąpienie Sabaudji i Nizzy podpisane nareszcie zostało 24 marca 1860 r. «Nie wiem, jak się ma Cavour po porodzie, ale mnie ręce bolą od szczypców, które dwie doby trzymałem» — pisał nazajutrz Thouvenel. Dyplomacja francuzka winszowała sobie sukcesu, w pocie czoła odniesionego; Pietri i dr. Conneau niedługo potem ucieszyli cesarza «wspaniałym» plebiscytem sabaudczyków, lecz i cesarzowi i jego dyplomatom włoskie sprawy obrzydły, Cavour stanął im kością w gardle. «Mamy do czynienia z człowiekiem, który

[1]) Ks. Gramont był pierwej posłem w Turynie.

nas zawsze uprzedza szybkością w postanowieniach i w wykonaniu i który bardzo zręcznie przywiódł nas do tego, że zamiast robić co chcemy, robimy co możemy»—przyznawał ks. Gramont [1]). Cesarz zapragnął wycofać się z półwyspu i rozwiązać sobie ręce, a włochów zostawić pod groźbą powrotu austrjaków—czego się włosi coraz mniej obawiali i czego sam cesarz starał się w skrytości nie dopuścić. Po odwołaniu armji francuzkiej przychodziła kolej na opuszczenie Rzymu, którego straż, wedle projektu cesarza, objąć powinni byli neapolitańczycy.

Na dworze rzymskim zdania w tej sprawie były od początku podzielone. Jedni woleli francuzów w Rzymie zatrzymać, drudzy się ich pozbyć i zastąpić neapolitańczykami, albo też uwolnić się od wszelkiej cudzej opieki i bronić Rzymu własnemi siłami, zreorganizowaną i pomnożoną armją papiezką. Idąc za wolą Piusa IX i życzeniem cesarza, kardynał Antonelli wszedł w układy z Neapolem o zluzowanie załogi francuzkiej; czy bardzo napierał, to inne pytanie. Stronnicy okupacji francuzkiej, oraz ci, co marzyli o armji papiezkiej, nie zaniedbali poruszyć wszystkich sprężyn, aby rząd neapolitański na swoją stronę przeciągnąć. W Neapolu król i jego ministrowie nie odznaczali się tęgością, mieli aż nadto w domu kłopotów; radziby byli papieżowi dopomódz, ale się bali napaści sardyńskiej. Francja otrzymała od Wiktora-Emanuela obietnicę, że nie zaczepi wojska neapolitańskiego w Marchji i Umbrji; Rzymu samego bronić miał żołnierz papiezki. Rzecz już zdawała się kleić, kiedy król neapolitański stanowczo odmówił oddania swej armji na usługi papieża, a to wskutek obawy, że mu ją Wiktor-Ema-

[1]) List z d. 20 marca 1860 r.

nuel *skorumpuje*. Następstwa okazały, że obawy były słuszne.

Dla pamięci wspomnieć wypada o francuzkim projekcie zbiorowej opieki mocarstw katolickich nad papieztwem. Widząc, że układy z Neapolem się rozbiją, cesarz zaprojektował zwołanie konferencji pełnomocników stolicy apostolskiej, Austrji, Francji, Bawarji, Belgji, Neapolu i Sardynji na naradę, z której kwestja Romanji będzie wykluczoną i która rozpatrzy projekt konwencji następnej:

«Stolica apostolska ogłosi reformy, w zasadzie zdecydowane (tyczące się administracji i sądownictwa).

«Mocarstwa katolickie, wyżej wymienione, wraz z Brazylją, poręczą stolicy apostolskiej nietykalność prowincyj, pozostających pod władzą papieża.

«Te same mocarstwa zapewnią papieżowi płacenie rocznej daniny, w stosunku do cyfry ludności.

«Bawarja, Belgja, Hiszpanja i Portugalja dostarczą po kolei na lat trzy, w celu wzmocnienia załogi rzymskiej, po dwa tysiące piechoty i pięćset ludzi kawalerji; Francja i Austrja zaś ułatwią przewóz kontyngensu morzem».

Nic piękniejszego i chwalebniejszego w teorji, jak taka zbiorowa opieka mocarstw katolickich nad papieztwem, gdyby mocarstwa katolickie poczuwały się szczerze i sumiennie do tego obowiązku; ale w takim razie nie przyszłoby było do zaboru Romanji. Gdy mocarstwa katolickie zbiorą się w celu traktowania spraw stolicy apostolskiej — brzmiała odpowiedź Rzymu — pierwszy punkt stanowić winna kwestja Romanji. Jeśli mocarstwa uznają wywłaszczenie papieża, stolica apostolska traktować z niemi nie może; jeśli spoljacji nie uznają, niech to głośno wyrzekną, a odzierca, wobec takiej potęgi, uchyli czoła i zwróci, co ukradł. Ogłoszenie obiecanych reform nastąpi dopiero po zwrocie prowincyj, zabranych przez Sardynję. Stolica apostolska nie

przyjmie gwarancji dla reszty swoich posiadłości, nie może bowiem czynić różnicy między częściami państwa posiadanemi i zabranemi. Papież nie przyjmie subsydjów w formie renty; co najwięcej, przyjąćby mógł wynagrodzenie za dawne prawa kanoniczne do wakujących beneficjów. Co się tyczy załogi, stolica apostolska woli zachować swobodę wystawienia własnej armji, a wszelkie ułatwienia ze strony rządów w tym względzie przyjmie z wdzięcznością [1]).

VII.

Po rozbiciu się układów z królem Franciszkiem neapolitańskim, stanęło na tem, że załoga francuzka opuści Rzym, skoro armja papiezka zostanie zorganizowaną. Cesarz chciał zasłonić się od zarzutu, że umyślnie wydał papieża na pastwę wrogów; zażądał przeto od Wiktora-Emanuela obietnicy, że nie najdzie na państwo papiezkie, i starał się otrzymać dowód na piśmie, jako ewakuacja wiecznego miasta odbyła się z wolą i zgodą papieża. Aby cesarzowi odwrót z Rzymu ułatwić, Wiktor-Emanuel dał żądane przyrzeczenie; lecz stolica apostolska nie przykładała wiary do jego obietnic, ewakuację zaś Rzymu przez francuzów uważała za wynik woli cesarza, której poddawała się z musu. Obiedwie strony czuły do siebie żal i nieufność. Pius IX sprawiedliwie wyrzucał cesarzowi detronizację książąt włoskich i zabór Romanji, a przeszłość budziła w papieżu obawy o dalszy los władzy świeckiej. Cesarz nie przebaczał papieżowi *non possumus*, o które

[1]) List ks. Gramont z d. 3 kwietnia 1860 r.

rozbijały się wszystkie kombinacje polityki francuzkiej; oskarżał osobiście Piusa IX o upór niewczesny i nieuzasadniony, skoro bowiem jego poprzednicy pogodzili się niegdyś z oderwaniem Awinjonu, skoro robili wielkie ustępstwa tak Francji, jak innym mocarstwom, Pius IX mógł także poddać się konieczności i ustąpić. Wzajemne usposobienie stron nie ułatwiało stosunków i układów o wycofanie załogi francuzkiej z Rzymu; z obu stron też zagrały ludzkie namiętności.

Papież zamianował ministrem broni m-sgra Mérode, niegdyś oficera w wojsku belgijskiem, człowieka gorącej krwi i gorącej fantazji. Przypisywano mu, może niezupełnie słusznie, awanturnicze zamysły, projekt uderzenia wstępnym bojem na piemontczyków w Romanji i wzniecenia w Europie powszechnej wojny, z której miała wypłynąć świecka potęga stolicy apostolskiej. Bądź co bądź, msgr. Mérode lubił trudnić się wielką polityką i mieszać szyki kardynałowi Antonellemu, budującemu wszystko na kunszcie dyplomatycznym. Kardynał-sekretarz stanu szedł drogą ustępstw formalnych i kompromisów, oszczędzał rządy i monarchów, dużo pozostawiał czasowi, unikał hazardownych kroków, trzymał się rutyny profesjonalnej i nie gardził środkami i środeczkami, przez nią uświęconemi. Minister broni był mężem czynu, ale niebardzo liczył się z możnością i zanadto wierzył wskutek taki, jakiego sobie życzył; spokrewniony z legitymistami francuzkimi, podzielał ich uczucia dla Napoleona III, aspiracje i iluzje. Pius IX na ludzi i ludzką pomoc wcale nie liczył; złożywszy swoje losy w ręce Opatrzności, równie mało przywiązywał wagi do dyplomacji kardynała-sekretarza stanu i do systemu pójścia na przebój ministra broni; lecz żartkość i szczerość tego ostatniego bardziej odpowiadała usposobieniu Piusa IX, niż elastyczność kardynała Antonellego. Korzystając z tego, msgr. Mérode zdobywał u papieża zgodę na postępki,

niekoniecznie licujące z metodą, przyjętą w sekretarjacie stanu, gdzie przeważała ostrożność i względność dla cesarza francuzów.

W Rzymie, jak we Francji i w całej Europie, istniała partja intransygentów, odrzucająca wszelki kompromis, nawet formalny i czasowy, rządząca się maksymą, iż trzeba rzeczy doprowadzić do ostateczności, aby wszystko się zapadło i ustąpiło miejsca lepszemu porządkowi, opartemu na restauracji prymatu papieża, monarchizmu z Bożej łaski, prawowitych dynastyj i zasad konserwatywnych. Do wielkiej sprawy wszechkatolickiej przymieszało się mnóstwo sprawek podrzędnych, lokalnych, sztucznie zlepionych z interesem kościoła i stolicy apostolskiej; obrona praw papieża i dobro wiary służyły za środek i pretekst do obalenia tutaj rządu, tam gabinetu, gdzieindziej człowieka znienawidzonego. We Francji antagoniści bonapartyzmu i cesarstwa przeszli do obozu papiezkiego, z nietajonym zamiarem podkopania tronu cesarskiego. Szło im najmocniej o pokazanie światu, że mają papieża po swojej stronie. Pius IX stanął twardo na gruncie zasad i kanonów, bronił tego, co w swem sumieniu za dobre i konieczne uznawał; na krzyki ludzkie nie zważał. Zła wiara oczywista Wiktora-Emanuela, dwulicowa i zmienna polityka Napoleona III, tchórzliwość mocarstw katolickich, srogie a codzienne zawody i krzywdy, przepełniły Piusa IX obrzydzeniem ku polityce, jej sprawom i sprawkom. W brewach, w alokucjach, w rozmowach urzędowych i prywatnych wypowiadał bez ogródek, co myślał, co czuł, czego chciał, bez względu, czy stanie w sprzeczności z kardynałem-sekretarzem stanu, który potem odezwy lub słowa papieża musiał interpretować i łagodzić. Szczególnie w cztery oczy, Pius IX słów swoich nie zwykł był ważyć. Kiedy raz minister portugalski przyszedł popierać pretensje Wiktora-Emanuela do Romanji, pa-

pież mu odrzekł, że to jest kopnięcie osła. Wobec dyplomatów i niedyplomatów, wobec młodych oficerów francuzkich, padały z ust papieża bardzo ostre wyrazy, tyczące się cesarza i polityki francuzkiej, nawet takie: *Votre Empereur est un menteur et un fourbe.* Najmniejsze takie słówko odbijało się w Paryżu tysiącznem echem, było skwapliwie roznoszone i komentowane. Wszczęła się we Francji agitacja, po części szczerze katolicka, po części nadużywająca znamienia religji, dla cesarza bardzo przykra, dla stolicy apostolskiej prędzej szkodliwa niż pożyteczna. Poprzednich postępków Napoleona III nic usprawiedliwić nie mogło; on bowiem pierwszy, z własnej i nieprzymuszonej woli rozdysponował cudzą własnością; późniejsze postępki cesarza jeszcze bardziej były zdrożne i naganne; pozostaje przecież pytanie, czy niezliczone a bolesne urazy, czy wewnętrzne kłopoty, będące dziełem intransygentów, nie wpłynęły na usposobienie cesarza i nie ułatwiły roboty wrogom Rzymu? Stolica apostolska, bądź co bądź, potrzebowała Francji cesarskiej. Dążenia i widoki Piemontu, dobrze wiadome, miały na celu Rzym, jako stolicę Włoch zjednoczonych. Cesarz, nawet w broszurach najdalej idących, warował dla papieża posiadanie wiecznego miasta; w Europie, on jeden miał siłę, możność i bezpośredni interes własny w Rzymie utrzymywać papieża. Intransygenci grozili przesiedleniem papieża w dalekie kraje, jak gdyby to tak łatwo było opuścić od wieków usłane gniazdo, zerwać z prastarym obyczajem, przenieść kongregacje i archiwa, narażać starców na trudy podróży i zmianę klimatu, a w końcu znaleźć bezpieczne schronienie, bez żadnej za gościnność kompensaty! Wszak nawet owa reorganizacja armji papiezkiej, na której intransygenci budowali plany naprawy świata, nie mogła z miejsca ruszyć bez pomocy Francji.

Zamierzano pomnożyć armję papiezką do trzydziestu tysięcy ludzi, i po upływie sześciu miesięcy, niezbędnych dla zaprowadzenia w niej ładu, uderzyć na Romanję. O wojsku sardyńskiem mówiono, że jest w rozprzężeniu, wskutek napływu elementów rewolucyjnych i ochotników z nowoprzyłączonych prowincyj. Zaimprowizować armję zdatną do boju w ciągu sześciu miesięcy, było czystą iluzją; a i te sześć miesięcy ulegały kwestji, gdyż cesarz pragnął cofnąć z Rzymu załogę czemprędzej, najpóźniej w środku lata. Prócz czasu, potrzebowano pieniędzy i naczelnego wodza. Legitymiści francuzcy dostarczyli parę bateryj dział i wraz z ludem katolickim parę miljonów franków; na resztę wydatków przyszło zaciągnąć pożyczkę za pośrednictwem bankierów francuzkich, oglądających się na zdanie rządu. Poszukawszy po świecie naczelnego wodza, przekonano się, że tylko Francja dostarczyć go może. Rząd cesarski gotów był wypożyczyć jenerała z czynnej służby; pochlebiał sobie, że swego dopnie i tym sposobem zachowa niejako w dłoni wojsko papiezkie. Dwór rzymski tego nie pragnął i miał słuszność; lecz rzucił się na przeciwległy kraniec, nadając reorganizacji swego wojska charakter demonstracji przeciwko cesarzowi. Naczelne dowództwo objął jenerał Lamoricière, jawny wróg cesarstwa, który przyjął nominację bez odniesienia się do cesarza i do kanclerza legji honorowej, co był powinien uczynić. Naciskiem dyplomatycznym gabinet paryzki wymógł, że jenerał załatwił jako tako swoją sprawę osobistą z rządem francuzkim i zaprzestał głośno wygadywać na cesarza. Fakt jednak pozostał faktem; do szeregów papiezkich napłynęli ochotnicy z rodzin legitymistowskich i orleanistowskich, wysyłani naprzekór cesarzowi; a koniec końcem, bonapartyści zapragnęli gorąco, aby wódz papiezki, wraz ze swoją armją, otrzymał przy pierwszej okazji porządną naucz-

kę. Na nieszczęście, bonapartyści posiadali tysiączne sposoby ziszczenia swoich życzeń, natomiast nadzieje intransygentów prędko się rozwiały. Siła liczebna armji papiezkiej pozostała prawie niezmienioną; papież nie zgodził się na zaczepienie piemontczyków. Między ministrem broni a naczelnym wodzem wszczęły się nieporozumienia. Kardynał Antonelli miał mówić: «Opowiedziałem jenerałowi nasze kłopoty; wszystko mi wytłómaczył, na wszystko znalazł lekarstwo; w każdej kwestji przedstawił cztery różne zdania i każde zdanie poparł tak silną argumentacją, że trudnoby mi przyszło zrobić wybór. *C'est une homme du plus sublime mérite*» [1]).

Na początku maja oznaczone już zostały terminy, w jakich pułki francuzkie opuszczą Rzym. Cesarz nie chciał się jednak wiązać co do punktu, kiedy mianowicie załoga wsiądzie na okręt w Civita-Vecchia; zapewne przewidywał nowe komplikacje na półwyspie. W ostatniej chwili powstały i w Rzymie wątpliwości i wahania, jednak już 12 maja ks. Gramont, załatwiwszy sprawę pomyślnie, wyjechał na urlop. W przeddzień jego wyjazdu, Garibaldi z tysiącem ochotników wylądował pod Marsalą w Sycylji. Flota neapolitańska przyjęła ogniem działowym okręty, wiozące garibaldczyków; lecz w przystani znalazły się jakoś przypadkiem statki wojenne angielskie, których komendant zażądał, aby strzelać zaprzestano, dopóki oficerowie marynarki angielskiej nie wrócą z lądu. Tymczasem ochotnicy szczęśliwie na suche przedostać się zdołali. Pobiwszy pod Catalafimi wojsko neapolitańskie, które podobno uciekło, Garibaldi zajął d. 27 maja Palermo i stał się panem wyspy. Co najciekawsze, że w Anglji

[1]) «*Lettres à M. Panizzi*». 11 maja 1860 r.

znaleźli się ludzie, dobrzy znajomi Panizzego, podejrzewający cesarza francuzów o wspólnictwo z Garibaldim, a zarazem o zmowy z Rosją na zgubę Anglji, naturalnie o Wschód. «Wszak człowiek, co chce podpalić stodołę ze zbożem — odpowiadał Mérimée — nie zacznie od polewania wodą... Co się tyczy Garibaldiego, ja jeden interesuję się jego wyprawą, która mocno się nie podobała cesarzowi, miał bowiem w przyszłym miesiącu wycofać załogę z Rzymu, a teraz znalazł się między młotem a kowadłem. Ekspedycja Garibaldiego mnie się podoba, bo lubię romanse i awantury, lecz smutna to rzecz, iż bohater z romansu może podpalić Europę. Kiedy Tankred z normandami przedsiębrał wyprawę do Sycylji, nie było w Europie prawa międzynarodowego. Ludzie mówią, że teraz takie prawo jest i odwołują się doń, kiedy idzie o kilka sążni śniegu na górach Sabaudji; ale rozumie się niemniej, że siła stanowi najlepsze prawo. Gdyby jaki grek wybrał się z Marsylji w celu oswobodzenia wysp Jońskich, żądających połączenia się z Grecją, Anglja nieomieszkałaby hałasu narobić; pomimo to, miesiąc już temu, lord John Russel mówił w parlamencie, że flota angielska krąży u brzegów Sycylji, aby pomagać uciśnionym. Według tego, co nas dochodzi, wyprawa Garibaldiego wyruszyła wbrew woli rządu Wiktora-Emanuela. Tajne towarzystwa są silniejsze od Cavoura, boją się tylko, że nie mają jego rozumu i że gotowe zaszkodzić sprawie, będącej na bardzo dobrej drodze. Dawniej, gdy jaki lud wyrzucił swego monarchę za drzwi, wynikał z tego wielki skandal; teraz jest to rzecz zwyczajna; ale iść wyswobodzić sąsiada, to znowu co innego i wszystkim daje do myślenia» [1]). Kwestji udziału rządu sardyńskiego w wyprawie Garibaldiego do Sy-

[1]) 23 maja 1860 r.

cylji, nie jestem w stanie dokumentnie traktować; poprzestanę więc na uwadze, że najęcie dwóch statków, wsadzenie na nie tysiąca ludzi i wypłynięcie na pełne morze, nie mogło odbyć się bez wiedzy władz sardyńskich. Wiktor-Emanuel i Cavour o wszystkiem wiedzieli, a nie chcąc i nie mogąc przeszkodzić, pozwolili Garibaldiemu próbować szczęścia. W razie udania się ekspedycji, Piemont zyskiwał szanse nowych nabytków terytorjalnych, w przeciwnym zaś razie pozbywał się burzliwych elementów i owego bohatera z romansu, który poczynał robić Wiktorowi-Emanuelowi nieuczciwą konkurencję. Dodać także potrzeba, że natenczas we Włoszech objawił się silny ruch republikański, rozniecony przez starych koziarzy z roku 1848; na ich stronę chylił się Garibaldi, w duszy republikanin, człowiek ograniczony, słaby, dający sobą powodować, pełen żalów do Wiktora-Emanuela i Napolena III za przyłączenie do Francji swojej własnej kolebki, Nizzy. Rząd sardyński znalazł się w całem znaczeniu słowa między młotem a kowadłem; nie był panem wypadków i prądów, które sam w znacznej części wywołał, i jeżeli nie chciał wszystkiego stracić, musiał w obliczu świata rzucić się w objęcia rewolucji.

Zamach na Sycylję zaniepokoił i uraził dwory monarchiczne, lecz Europa już wtedy nie istniała. Gabinety, delikatnie zaprotestowawszy w Turynie, gdzie Cavour wyparł się współki z Garibaldim, czekały, co teraz pocznie cesarz francuzów? Cesarz w liście do ambasadora francuzkiego w Londynie, z 27 lipca 1860 r., tak określił swoją politykę: «Pragnę, aby Włochy się uspokoiły w jakikolwiekbądź sposób, *n'importe comment*, byle bez obcej interwencji, i żeby załoga francuzka mogła opuścić Rzym, bez niebezpieczeństwa dla papieża». Wskutek wylądowania Garibaldiego pod Marsalą, oraz burdy na terytorjum papiezkiem w Orbitello,

ewakuacja Rzymu została odłożoną; cesarz jednak nie taił, że załoga francuzka ma tam na celu jedynie osobistą opiekę nad papieżem [1]). Los Neapolu był cesarzowi obojętny. «W Neapolu dzieją się opłakane rzeczy!—użalał się Thouvenel przed ks. Gramont. Jeżeli Garibaldi zwycięży, co, na nieszczęście, wydaje mi się bardzo wątpliwem, wtedy Sardynja będzie anektowaną» [2]). Troskę o to mógł bezpiecznie Cavourowi zostawić! Francja miała w tej chwili nowy kłopot z Syrją, gdzie muzułmanie mordowali chrześcjan. Francja ujęła się za chrześcjanami, wysłała wojsko do Syrji i przy tej sposobności ściągnęła na siebie oskarżenia ze strony Anglji o ambitne zamiary na Wschodzie; Rosja również robiła trudności. Mieszając się w sprawy neapolitańskie, cesarz znalazłby był przeciwko sobie wszystkich włochów i Anglję, za sobą nikogo. Cytowano odezwanie się ks. rejenta pruskiego: «Jest to potok lawy; trzebaby być szalonym, żeby tego potoku dotykać, dopóki nie ostygnie». A w końcu, w Neapolu nie było co ratować; ministrowie, wojsko, lazarony, wszystko zdradzało za pieniądze. Garibaldi 7 września zajął Neapol i ogłosił się dyktatorem Włoch południowych. Królowi Franciszkowi pozostała Gaëta, silnie ufortyfikowana twierdza nadmorska, z dostateczną załogą i z częścią floty.

W tym samym czasie Napoleon III popełnił najbrzydszy w całem swem życiu uczynek. Upojony chwałą zdobywcy i pochlebstwem swoich aniołów-stróżów, dyktator neapolitański postawił program następny: republika na południu Włoch, wyprawa na Rzym, potem na Wenecję, potem rewolucja w południowej Francji, w celu odzyskania Sabaudji i Nizzy. *«Es wird*

[1]) List Thouvenela z 29 lipca.
[2]) L. c.

nicht so heiss gegessen wie gekocht», powiada niemieckie przysłowie. Wenecji broniły białe mundury, południowej Francji czerwone spodnie, ale z Neapolu do Rzymu droga niedaleka, Garibaldi zaś był zajadły w nienawiści do papieztwa. Wiktor-Emanuel i Cavour nie życzyli sobie bynajmniej republiki pod bokiem i z takim potentatem na czele. Mieli przed sobą wyjście pełne niebezpieczeństw: przypatrywać się z założonemi rękami tragikomedji neapolitańskiej, doczekać się tam zupełnej anarchji, wtargnięcie dyktatora w granice państwa papiezkiego, starcia z wojskiem papiezkiem, następnie z Francuzami, może jakiej obcej interwencji i restauracji Franciszka II; stracić natenczas szanse aneksji Neapolu i obrócić przeciwko sobie rozwścieczony tłum republikański wszystkich patrjotów włoskich, wszystkich spiskowców i sztyletników. Król drżał o koronę sabaudzką, minister o całe swoje dzieło. Natomiast Garibaldiego można było kupić, zadawalniając jego nienawiść do papieztwa; łatwiej mu wtedy wyperswadować republikańskie zachcianki i jeszcze w dodatku uprzedzić go w zawładnięciu terytorjum papiezkiego, co wydawało się pewniejszem i wygodniejszem, aniżeli darowizna z rąk Garibaldiego, który gotów był dać się pobić przez Lamoricièra. Postanowiono tedy w Turynie zająć bezzwłocznie Marchję i Umbrję, pod pozorem pojawiających się tam ruchów rewolucyjnych. Cesarz zwiedzał właśnie Sabaudję i wybierał się do Algierji. W Chambéry zajechał mu drogę Farini, agent rządu turyńskiego, i otrzymał zezwolenie na najście państwa papiezkiego, które cesarz dał bez rady i wiedzy swego ministra spraw zagranicznych. «Wczoraj— donosił z Rzymu ks. Gramont pod datą 4 września — obnoszono tu list z Turynu z wiadomością, iż cesarz oświadczył Fariniemu, że chętnie zgodzi się na aneksję prowincyj papiezkich, jeśli tylko papieżowi Rzym pozostawiony będzie. Farini dodać miał, iż nie trzeba

żądać od cesarza formalnego przyzwolenia; otrzymał przecież obietnicę, że aneksja nie natrafi na żadne przeszkody, ani materjalne, ani dyplomatyczne». W cztery dni później, 8 września, sprawujący interesy francuzkie w Turynie telegrafował ministrowi: «Gabinet turyński wysyła do kardynała Antonellego notę z oświadczeniem, że jeżeli stolica apostolska nie odprawi obcych żołnierzy, armja sardyńska wkroczy do Marchji i Umbrji, aby nie przepuścić Garibaldiego przez Abruzzy i zarazem bronić zbuntowaną ludność tych prowincyj od wymordowania przez wojsko Lamoricièra». Teraz dopiero Thouvenelowi otworzyły się oczy. «Bałem się—pisał do ks. Gramont tego samego dnia — bałem się, wyznaję, żeby cesarz nie dał się skusić do wyrzeczenia w Chambéry jakich słów, zdolnych zachęcić zuchwałość Cavoura; czułem się w obowiązku zwrócić całą uwagę cesarza na konieczność położenia formalnego *veto* zamiarom Sardynji co do uprzedzenia Garibaldiego w Marchjach, i oto odpowiedź, w tej chwili otrzymana». Cesarz odtelegrafował ministrowi: «Kwestja jest tak jasną, że nie ma nad czem się zastanawiać. Gdyby Austrja została bez powodu zaczepioną, Piemontu bronić nie będę; lecz gdyby Austrja chciała po zwycięztwie naruszyć traktat z Villafranca, wezmę stronę Piemontu. Wiktorowi-Emanuelowi napisać zamyślam: Jeżeli wojsko sardyńskie zajmie, jak mówił Farini, państwo papiezkie po wybuchu powstania i dla przywrócenia porządku, nic przeciw temu mieć nie będę; lecz jeżeli napad na terytorjum papiezkie nastąpi, dopóki moja załoga znajduje się w Rzymie, będę zmuszony odwołać mego posła z Turynu, *et me placer en antagoniste*». Cesarz widocznie wstydził się swego postępku i niby chciał naprawić, ale tak, żeby nic się nie zmieniło. Powstanie już faktycznie było wybuchło; mogło zresztą każdej chwili wybuchnąć, jeżeli nie w jakiem miasteczku, to w gazetach, co, jak wiadomo,

na jedno wychodzi. Drugi ustęp przeczy pierwszemu, grożąc zarazem tylko odwołaniem posła francuzkiego z Turynu. Co miało znaczyć końcowe wyrażenie: *me placer en antagoniste*, cesarz albo sam nie wiedział, albo nie chciał powiedzieć. «Nie pamiętam, ciągnął dalej Thouvenel, żeby mnie kiedy co tak oburzyło, jak potworna wieść o nocie gabinetu turyńskiego. Podobne pogwałcenie wszelkiego prawa, upozorowane bezwstydnym sofizmatem, przechodzi moje pojęcie. Prywatne depesze donoszą, że w Montrelto, w Urbinie, w Pergola i w Sinigaglja wybuchło powstanie i że deputacja z Marchji pojechała do Turynu z prośbą o opiekę króla. Oto są owoce zbytecznych ustępstw cesarza. Stworzono nieład, aby mieć prawo do przywrócenia porządku. Zuchwałe wezwanie, wystosowane do kardynała Antonellego, zmienia jednak stan rzeczy i myślę, że cesarz uzna bardziej niż kiedy koniecznem wystąpić z aktem kategorycznym». Przesławszy cesarzowi telegrafem do Marsylji wiadomość o nocie turyńskiej, Thouvenel dodał od siebie: «Postanowienie rządu sardyńskiego dotyka zasady naszej okupacji Rzymu i stanowi jaskrawe i nieusprawiedliwione pogwałcenie prawa międzynarodowego. Błagam cesarza, aby wziął pod uwagę, że Europa nie uwierzy, iżby krok ten niesłychany dopełnił się bez naszej zgody i że nasze stosunki z mocarstwami stałego lądu, nie wyjmując Rosji, będą wskutek tego mocno zachwiane» [1]). Pomimo to, cesarz nie przestał bawić się w szarady. «Ważne wiadomości, przesłane mi—telegrafował do ministra—skłoniły mnie do wysłania do króla sardyńskiego depeszy tej treści: Wasza kr. mość wie, jak jestem oddany sprawie niepodległo-

[1]) *Annexe Nr. 2 à la lettre du 9 septembre 1860.*

ści włoskiej, ale nie mogę pochwalić środków, obecnie używanych, które od celu odwodzą. Jeżeli prawdą jest, że bez słusznych przyczyn wojska w. kr. mości wejść mają do państwa papiezkiego, będę zmuszonym temu się sprzeciwić, *m'y opposer*. Dziś jeszcze polecam wzmocnić załogę rzymską. Farini zupełnie inaczej wystawił mi politykę w. kr. mości!» [1]). Znowu więc tylko niewyraźne pogróżki. To też na urzędowy protest francuzki Cavour odpowiedział: «Jeżeli Francja wyśle wojsko do Marchji i Umbrji, nasze wojska się cofną» [2]).

Piemontczycy przekroczyli granice państwa papiezkiego, głosząc wszędzie, że czynią to w porozumieniu z Francją. Poseł sardyński w Neapolu, Villamarina, mówił to członkom ciała dyplomatycznego, dodając, że cesarz przystał na aneksję Marchji i Umbrji [3]). Oficerowie sardyńscy to samo parlamentarzom papiezkim powtarzali. Jenerał Cialdini, dowódca wojsk piemonckich, który wraz z Farinim widział cesarza w Chambéry, opowiadał co następuje, księciu de Ligne i drugiemu francuzowi, oficerom w wojsku papiezkiem: «Macie nas chyba za warjatów, jeżeli myślicie, żeśmy się tak daleko posunęli, nie będąc pewni przyzwolenia cesarza. Wierzycie w artykuły «Monitora» i w noty Thouvenela, chociaż oddawna mogliście się przekonać, że wszystko decyduje się wprost między Cavourem i cesarzem, który jest bardziej włochem niż francuzem i dalej od nas idzie. Nietylko cesarz nas nie powstrzyma, ale jeszcze nasz postępek zaaprobuje; mogę wam o tem słowem honoru zaręczyć. Sam mi to w Chambéry powiedział, a przy pożegnaniu rzekł do Fariniego

---

[1]) *Annexe Nr. 4 à la lettre du 9 septembre 1860.*
[2]) 11 września. *Annexe Nr. 4 à la lettre du 16 septembre.*
[3]) List ks. Gramont z d. 22 września.

i do mnie: *bonne chance et faites vite!* Spieszymy się więc przez posłuszeństwo dla cesarza» [1]).

Cesarz miał być w Chambéry wprowadzony w błąd przez Fariniego i Cialdiniego, którzy utrzymywali, że w Marchji i Umbrji grozi wojna domowa i anarchja, oraz że interwencja piemoncka jest nieunikniona, dla powstrzymania mazinistów. Cavour twierdził, że król musiał uprzedzić Garibaldiego, aby siebie ocalić od upadku i Włochy od rewolucji. Ks. Gramont zaręczał jednak, że nigdy Garibaldi nie byłby zdołał pobić Lamoricière; Piemont uciekł się do fałszywych pretekstów, byle dojść do swego celu; w Marchji i Umbrji odgrywała się taka sama niedogodna komedja, jak w Neapolu, gdzie Garibaldi tracił grunt pod nogami i Franciszek II mógł bez cudzej pomocy tron odzyskać, gdyby nie interwencja piemoncka.

Poseł francuzki w Turynie został odwołany 13 września; zarazem Nigra opuścił Paryż. Zerwanie stosunków dyplomatycznych było niezawodnie z obu stron ułożoną komedją dla Europy i dla «ludzi dobrej wiary», albo, nazywając rzeczy po imieniu, dla naiwnych. W Turynie pozostał nadal sekretarz legacji, mający «dostarczać wiadomości i wizować paszporty». Synowica Cavoura, hrabina Alfieri, pisała do przyjaciółki w Rzymie, że Cavoura zerwanie stosunków dyplomatycznych z Francją bynajmniej nie niepokoi; kontent jest, że nie będzie miał między sobą a cesarzem niewygodnych pośredników, jak Talleyrand (poseł francuzki w Turynie) i Thouvenel; z cesarzem zaś pewny jest porozumienia, bo go trzyma węzłami, których cesarz zerwać nie może [2]). Takim węzłem miała być *une monstruosité*, którą pióro ambasadora wzdragało się wypisać; podobno znowu *un chat coiffé!*

[1]) List ks. Gramont z d. 6 października 1860 r.
[2]) List ks. Gramont z d. 18 września 1860 r.

Po powrocie cesarza z Algerji, Thouvenel miał audjencję w Saint-Cloud, którą tak opowiadał swemu ambasadorowi przy dworze papiezkim: «Cesarz żywo potępia politykę Piemontu i jest oburzony na rozgłaszane wieści, jakoby wyrzekł był słowa, upoważniające Cavoura do mniemania, że cesarz zachęcał go lub popierał w tej brzydkiej awanturze. Cesarz przecież nie sądzi możebnem interwenjować w Marchji i Umbrji. W obecnych okolicznościach potrzebaby całej armji, aby naszą wolę Włochom nałożyć; kwestja rzymska poruszyłaby wszystkie inne i wciągnęła nas w poważne komplikacje. W razie potrzeby, wzmocnimy jeszcze naszą załogę w Rzymie i nasza protekcja sięgać będzie tak daleko, jak nam środki pozwolą. Papież zatem może być pewien, iż mu żadne nie grozi niebezpieczeństwo... Zdaniem cesarza, traktat zurichski powinien przeżyć obecne wypadki. Cesarz zamyśla wywołać zgromadzenie kongresu wielkich mocarstw, wraz z Hiszpanją» [1]).

Nieboszczyk kanclerz Beust wspomina w pamiętnikach, że w chwili wejścia piemontczyków do Marchji i Umbrji, zjawił się u niego baron Seebach, poseł saski w Paryżu, nieraz używany przez cesarza do poufnych poselstw, z oznajmieniem, iż cesarz nie sprzeciwiłby się interwencji austrjackiej we Włoszech, pod warunkiem, że w Lombardji żadna nie zajdzie zmiana. Beust przesłał wiadomość do Wiednia, lecz otrzymał tylko grzeczne podziękowanie. Cesarz byłby się może nie gniewał, gdyby obca ręka przyłożyła się do poskromienia unitarnych dążeń włoskich; propozycja, przez Seebacha zrobiona, mogła być przeto do pewnego stopnia szczerą, ale miała niezawodnie i co innego na oku. Postępy rewolucji we Włoszech przerażały i niecierpliwiły Austrję; w Wiedniu przewidywano na-

[1]) List z d. 23 września 1860 r.

paść piemontczyków na Wenecję. W traktacie układów w tej materji między Wiedniem a Paryżem, gabinet wiedeński żądał zupełnej swobody działania we Włoszech. «Na to przystać nie możemy—uważał Thouvenel; Austrja powinna być kontenta, jeżeli pozwolimy jej przeprowadzić *manu militari* traktat zurichski» [1]). Napaść na Wenecję nie nastąpiła. Pozostawiając Austrji inicjatywę do interwencji, cesarz sądził, że łatwiej otrzyma od niej zgodę na poprzestanie na traktacie zurichskim, który był wspólnem dziełem, tudzież, że odwiedzie rząd austrjacki od szukania ucieczki w potrójnem przymierzu dworów północnych. Zanosiło się na zjazd w Warszawie Aleksandra II z cesarzem austrjackim i rejentem pruskim. Na zjeździe rzeczy mogły przybrać obrót dla Francji nieprzyjemny, dla Austrji korzystny. Na to właśnie liczył gabinet wiedeński, w nadziei, że przeciągnie Rosję na swą stronę, odwołując się do uczuć Aleksandra II, do solidarności tronów wobec rewolucji i do innych artykułów świętego przymierza, i dla tego propozycje cesarza zbył milczeniem.

W trudnych przejściach cesarz francuzów miał zwyczaj zalecać jedno i to samo lekarstwo— kongres. Po zajęciu Marchji i Umbrji przez piemontczyków, projekt kongresu wznowił podobno jedynie i wyłącznie, aby chwilowo ułagodzić Piusa IX i nie dopuścić wyjazdu papieża z Rzymu; świadczy o tem wzmianka o udziale w kongresie Hiszpanji, która nie liczyła się wtenczas do wielkich mocarstw, lecz obstawała gorąco za władzą świecką. Stosunki między stolicą apostolską a Francją były do najwyższego stopnia naprężone. Przed wtargnięciem piemontczyków dwór rzymski zapytywał w Paryżu, jak się zachowa załoga francuzka wobec ruchów rewolucyjnych; ale wyraźnej odpowiedzi otrzymać nie potrafił. Pogróżki cesarza, zawarte

[1]) List z d. 9 września 1860 r.

w słowach: «*Je serai forcé de me placer en antagoniste, de m'y opposer*», nikogo w Rzymie zaspokoić nie zdołały, a niebawem zaszły fakty, aż nadto głośno mówiące: wkroczenie piemontczyków, porażka armji papiezkiej pod Castelfidardo, kapitulacja Ankony, podjazdy band rewolucyjnych niemal pod mury wiecznego miasta i zupełna bezczynność załogi francuzkiej. Papieża dochodziły przechwałki piemontczyków, że wszystko dzieje się w zgodzie z cesarzem; ks. de Ligne powtórzył papieżowi swoją rozmowę z Cialdinim i owe klasyczne: «*Bonne chance et faites vite!*» Kiedy ks. Gramont żalił się na nieufność stolicy apostolskiej ku Francji, Pius IX odrzekł mu: «O twojej lojalności nie wątpię, ale czy możesz być pewny, że znasz całą myśl cesarza?» [1]). Na to nie było repliki. Ks. Gramont, rzeczywiście wystraszony, uwierzył w odjazd papieża; zaręczał kilkakrotnie, że papież opuści Rzym w sekrecie, w nocy, wsiądzie na statek i uda się do Wiednia; pod koniec września postarał się o zdemontowanie machiny parowej u korwety papiezkiej, przygotowanej jakoby do uwiezienia Piusa IX. Na dworze rzymskim intransygenci w samej rzeczy parli papieża do wyjazdu; tego samego życzyli sobie najwięksi wrogowie papieztwa we Włoszech i w Anglji. Nigra powiedział Benedettemu: «Pozostaje nam jedna szansa zbawienia—odjazd papieża» [2]). W Rzymie, Odo Russel wobec kilkunastu osób odezwał się z tem, że «bitwy, wygrane przez piemontczyków teraz i w przyszłości, są niczem dla sprawy włoskiej w porównaniu z ruchem zręcznie skombinowanym i zmuszającym papieża opu-

[1]) List z d. 13 września 1860 r.

[2]) List Thouvenela z d. 23 września. Benedetti był dyrektorem spraw politycznych w ministerjum spraw zagranicznych w Paryżu.

ścić Rzym» [1]). W Broadland, u lorda Palmerstona, odbywał się mały kongresik antypapistowski, w którym brała udział rodzina Russellów, Azeglio, Panizzi; wzdychano, aby papież czemprędzej wyjechał i układano, że pełnomocnik angielski w Rzymie z nowym rządem zaraz zawiąże oficjalne stosunki. Francuzka dyplomacja starała się przekonać papieża, że byłoby największym błędem czynić zadość widokom nieprzyjaciół stolicy apostolskiej, radziła przeczekać burzę i wdali ukazywała perspektywę kongresu lub zbiorowej interwencji mocarstw. Jednak dopiero 2 października cesarz zdobył się na określenie wyraźne granic okupacji piemonckiej w państwie papiezkiem; papież zatrzymał Rzym z *ogródkiem* i port Civita Vecchia, niezbędny dla załogi francuzkiej. Nie przez względność dla cesarza, ani naprzekór swoim wrogom, lecz z innych ważniejszych powodów, papież w wiecznem mieście i nadal został, a jednym z tych powodów była niewątpliwie trudność znalezienia bezpieczniejszego siedliska. Co do widoków zbiorowej interwencji mocarstw, stolica apostolska mogła wnosić, jak mało są prawdopodobne, z postawy Austrji, wyrzekającej, że «grunt nie jest dostatecznie przygotowany» i że gabinet wiedeński, prócz sympatji i ubolewań, nic więcej ojcu św. dać nie jest mocen.

VIII.

«Zjazd — pisał margrabia Wielopolski do Helcla 10 listopada 1860 roku — jest jakby nową zwycięzką kampanją Napoleona III; przewyższył on w niej Juljusza Cezara, bo powiedzieć sobie może: *non veni, non vidi, vici*». Lecz dodać trzeba, że zwycięztwo, o ile o

[1]) List ks. Gramont z d. 9 października.

zwycięztwie mowa być mogła, cesarz francuzów zawdzięczał Rosji. «Nie mogę ukrywać—opowiadał książę Gorczakow ambasadorowi francuzkiemu w Petersburgu—że znalazłem wielką nieufność ku Francji, tak ze strony Austrji, jak Prus. Lord John Russel umiał spożytkować obawy Prus o Ren i wmówił w księcia-rejenta, że ze wszystkich mocarstw jedna Anglja może udzielić Prusom skutecznego oparcia wobec ambicji francuzkiej. Austrja przybyła do Warszawy pełna nadziei bez granic, z zamiarem związania Rosji zobowiązaniami napozór niewinnemi. Gabinet wiedeński podniósł kolejno kwestję Wenecji, Węgier, nawet Renu, ale nic nie otrzymał. Na wszystko odpowiadaliśmy: wasze propozycje wiodą do koalicji, my zaś koalicji nie chcemy, pod żadną postacią, choćby ewentualną. Zresztą, koalicja nie prowadzi do waszego celu; przerzuciłaby tylko cesarza francuzów w ramiona rewolucji. Europa jest chorą, widzimy to równie dobrze, jak wy, lecz przekonani jesteśmy, że wasze lekarstwo przyspieszyłoby przesilenie, którego się obawiacie, i że bez pomocy cesarza Napoleona nie potrafimy uniknąć grożącego Europie chaosu. Hr. Rechberg przywiózł spis skarg na Francję, zawierający, między innemi, knowania w Węgrzech, dwa miljony dane Kossuthowi i t. d. Nie mam, odrzekłem, obowiązku wierzyć w to wszystko; wystawmy sobie jednak położenie cesarza Napoleona. Zważywszy nieufności, żywione ku sobie w Europie i niejakie różnice zasadnicze, istniejące, pomimo przyjaznych stosunków, między Francją a Rosją, cesarz Napoleon mógł mówić sobie, że koalicja jest zawsze możliwą; cóż więc dziwnego, jeżeli toleruje roboty tajemne, jeżeli waha się zrywać z potęgami, które mu wstrętne są, które mogą jego własny tron wraz z innemi pochłonąć, ale które mogą także wydawać mu się jedyną i ostatnią ucieczką? Niepokoić go, nie chcieć z nim razem pracować nad uporządkowaniem Europy,

znaczy tyle, co zdążać do wojny o zasady, której wypadku nikt obliczyć nie zdoła. Rosja pragnie odwrócić od Europy podobną klęskę i dlatego nakłania mocarstwa, aby wraz z nią stanęły na gruncie zaufania i zgody. Odjęliśmy Austrji wszelką nadzieję czynnego poparcia z naszej strony; cesarz Aleksander oświadczył, że za broń chwyci jedynie w obronie interesów swego państwa. Jednem słowem, przekonaliśmy Austrję, że nas do koalicji nie wciągnie, i to jest główny rezultat zjazdu» [1]). Cesarz Napoleon niczego więcej nie pragnął. Wprawdzie poseł francuzki w Berlinie donosił, że książę-rejent powrócił z Warszawy w dawnem, nieprzychylnem Francji usposobieniu; że na wypadek wojny między Francją a Austrją o Włochy, Prusy prawdopodobnie pospieszyłyby na pomoc Austrji z większą niż zeszłego roku gorliwością, że wpływ ruski w Berlinie zmalał, teraz przemaga wahanie, przyszłość zdaje się należeć do Anglji [2]); niemniej przecież projekty koalicji w trzech utonęły w nurtach Wisły i widocznem się stało, że Austrja, bez poparcia Rosji, czynnie nie wystąpi, ani też Rosji tak łatwo nie kupi. Mérimée twierdził, że Austrja ofiarowała Rosji gwarancję polskich posiadłości wzamian za poręczenie jej Wenecji i Węgier; Gorczakow na to miał odpowiedzieć, że Rosja gwarancji nie potrzebuje, albowiem w Polsce spokój panuje, zresztą na jednego polaka jest dziesięciu rosjan, podczas gdy nikt nie widział austrjaka. Ks. Gorczakow chwalił się przed ambasadorem francuzkim, że hr. Rechberg kusił go perspektywą uchylenia klauzul traktatu paryzkiego, ograniczających siły morskie Rosji na morzu Czarnem,

---

[1]) Raport ks. Montebello z Petersburga z d. 3 listopada 1860 roku. «*Le secret de l'Empereur*». T. I, p. 283.

[2]) Raport sprawującego interesy w Berlinie z d. 6 listopada 1860 r. «*Le secret de l'Empereur*». T. I, p. 292.

ale on, Gorczakow, usunął kwestję wschodnią z narad warszawskich, aby osobistą sprawą ruską nie utrudniać dzieła pojednania, podjętego przez cesarza Aleksandra. Wice-kanclerz dawał tem do zrozumienia w Paryżu, za jaką cenę Rosja swą przyjaźń oddać gotowa.

Dzieło pojednania w Warszawie wcale nie postąpiło; zjazd zostawił po sobie tylko kwasy między dawnymi sprzymierzeńcami. Monarchowie byli widocznie w złych humorach. Cesarz Aleksander pospiesznie opuścił Warszawę wskutek wiadomości o śmiertelnej chorobie matki; goście dopiero po nim odjechali i zamierzona druga konferencja monarchów spełzła na niczem. W mieście roiło się od agentów francuzkich. Opowiadano, że jeden z nich skradł hr. Rechbergowi z wagonu tekę z papierami i pieniędzmi; pieniądze miał ktoś oddać pod sekretem spowiedzi kapucynom, dla wręczenia właścicielowi. Między służbą, przynajętą do pałaców cesarskich, miało się także znajdować niemało policjantów z nad Sekwany. W Warszawie, podczas zjazdu zjawiły się pierwsze demonstracje, niszczenie sukien paniom w Łazienkach, rozlanie w teatrze smrodliwych ingredjencyj, gwizdanie około powozów odjeżdżających monarchów, rzeczy dawno niesłyszane i bez żadnej kwestji zagranicznego początku. I to była woda na młyn napoleoński.

«Skarżą się tutaj, że niepodobna przeniknąć polityki cesarza — pisał Mérimée do Panizzego 21 października. Za Ludwika-Filipa publiczność wiedziała, czego się trzymać; odkąd wszystkie sprawy są skoncentrowane w głowie niemowy, trudno nawet cokolwiek odgadnąć». Około połowy listopada *niemowa* przemówił i udzielił ciału prawodawczemu i senatowi prawa uchwalania adresu, w odpowiedzi na mowę tronową. To spowodowało zmiany ministerjalne. Rząd potrzebował mówcy, zdolnego bronić politykę cesarską

podczas rozpraw nad adresem; cesarz powierzył ten obowiązek ministrowi spraw wewnętrznych, Billaut, po którym tekę odziedziczył Persigny; Fould ustąpił ministerstwo stanu i domu cesarskiego Walewskiemu. Wiadomem było, że cesarz niechętnie rozłącza się z Fouldem, dobrym rachmistrzem i gospodarzem, bardzo potrzebnym na czele administracji funduszów cesarza i dworu, nie odznaczających się oszczędnością, człowiekiem wiernym, umiarkowanym, dyskretnym, należącym do odcienia liberalnego, podczas gdy nazwisko Walewskiego znaczyło prędzej zwrot w duchu konserwatywnym. Lecz Walewski zawdzięczał podobno posadę staraniom żony, a cesarz poświęcił Foulda, aby Walewskiego trzymać zdala od polityki zagranicznej. Natomiast nominacja ministra spraw wewnętrznych zdradzała wyraźny zamiar stłumienia ruchu katolickiego. Persigny, imperjalista czystej wody, duszą i ciałem cesarstwu oddany, bezwzględny w postępowaniu, na nieszczęście mocno narwany, zagorzały wróg klerykalizmu, nie mógł być czem innem, jak biczem na papistów; wkrótce też rozpoczął wojnę z duchowieństwem i katolikami, stanął po stronie włochów i po swojemu bruździł, jak niegdyś na stanowiskach dyplomatycznych w Berlinie i w Londynie, gdzie działał na własną rękę; składał tysiączne dowody braku taktu i przezorności. Wszystkim niemiły, bo demokrację raził absolutyzmem i kolegów w gabinecie przestraszał niesfornością, Persigny i własnemu panu często ciężył, gadał mu rzeczy, jakich nikt inny mówić nie śmiał; przepowiadał, że gubi siebie, dynastję i bonapartystów; pchał go w kierunku radykalnym. Cesarz to znosił przez wzgląd na niepodejrzaną wierność człowieka, który mu służył od początku i który także trzymał go jak w niewoli wspólnictwem w dawnych przedsięwzięciach i w zamachu stanu. Teraz zaś Persigny wydał się niezawodnem narzędziem do walki z agitacją

katolicką, aby ją zdusić i tym sposobem ułatwić izbom rolę, jaką im cesarz naznaczał.

«Koncesje liberalne—odzywał się Mérimée do Panizzego 27 listopada — wydają mi się dziwne, widzę w nich niebezpieczeństwo na przyszłość. Wyciągać z arsenału instytucyj konstytucyjnych dyskusję adresową i wprowadzać ją tam, gdzie nie ma odpowiedzialnych ministrów, to wygląda na nonsens. Rezultat może być tylko jeden: *verba*, chciałbym módz dodać *praeteroque nihil*, ale we Francji, po słowach, przychodzą rewolucje. Jaka będzie pozycja komisarzy rządowych, obowiązanych bronić adresu, którego nie układali? Co z nimi zrobią, jak zostaną pobici? Czy ich wypędzą z rady stanu, czy też ministrowie dostaną dymisję? Przypomina mi to dobre czasy, kiedy każdy książę krwi miał przy sobie chłopca, co brał rózgą za niego. Powiadają, że idzie o zrobienie próby. Chciano otworzyć klapę, w nadziei, że przez tę klapę nic nie wyjdzie, i że opozycja, nieco głupowata w tej chwili, zostanie rozbrojoną. Z drugiej strony cesarz, widząc ruch katolicki i legitymistowski dosyć silny, bardzo krzykliwy i docierający aż do pałacu, chciałby poszukać w kraju punktu oparcia i wyjścia z kłopotliwych zawikłań włoskich, przez opuszczenie Rzymu. Co do pierwszego punktu, boję się, że wskutek otwarcia klapy powstaną burze, może nie zaraz, lecz później. Co do spraw włoskich, jeszcze mniej jestem spokojny. Księża, kobiety i moda, wiele u nas mogą. Nie dziwiłoby mnie, gdyby papież znalazł obrońców i gdyby adres oświadczył się przeciwko odwołaniu naszej załogi z Rzymu. Nie znam nikogo w Paryżu, coby nie żałował Piusa IX i Franciszka II; inwazja Neapolu okropnie zaszkodziła Wiktorowi-Emanuelowi, cały świat obawia się, żeby on nas nie wciągnął w drugą wojnę włoską... Między załogą rzymską a oficerami naszej eskadry (pod Gaëtą), panuje wielkie rozjątrzenie na

piemontczyków; udział ochotników, pamiętnych z roku 1848, obraża naszą armję; nawet porażka Lamoriciera, jako francuza, zadrasnęła dumę narodową. Mieszczaństwu wstrętnym jest ścisły sojusz z narodem, którego *rzeczywistą* głową jest Garibaldi; prócz tego ten sojusz zdaje się grozić nieuniknioną wojną, pociągającą za sobą rozlew krwi, wydatki i gorsze od wszystkiego, zaszczepienie doktryn rewolucyjnych».

Nie chcąc stanąć w sprzeczności z opinją publiczną i chcąc sobie samemu oszczędzić rzeczy, na którą trudno się zdobywał, decyzji, cesarz zostawiał na wszystkie strony otwarte furtki. Na audjencji, udzielonej jednemu z biskupów francuzkich, począł wyrzekać na zuchwalstwo Piemontu i powiedział, że chce temu koniec położyć, jeżeli znajdzie poparcie w kraju; odwoła się przeto do kraju i pójdzie drogą wskazaną w adresach izb. Przez biskupa wszystko razem miało dojść do wiadomości Watykanu, tudzież rozejść się w Paryżu, na czas jakiś uspokoić niecierpliwych i zająć umysły.

IX.

Jak podejrzane były skargi cesarskie na zuchwalstwo Piemontu, dowodziła aż nadto jasno postawa cesarza w sprawie neapolitańskiej. Garibaldi, zawarłszy pakt z Wiktorem-Emanuelem, przeprowadził plebiscyt, orzekający aneksję Neapolu do Piemontu, złożył dyktaturę i usunął się na Caprerę. Wojska sardyńskie wkroczyły na terytorjum neapolitańskie, flota blokowała Gaëtę, ostatnie schronienie Franciszka II. Cesarz ograniczył się na wysłaniu pod Gaëtę eskadry i oddaniu wojennego statku na usługi króla, aby go przewieźć w bezpieczne miejsce. Królowi dano do zrozumienia, że Gaëtę winien opuścić bez zwłoki, jeśli chce uniknąć kapitulacji; w Paryżu życzono sobie, aby

to jak najprędzej nastąpiło i aby król, omijając Rzym, wylądował w porcie francuzkim, czyli, inaczej mówiąc, ułatwił Wiktorowi-Emanuelowi zabór i swoją osobą nie sprawiał mu przykrości. Życzenia i nadzieje nie spełniły się. Franciszek II trzymał się w oblężonej i bombardowanej Gaëcie do lutego 1861 r. Sardyńczycy przecięli komunikację nawet z ciałem dyplomatycznem, zamkniętem razem z rodziną królewską. Książę Gramont list cesarzowej Eugenji do królowej musiał posłać do Gaëty przez sekretarza ambasady, który, wymknąwszy się z Rzymu chyłkiem, w sekrecie przed władzami papiezkiemi, został przepuszczony przez jenerała Cialdiniego, lecz do fortecy dotarł z narażeniem życia, albowiem piemontczycy ani na chwilę ognia nie zawiesili. «Blokada Gaëty — pisał ks. Gramont 26 stycznia 1861 r. — dotyka ciekawej kwestji, powiedziałbym kwestji *prawa*, gdyby wyraz *prawo* znaczył jeszcze cokolwiek we Włoszech. Mam na myśli odosobnienie ministrów obcych przy królu; w starem prawie, sekwestr osoby pełnomocnego ministra stanowił *casus belli*, ale teraz śmianoby się z czegoś podobnego».

Cavour tentował o kapitulację Gaëty przez gabinet paryzki, który, podjąwszy się pośrednictwa w tak nieczystej sprawie, jeden postawił warunek: nie żądać od króla kapitulacji, będącej upokorzeniem, lecz poprzestać na zawieszeniu broni i dać czas załodze wyczerpania zapasów żywności. Thouvenel dbał mocno o dwie rzeczy: najpierw, aby upadek Gaëty wyprzedził wybory we Włoszech i odjął mazzinistom pretekst do agitowania przeciwko Francji; potem, aby termin zawieszenia broni nie zszedł się z rocznicą śmierci Ludwika XVI, przypadającą na 21 stycznia, coby nieomieszkało rozwścieklić legitymistów na cesarza. Zawieszenie broni miało prócz tego ułatwić cofnięcie eskadry francuzkiej z pod Gaëty. «Nie mamy najmniejszej ochoty — pisał Thouvenel 13 stycznia 1861 r. —

grać w tej chwili roli patrona *piemontyzmu;* oddalamy się z pod Gaëty, aby nie brać odpowiedzialności za anarchję, jaka toczyć będzie Neapol».

Przypatrując się z założonemi rękoma *bolesnej agonji* oblężonych w Gaëcie, dyplomacja francuzka doczekała się wyjazdu Franciszka II. Cesarzowi fortuna oszczędziła przytem wielkiej przykrości. W ostatniej niemal chwili król błagał, aby cesarz telegrafem optycznym oznajmił, czy jest, czy też nie ma żadnej nadziei ratunku dla niego? Zaczem znalazł się czas do przesłania odpowiedzi, zaszła w Gaëcie eksplozja prochowni, dłuższy pobyt stał się niepodobnym i król na statku francuzkim udał się do Rzymu. Cesarz otrzymał od Piemontu zwrot prywatnego majątku wygnanej rodziny, zakupił dobra farnezyjskie w Rzymie, nie przestał jednak nalegać na wyjazd Franciszka II z Rzymu, gdzie jego obecność była solą w oku nowemu władcy Neapolu.

X.

Oświadczenie cesarza, że trzymać się zamierza polityki, wskazanej w adresach ciała prawodawczego i senatu, znaczyło, że cesarz chce zrzucić odpowiedzialność za dalsze wypadki na izby i na stolicę apostolską. Jaka była istotna myśl cesarza o rozwiązaniu sprawy rzymskiej, tego może on sam powiedzieć nie umiał. Przypuszczać trzeba, że w jego głowie walczyły sprzeczne pierwiastki, mianowicie poczucie interesu Francji i obowiązków monarszych, z sympatjami dla Włoch i nałogami konspiratora. Pierwsze kierowały urzędową polityką gabinetu, drugie osobistą dyplomacją cesarza, która tamtej co chwila wchodziła w drogę i jej działanie neutralizowała. Dlatego też trudno

uchwycić na gorącym uczynku myśl przewodnią i określić wszystkie jej metamorfozy.

Dyplomacja drugiego cesarstwa nie odznaczała się talentami. Cesarz nie przebierał w ludziach; niewiele zważał na informacje i doniesienia, drogą regularną nadsyłane, przekładając raporty swoich tajnych agentów; politykę wolał sam prowadzić przy pomocy telegrafu i rozmów w cztery oczy. Nie było miejsca dla tęgich głów i tęgich charakterów, których zresztą Opatrzność Francji poskąpiła. Wychowańców starej szkoły, przywiązanych do tradycji i rutyny, zbijały co chwila z tropu nieprzewidziane zwroty polityki cesarskiej i kryte sztychy imperatora. Kto dbał o karjerę, siedział cicho; kto dbał o osobistą godność, musiał ważyć każde słowo, żeby nie wejść w kolizję z faktami, wyskakującemi jak djabełki z pudełka; lekkie traktowanie doniesień odbierało ochotę do pracy daremnej. Młodzież, którą palce świerzbiały, pisała obficie, dostarczając nieraz ostrzeżeń użytecznych i zbawiennych, na to, żeby poszły do archiwów. Do ważnych poleceń cesarz używał dyplomatów nowej szkoły, pomiatających ustaloną od wieków tradycją, chcących przerabiać Europę, zwolenników wielkich aglomeratów, jedności włoskiej, powiększenia Prus, nowego systemu przymierzy, rzeczy trudnych do osiągnięcia, niebezpiecznych i zdradliwych, które próbowano osiągnąć metodą jeszcze zdradliwszą, kręcąc bez miary i końca. Kiedy się już kręci, trzeba uważać, żeby nie przekręcić. Oni zaś kręcili pajęczyny, jak gdyby to były liny okrętowe.

Ks. Gramont, człowiek średniego talentu, dyplomata z rzemiosła, należał do dawnej szkoły wychowaniem i wyobrażeniami. Cesarzowi całkiem oddany, służył mu wiernie i posłusznie, nawet z zaparciem samego siebie, wystawiając się na srogie razy z różnych stron. Podczas długiego pobytu we Włoszech, miał sposobność poznać ludzi i rzeczy, posiadał przy-

tem dużo zdrowego rozsądku. Swoich opinij nie narzucał, ale i nie ukrywał, a wtedy czuć było, że mówi z przekonania, z przywiązania do cesarza i Francji— że przez jego usta odzywa się prosty instynkt narodowy i poczucie interesu francuzkiego. Taką cechę nosił ustęp z listu 29 grudnia 1860 r.: «Przekonany jestem, że jedność włoska jest dla Francji rzeczą szkodliwą, *une chose détestable*, i gdyby cesarz na nieszczęście skłonił się do tej kombinacji, Francja kiedyś do surowego obrachunku pociągnie cesarza i tych wszystkich, co wraz z nim do zjednoczenia Włoch się przyczynili». Była to święta prawda. Jako środek przeciwko zupełnemu zjednoczeniu Włoch, wskazywał utrzymanie władzy świeckiej papieża. Radził nie spieszyć się z rozstrzygnięciem kwestji rzymskiej i czekać, jak we Włoszech obrócą się rzeczy; stawiał dla Piemontu horoskop niepomyślny, przewidywał niezwyciężone trudności, i w tem nie on jeden mylił się; lecz miał słuszność nalegając, aby cesarz unikał mieszania się w układy, które Cavour w Rzymie zawiązać usiłował, gdyż te układy do niczego nie doprowadzą. «Zgóry zapewnić mogę, kończył, że byłoby równie pożytecznem i praktycznem proponować papieżowi przejście na protestantyzm».

Cesarz, mówiąc o Włochach, używał zawsze wyrażenia: «niepodległość Włoch», nigdy: «jedność Włoch». W Plombières, w Villafranca, w traktacie zurichskim, w naradach cesarza z Thouvenelem, wracała ciągle federacja włoska. Z tego wszystkiego wnosićby trzeba, że cesarzowi wielkie Włochy pod berłem sabaudzkiem wydawały się, jak i ks. Gramont, rzeczą dla Francji szkodliwą. W sprawie aneksji księztw, w sprawie Marchji i Umbrji, w kwestji neapolitańskiej, cesarz mógł swoje postępowanie jako tako, choć licho, obronić, składając się okolicznościami, obawą rewolucji, niemożnością, zasadą szanowania woli mieszkańców i róż-

nemi fikcjami, jakiemi wojowała polityka europejska drugiego cesarstwa, w zgodzie ze zwolennikami naprawy świata. W kwestji władzy świeckiej papieża cesarz mógł się zasłaniać argumentem, wprawdzie kulawym, lecz choć napozór słusznym, że stolica apostolska już oddawna nie była w stanie utrzymać swej władzy o własnych siłach, bez załogi austrjackiej lub francuzkiej, co ścieśniało swobodę głowy kościoła i pociągało za sobą niesnaski między mocarstwami. Odkąd jednak władza świecka papieża została zredukowaną *de facto* do posiadania Rzymu z *ogródkiem*, powyższe argumenty upadały. Idąc jeszcze dalej, popierając pretensje Wiktora-Emanuela do Rzymu, cesarz bezpośrednio przykładał rękę do zupełnego zjednoczenia Włoch, wyrzekał się projektu federacji, stawał w sprzeczności z urzędową swoją polityką i osobistemi zobowiązaniami względem Piusa IX, przymnażał sobie samemu domowych kłopotów i wewnętrznych trudności.

Wiktor-Emanuel z Cavourem straszyli cesarza Garibaldim i Mazzinim, wyprawami obu ostatnich na Wenecję i na Rzym, którym oni ani przeszkodzić, ani obojętnie przypatrywać się nie potrafią, które postawią Francję w trudnem położeniu i wciągną albo w wojnę z Austrją, albo w walkę z rewolucją powszechną. Żądali przeto pomocy cesarza w zaborze Neapolu, w wykupnie Wenecji i w przeniesieniu stolicy do Rzymu, przez co wzmocni się powaga króla i położy tama rewolucyjnym zamachom, tudzież ciągłym swarom międzynarodowym. Między Turynem a Paryżem posłował adjutant króla, Vimercati. Ks. Gramont uprzedzał ministra, że to człowiek niepewny i niebezpieczny. Thouvenel go uspakajał, zaręczając, że cesarz po każdej rozmowie z włochem każe włochowi iść do ministra spraw zagranicznych i powtarzać, co mówił cesarzowi. Co się Neapolu tyczyło, cesarz statecznie

Włochom dopomagał. Propozycję wykupna Wenecji, sama Anglja, której to był pomysł, na teraz cofnęła. Z Rzymem Cavour osobiście szczęścia tentował, a cesarz był tak słabym i nierozważnym, że i w tej robocie palec maczał i od siebie podsuwał kombinacje, mające na celu Wiktora-Emanuela obok papieża w wiecznem mieście zainstalować.

Pod koniec roku 1860 stosunki cesarza ze stolicą apostolską przybrały nieco odmienną postać. Zjazd warszawski i zapowiedź Napoleona, że politykę swą zastosuje do wskazówek przez izby w adresach udzielonych, zrobiły w Watykanie wrażenie Francji przychylne o tyle, że się z nią bardziej liczyć poczęto. Na audjencji, udzielonej ks. Gramont w święta Bożego Narodzenia, Pius IX z goryczą wspominał o rezultacie zjazdu w Warszawie. «Zgodzono się, aby nic nie robić; zjazd przejdzie do historji, jako dowód bezsilności i niezręczności. Trzej monarchowie zgromadzili się, aby od jednego z pomiędzy siebie usłyszeć rozkazy cesarza francuzów. Poddanie się monarchów wyrokom cesarza świadczy tak dobrze o potędze Francji, jak i o niemocy innych państw. Monarchowie, nie czując się w stanie przeprowadzenia polityki, zgodnej z ich widokami, zrzucili na barki cesarza Napoleona cały ciężar obecnych trudności. Ufałem zawsze Francji i od niej tylko oczekuję pociechy i dobrodziejstw dla kościoła» [1]). O cesarzu papież wspominał teraz z umiarkowaniem i dobrocią; kardynał Antonelli był słodszy niż kiedykolwiek, chociaż rząd francuzki okazywał się twardym w stosunkach ze stolicą apostolską, a cesarz bardzo oziębłym i obrażonym. Intransygenci na dworze rzymskim—wymieniano msgra Mèrode i tak zwaną antykamerę papiezką—przy każdej okazji, demonstracjom na korzyść władzy świeckiej nadawali cechę de-

[1]) «*Le Secret de l'Empereur*». T. I, p. 339.

monstracji przeciwko cesarzowi; wszelkie zajścia podobno były wyzyskiwane we Francji przez nieprzyjaciół cesarstwa i mocno drażniły cesarza. W Paryżu odpłacano sowicie za najmniejszą przykrość. Persigny wojował z klerykalizmem na swój sposób, brutalny i gwałtowny; z jego natchnienia La Gueronnière wydrukował nową broszurę, uderzającą na osobę papieża [1]); rząd francuzki ogłosił, bez zapytania poprzedniego Rzymu, nominacje dwóch biskupów, którym papież musiał odmówić prekonizacji. Wielu biskupów francuzkich wystąpiło z listami pasterskiemi, w tonie dla cesarza mniej więcej nieprzychylnym, często nienawistnym. Kardynał Morlot, arcybiskup paryzki i wielki jałmużnik cesarza, pragnął usunąć się; słusznie albo niesłusznie przypisano jego postanowieniu znaczenie polityczne i zamiar okazania światu, że z dworem cesarskim nic wspólnego mieć nie może. Dla cesarza był to raz dotkliwy; zażądał więc, aby kardynał złożył wszystkie godności wraz z purpurą. Pius IX napisał list do cesarza, zwracając jego uwagę na niestosowność nominowania biskupów, bez wiedzy stolicy apostolskiej; w sprawie kardynała Morlot papież żądał, aby cesarz przedewszystkiem wymienił nazwiska kandydatów na arcybiskupstwo [2]). List tchnął łagodnością i delikatnością, cesarz odpowiedział pismem pełnem skarg i wyrzutów: «Zgodę między monarchami i głową kościoła zawsze uważałem za konieczną dla szczęścia narodów katolickich. Gdy ta zgoda istnieje, wszystko idzie łatwo, kwestje miłości własnej i ścisłego prawa nikną wobec przyjaznego porozumienia i wzajemnych ustępstw. Lecz gdy nieszczęśliwe okoliczności wzniecą

[1]) «*La France, Rome et l'Italie*». Thouvenel tak się wyrażał o tym pamflecie: «*La nouvelle brochure m'a causé de grands ennuis. L'empereur, cette fois, n'y est pour rein* (d. 17 lutego 1861 r.).

[2]) «*Le secret de l'Empereur*». T. I, p. 368.

nieufność i prawie nieprzyjaźń (*hostilité*) między władzami ustanowionemi od Boga, aby żyć w zgodzie, wszystko trudnem się staje, najlżejsze różnice przeradzają się w ważne trudności. To, co się dzieje od półtora roku, jest tego oczywistym dowodem. Odkąd wypadki, przez stronnictwa wyzyskiwane, potrafiły podać w wątpliwość moje uczucia dla papieża, duch nieufności zajął miejsce dawnej harmonji; w Rzymie, równie jak w Paryżu, wszystko co przychodzi z drugiego kraju, wydaje się podejrzanem. Moje postępowanie było jednakże jasnem w czynach, czystem w intencjach. Udając się na kampanję do Włoch, oświadczyłem w. św., iż wojnę rozpoczynam z dwoma uczuciami w mem sercu zakorzenionemi: niepodległością Włoch i nietykalnością władzy świeckiej papieża; dodawałem, że nie ukrywam przed sobą trudności pogodzenia tych dwóch spraw i że dołożę starań, aby ten cel osiągnąć. Tej obietnicy pozostałem wiernym, o ile mi interes Francji pozwolił. Fakty mówią same. Przy zawarciu pokoju, chciałem papieża postawić na czele konfederacji włoskiej i tym sposobem zwiększyć jego potęgę i wpływ moralny. Gdy rewolucja uprzedziła moje zamiary, zaproponowałem mocarstwom katolickim zagwarantowanie stolicy apostolskiej reszty jej posiadłości. Pomimo, że Rzym stał się gniazdem wrogów mego rządu, pozostawiłem w Rzymie moją załogę. Gdy bezpieczeństwo w. św. tego wymagało, wzmocniłem korpus okupacyjny. Cóż wzamian zebrałem? Wystawiono mnie jako przeciwnika stolicy św., podburzono przeciwko mnie duchowieństwo francuzkie, posunięto się do tego, że żądano od arcybiskupa paryzkiego dymisji z jałmużnictwa; usiłowano przemienić hierarchję duchowną w obcą administrację, ściągającą pobór rekruta i danin, wbrew prawom krajowym [1]). W końcu,

[1]) Aluzja do werbowania ochotników papiezkich i zbierania składek.

Rzym został ogniskiem konspiracji przeciwko memu rządowi, chociaż człowiekowi, co otwarcie przeciwko mnie jako stronnik republiki występował, pozwoliłem objąć dowództwo armji papiezkiej [1]). Wszystkie te wrogie postępki nie zmieniły mojej postawy. Uczyniłem, co mogłem, aby utrzymać władzę papieża, bez narażenia interesów Francji. Zarzucają mi przecież, że nie dość zrobiłem. Zarzut pojmuję, ale oto moja odpowiedź: Obok należnej czci dla głowy kościoła, moje wojska, dopóki honor Francji nie będzie dotknięty, nie staną się narzędziem ucisku obcych narodów; a potem, raz przedsięwziąwszy wojnę o oswobodzenie Włoch, wspólnie z Piemontem, było dla mnie absolutnem niepodobieństwem obrócić się nazajutrz przeciwko Sardynji, pomimo całej naganności polityki sardyńskiej» [2]). Ile zdań, tyle paradoksów i sofizmatów. Cesarz odmówił nawet wymienić nazwisko następcy kardynała Morlot, zachowując sobie swobodę wyboru człowieka, który mu się wyda odpowiednim pod względem religijnym i politycznym.

Sam Thouvenel nie był kontent z tonu listu cesarskiego; «*je craignais que la lettre ne mît le feu aux poudres*», przyznał się później przed ambasadorem. Tymczasem Piusa IX list prędzej zadowolnił; miał mówić, że jest szczery, poważny i pełen uszanowania dla głowy kościoła; ambasadorowi hiszpańskiemu papież rzec miał nawet: «Nie mogę skarżyć się, cesarz wiele robi dla mnie i jest, jak sądzę, dobrze usposobiony» [3]). Tak, w porównaniu z innymi, cesarz robił tyle dla stolicy apostolskiej, że utrzymując załogę w Rzymie, bronił papieża od najazdu sardyńczyków.

[1]) Lamoricière.

[2]) D. 8 stycznia 1861 r. «*Le Secret de l'Empereur*». T. I, p. 373.

[3]) List ks. Gramont z d. 2 lutego 1861 r.

Spieszno mu jednak było i tej protekcji koniec położyć. «Jestem przekonany—pisał Thouvenel—że cesarz, pomimo trudności, jakie mu sprawia okupacja Rzymu, nie myśli cofać załogi, dopóki papież nie opuści wiecznego miasta, lub nie zawrze układu z Wiktorem-Emanuelem» [1]).

XI.

Wypadki ówczesne, dotykając najwyższych zagadnień ludzkości i najczulszych strun natury człowieczej, potęgowały starcia namiętności, interesów wielkich i małych, powszechnych i osobistych. Zrodziła się ztąd atmosfera, sprzyjająca mnożeniu się moralnych grzybków; gorączka ogarniała i zimniejsze głowy, lęgły się niezliczone intrygi, kłamstwa i plotki, utrudniające odróżnienie prawdy od bajek. Tyczy się to szczególnie skrytych intencyj i kroków cesarza w sprawie rzymskiej.

Ks. Gramont, zaniepokojony zwrotami cesarza w postępowaniu z papieżem, postawił ministrowi spraw zagranicznych dnia 13 listopada 1860 r. kategoryczne pytanie: «Proszę mi powiedzieć, ale całkiem jasno, czy cesarz bardzo stoi o pozostanie papieża w Rzymie?» Wyraźnej odpowiedzi nie otrzymał. Złe języki przypisywały cesarzowi słowa: «Papież znowu zabiera się do wyjazdu, *je voudrais que la chose fût faite, cela avancerait bien les affaires*» [2]), ale mogły one paść w chwili zniecierpliwienia; cesarz był bowiem zewsząd naciskany i trapiony, a w dobrowolny wyjazd Piusa IX niebardzo wierzył, choć ks. Gramont upewniał, że on papieża za połę od sutanny zatrzymał. Czy chwilami,

[1]) List z d. 10 lutego 1861 r.
[2]) «*Mémoires du comte Horace de Viel-Castel*».

pod wpływem otaczającej atmosfery, nie zaczynał oswajać się z myślą wyjazdu papieża, wierzyć, że to uprości rozwiązanie sprawy — to inna materja. W listach do Panizzego, Mérimée, powtarzając co około niego mówiono, świadczy, na czem fundowali przeciwnicy papieztwa swoje rachuby. Osoba Piusa IX zawadzała im w Rzymie; spodziewali się, że inwazja sardyńska do Marchji i Umbrji skłoni papieża do wyjazdu; gdy to zawiodło, przepowiadali, że przecież wyjazd nastąpi lada dzień; w końcu, uwierzyli w blizką śmierć Piusa IX. Papież był w podeszłym wieku, otyły, dotknięty puchliną w nogach, ulegał omdleniom; gdyby z dopuszczenia Opatrzności trafił się *un accidente al papa*, rzeczy poszłyby jak z płatka: na tronie papiezkim zasiadłby człowiek zgodny, gotów ustąpić Wiktorowi-Emanuelowi na rezydencję Kwirynał. Rachuba na śmierć Piusa IX stanęła na porządku dziennym nieco później, gdy inne kunszty zawiodły; mówiono o niej bezustanku w gazetach i w korespondencjach dyplomatycznych, jako o wypadku, który długo na siebie czekać nie każe. W zimie z r. 1860 na 1861, poprzestawano na pobożnem życzeniu, aby papież pożegnał swoją stolicę i Włochy. Kładziono to w uszy Napoleonowi III i ten mógł w niejednej słabej godzinie ulegać pokusie.

Nad Tamizą, w ministerstwie spraw zagranicznych, siedział lord John Russel, jedna z najciaśniejszych i najtwardszych głów, jakie wydała ziemia angielska, uparty a tchórzem podszyty, gdy się znalazł wobec mocniejszego od siebie, zawzięty i zaślepiony antypapista. Polityka angielska popierała zjednoczenie Włoch, przez zazdrość i nieufność ku cesarzowi i Francji. Lord John, mając w dodatku na sercu pognębienie papizmu, nie cofał się przed podstępem i z łatwowiernością starej baby sztukował plotkarstwem. «Lord Russell—pisał książę Gramont z Rzymu d. 2 marca 1861

roku—zawiadomił swego synowca, że Francja zaproponowała Sardynji mieszaną okupację Rzymu. Odo Russell bardzo tem ucieszony, według niego bowiem jest to pewny środek wypędzenia papieża z Włoch». «Nigdy cesarz nie myślał robić rządowi sardyńskiemu podobnej propozycji» — brzmiała telegraficzna odpowiedź Thouvenela. Stryjaszek albo skłamał, albo bałamucił, ale synowiec, człowiek wytrawny, spokojnego temperamentu, zwykle prawdomówny, głosił po Rzymie: «Mam dobre informacje, lepsze niż ks. Gramont, i ręczyć mogę, że dominującą myślą cesarza jest zrobić z papieża prostego biskupa» [1]). Żeby tak było, na to nie ma najmniejszego dowodu; z dokumentów i faktów wypływa prędzej wniosek przeciwny. Z tego szczegółu wystawić sobie można, w jakim labiryncie fałszów i przewrotności kwestja rzymska była uwikłaną.

Natomiast faktem jest, że Napoleon III dążył w owej chwili do tego, aby Wiktor-Emanuel posiadł Rzym jako stolicę Włoch i papież zamieszkał obok niego jako głowa kościoła.

Cavour utrzymywał w Rzymie półurzędowego agenta, w osobie jednego z najbardziej wziętych lekarzy, nazwiskiem Pantaleone. Eks-jezuita ks. Passaglia, przysłany z Turynu w pomoc medykowi, przywiózł propozycję tej treści: zrzeczenie się ze strony papieża władzy świeckiej, wzamian za wielkie swobody religijne i korzyści materjalne, uroczyste uznanie ze strony Piemontu własności i przywilejów terytorjalnych dworu papiezkiego, oraz zabezpieczenie bytu duchowieństwa świeckiego i zakonnego [2]). Posłowie Cavoura dotarli do kardynała Santucci, który podjął się zawieść poselstwo do Watykanu i został za to przez Piusa IX połajany; zarazem Pantaleone dostał od policji papiez-

[1]) List ks. Gramont z d. 9 lutego 1861 r.
[2]) «*Le Secret de l'Empereur*». T. I, p. 393.

kiej rozkaz wyjazdu z Rzymu. Ks. Passaglia, w rozmowie z kardynałem Antonellim, twierdził, że propozycje sardyńskie były ułożone między Cavourem i cesarzem, i przez tego ostatniego aprobowane. To samo w policji powtórzyć miał Pantaleone, lecz się tego później wyparł. Kardynał Antonelli podobno także zaprzeczył wieści o pogadankach z eks-jezuitą, który jednak w Rzymie się rozgościł i posyłał do Turynu raporty o przebiegu układów z kardynałami, o naradach wielkich teologów nad kwestją, czy prawo kanoniczne pozwala papieżowi wchodzić w kompromis co do władzy świeckiej. Książę Gramont zawczasu ostrzegał swój rząd, że wszystko na nic się nie przyda, że ks. Passaglia albo się łudzi, albo przechwala stosunkami z kardynałami, że jego teologów nie można brać na serjo—w końcu, że poseł Cavoura dobrał sobie na pomocników indywidua z pod ciemnej gwiazdy, z których jeden podejrzany, drugi przekonany o oszustwo. Rząd francuzki znał propozycje włoskie, i nie mieszając się wprost do układów, ciekawie śledził ich przebieg. Około połowy marca, cesarz w największym sekrecie, z ręki do ręki, wręczył Thouvenelowi do przeczytania list, w którym ks. Passaglia zdawał Cavourowi sprawę z poselstwa. Thouvenel list skopjował i posłał ks. Gramont, zalecając największą dyskrecję i dodając, że on, Thouvenel, byłby mocno skompromitowany, gdyby fakt skopjowania listu został odkryty. Negocjacje ks. Passaglii trwały parę miesięcy i nie przyniosły, naturalnie, żadnego rezultatu.

Wiktor-Emanuel wyprawił także wtedy do Rzymu własnego posła, który po wiecznem mieście chodził w przebraniu. Tego, co ks. Gramont pisze o węzłach, łączących tego posła z królem, lepiej na tem miejscu nie powtarzać. Sprawa Wiktora-Emanuela i Cavoura musiała być złą i nieczystą, skoro porządni ludzie od niej stronili. Do układów z Watykanem używano po-

spolitych intrygantów i awanturników, w porównaniu z którymi agenci, wysyłani do Paryża albo do Berlina, byli wielkiemi figurami. Na tem nie koniec. W wiecznem mieście istniały komitety rewolucyjne, działające w porozumieniu z tajnemi towarzystwami włoskiemi i z rządem turyńskim, złożone po większej części z indywiduów, znanych z nazwiska i osoby i pomimo to, tolerowanych.

Rząd papiezki był słaby, bo stojący siłą obcych bagnetów, bojaźliwy, najgorzej obsłużony. Policja słynęła z niedołęztwa; umiała trząść kuferki podróżnych, szukać w nich książek zakazanych, rewidować paszporty przez lupę, czy nie są podskrobane, ale nic więcej. Byle paszport znajdował się w porządku, nie zważała na peruki, fałszywe brody, okulary, wypchane brzuchy i inne teatralne przybory. Dzisiejszy pierwszy minister króla Humberta przyjechał w biały dzień granicę rzymską i neapolitańską, z cudzym paszportem, utrefiony jak aktor; dotarł szczęśliwie do Neapolu i miasto zrewoltował. Agenci włoscy, posyłani do Rzymu, bywali zaopatrzeni w potrzebne dokumenty i akcesorja, nie wyjmując brzęczących argumentów. Słabość rządu papiezkiego czyniła go tem samem bojaźliwym; nadto, nie można było wiedzieć, czy jaki agent rewolucyjny nie jest przypadkiem w służbie policji francuzkiej, zainstalowaniej w Rzymie wraz z korpusem okupacyjnym, albo też protegowanym angielskim; w niewiadomości zaś bezpiecznej było go nie tykać, nie wystawiać na reklamacje półurzędowe i krzyki w dziennikach. Ustawiczne knowania rewolucyjne niepokoiły i drażniły władze papiezkie, z natury swej i położenia obowiązane do większej niż inne skrupulatności, aby nie wyrządzić komu krzywdy i nie ściągnąć na siebie oskarżeń, przypominających wprawdzie przypowieść o belce i źdźble w oku, ale niemniej przykrych, bo sięgających po nad głowami wykonawców do osoby namiestnika

Chrystusowego. Często gęsto zdjęte strachem, lub fałszywie poinformowane, władze papiezkie uciekały się do surowej represji i wtedy nie grzeszyły ani zręcznością, ani trafnym wyborem środków i chwili, ani też miarą i zachowaniem form prawnych; ale to były wyjątki, stosunkowo dosyć rzadkie. Wszystko razem wziąwszy, ten rząd, okrzyczany tyrańskim i barbarzyńskim, był pobłażliwy, wyrozumiały, patrjarchalny we włoskiem i południowem pojęciu słowa, płynącem z miejscowych obyczajów i zwyczajów.

Ile razy jaki konspirator dostał się w Rzymie do kozy, w Europie sypały się skargi na rząd papiezki, że patrjotów zamyka, lecz pospolitych zbrodniarzy wolno puszcza. Zapominano tylko dodać, że na jednego zbrodniarza chodzącego wolno, znalazłoby się co najmniej dziesięciu rewolucjonistów, kwalifikujących się pod klucz. Prefekt policji francuzkiej w Rzymie opowiadał, że gdy w rozmowie z dyrektorem policji papiezkiej wspomniał o człowieku, co zabiwszy bliźniego, chodzi najspokojniej po mieście w odzieniu swojej ofiary, włoch zaczął się trząść od śmiechu: «Jak ci francuzi zawsze wszystko przesadzają! Powiadasz, że chodzi w odzieniu swojej ofiary, a on raptem nosi kamizelkę, *solomente un giletto*»!... Kamizelka wydawała się francuzowi rzeczą niesłychaną, włoch się nią nadzwyczajnie nie gorszył, bo na południu pchnięcie nożem lud uważa za nieszczęśliwy przypadek, każdemu mogący się przytrafić. Cesarzowa Eugenja, podróżując po Korsyce, wspomniała tamtejszemu biskupowi o głośnem natenczas zdarzeniu zabójstwa, popełnionego przez zemstę rodzinną; sprawca, młody i tęgi chłopak, ukrywał się od długiego czasu. Biskup odrzekł, że żandarmerja go szuka, ale kryjówki znaleźć nie może. Gdy cesarzowa wtrąciła, że taki młody chłopiec mógłby się jeszcze poprawić, gdyby przedostał się do Algeru i wstąpił tam do wojska — biskup raptem, złożywszy ręce, zawołał: «*Oh! madame*,

me permettez-vous de le lui faire savoir»?!... Człowieka, który wobec kodeksu kryminalnego francuzkiego był zbrodniarzem, kodeks obyczajowy korsykański uważał za bohatera. U nas, póki szlachta nosiła kordy, krwawe bójki bywały codzienną rzeczą i nikt się tem nie gorszył; teraz, nawet krakowskie zuchy wiejskie oduczyli się żgać kozikami. Reforma obyczajów oduczy kiedyś włochów od chwytania za nóż, lecz dotąd każe czekać na siebie, pomimo upadku władzy świeckiej papieża. W końcu zaś, wiemy dobrze, jak często zachodnia sprawiedliwość przymykała i przymyka oczy na powszechnie wiadome nadużycia, chwilowym obyczajem tolerowane, naprzykład na sztuczki giełdowe.

W tolerancji, użyczanej posłom i agentom piemontyzmu, było jeszcze coś więcej— poczucie solidarności narodowej. Kruk krukowi oka nie wykole; włoch z włochem spotykał się na gruncie sprawy, obchodzącej cały naród. Bądź co bądź, Wiktor-Emanuel reprezentował Włochy niepodległe, uwolnione od obcych rządów i obcych wpływów. Rzadko kiedy dwóch ludzi dzieliła głębsza przepaść, jak Piusa IX i Wiktora-Emanuela, a przecież do końca między Watykanem a Kwirynałem utrzymywały się nici sympatyczne, bo, prócz innych względów, włoska krew płynęła w żyłach i papieża i króla.

Pod koniec marca 1861 r., kilkadziesiąt wojskowych furgonów sardyńskich znalazło się jednego wieczora u bram Rzymu. Przez miasto przejechać im nie pozwolono, więc karawana okrążyła mury, u przeciwległej bramy przenocowała i nazajutrz najspokojniej ruszyła ku Florencji. A celnicy, żandarmi, policja? Włosi między sobą interes po przyjacielsku załatwili. «*Buffoni, tutti buffoni, buffoni di quà, buffoni di là, noi siamo tutti buffoni*», mówił Pius IX do ks. Gramont [1]).

[1]) List z d. 30 marca 1861 r.

Napoleon III mógł też czasem sobie w duchu szeptać: przecież oni się pogodzą!

XII.

Nadszedł dzień otwarcia izb francuzkich, 4 lutego 1861 r. W mowie tronowej cesarz oznajmił, że unikać będzie sporów, o ile sprawa Francji, oparta na prawie i sprawiedliwości, bezpośrednio dotkniętą nie zostanie, że trzymać się zamierza polityki nieinterwencji i dlatego odwołał eskadrę z pod Gaëty, że pójdzie drogą pośrednią między skrajnemi kierunkami, z których jeden chce Francję postawić na czele rewolucji, a drugi na czele powszechnej reakcji. Lakoniczny ustęp o Rzymie niósł, że cesarz wzmocnił załogę francuzką, gdy bezpieczeństwo papieża tego wymagało; wzmianka o sympatjach cesarza *pour une infortune royale si noblement supportée* [1]) wywołała grzmot oklasków. To wszystko wraz z duchem pokojowym, tchnącym z mowy, sprawiło w Paryżu korzystne wrażenie, nie obrażając stronnictw nieprzejednanych. Anglicy, jak świadczy Martin w «Życiu ks. Alberta», powynajdowali w mowie cesarskiej różne wątpliwości, sprzeczność z machinacjami na Wschodzie, przypisywanemi cesarzowi francuzów. W Rzymie wzięto rzecz na zimno. Pius IX odpisał, pod datą 14 lutego, na wyżej przytoczony list Napoleona III. Odpowiedź była arcydziełem w swoim rodzaju. Papież zaczął od podziękowania cesarzowi za wyznanie, że zgoda między monarchą a głową kościoła jest potrzebną dla szczęścia narodu,

[1]) Aluzja do losu rodziny neapolitańskiej, w Gaëcie zamkniętej.

dołączając delikatną nauczkę, że wtedy kwestje miłości własnej w samej rzeczy nikną, kwestje prawa zaś redukują się do swobody namiestnika Chrystusowego w spełnianiu swego posłannictwa. «Nieufność— ciągnął dalej Pius IX — od półtora roku niezaprzeczenie znaczne uczyniła postępy, ale tutaj niech mi wolno będzie mówić z całą szczerością. Upewnić mogę w. c. mość, że jeżeli kiedy z pod mego pióra padło jakie słowo, twardem wydawać się mogące, czyniłem to z całym spokojem serca i duszy. Powiem więcej: wobec wdzięczności, jaką czuję dla w. c. mości, za dobrodziejstwa dawniej świadczone kościołowi, ostatnie wypadki nie pozostawiły we mnie goryczy ku osobie w. c. mości, i gdyby sposobność się nadarzyła, uściskałbym w. c. mość po ojcowsku, jako nadzwyczajnego człowieka, którym Pan Bóg mógłby się posłużyć dla przywrócenia światu porządku i pokoju, a religji swobody i niezależności. Wolno spodziewać się, że ta nadzieja spełnioną zostanie». Na tem miejscu papież streścił dzieje polityki cesarza w sprawie włoskiej, począwszy od odezwy, wzywającej włochów do broni, która «rozpuściła stado dzikich zwierząt, teroryzujących spokojne owieczki». Wspomniał, jakim sposobem margrabia Pepoli, «fanatyk i energumen», wzniecił powstanie w Bolonji; przypomniał cesarzowi, że ofiarując prezydencję konfederacji włoskiej papieżowi, żądał zarazem od stolicy apostolskiej ustępstw terytorjalnych; starał się dowieść, że cesarz niesłusznie skarży się, jakoby Rzym był gniazdem jego wrogów, jakoby powołanie Lamoricièra i ochotników francuzkich w szeregi wojska papiezkiego, miało być aktem cesarstwu nieprzychylnym; a nakoniec, wytknął cesarzowi bardzo delikatnie, lecz bardzo wyraźnie, wspólnictwo w inwazji Marchji i Umbrji. Tu Pius IX brał Napoleona III za słowo: «Odkąd w. c. mość potępiła w mowie tronowej wszelki gwałt, przeciwny prawu narodów i sprawiedliwości,

pewien jestem, że potępi również zabór Marchji i Umbrji przez piemontczyków, jako gwałcący prawo narodów i sprawiedliwość» [1]). Na takie *dictum* cesarz francuzów niełatwo mógł znaleźć argument.

Adres ciała prawodawczego sparafrazował mowę tronową i wodnistą polewkę zwrócił cesarzowi. W senacie wywiązała się gorąca dyskusja. Ogień otwarł legitymista, margrabia de la Rochejaquelain; był, powiada Mérimée [2]), bardzo gwałtowny, rozwlekły, dosyć nudny, obelżywy dla Wiktora-Emanuela; zdaje mi się, że wszyscy są zmęczeni, ale że, koniec końcem, jest dużo sympatji dla papieża i króla neapolitańskiego. Hecckeren [3]) większe zrobił wrażenie, jasno wypowiadając prawdy niezbite. Piemont, rzekł, od początku do końca wywodził cesarza i Francję w pole. Wiktor-Emanuel, Cavour i Garibaldi, są to «trzy głowy w jednej czapce»; nie jest również pewnem, czy Mazzini nie działa w zgodzie z tryumwiratem. Garibaldi podejmuje szalone przedsięwzięcia, Wiktor-Emanuel przyjmuje w imieniu Włoch fakty spełnione, Cavour wypiera się wszystkiego przed Europą. W Neapolu piemontczycy częściej «sięgali ręką do kieszeni, niż za rękojeść szabli». Włoskiej polityki cesarza bronił Pietri, korsykanin, nadworny policjant Napoleona III. Prezydent Dupin, zakamieniały wolterjanin, mieszczański liberał, kąsający jak żmija, który poprzednio w senacie zawsze występował przeciwko władzy świeckiej, dowodził, że prawo kanoniczne wzbrania papieżom rozdawać dobra kościelne synowcom i klientom, lecz pozwala robić ustępstwa terytorjalne, tym razem mil-

---

[1]) «*Le Secret de l'Empereur*». T. I, p. 446.

[2]) Mérimée, będąc senatorem, zdawał Panizzemu sprawę jako słuchacz i widz. «*Lettres à M. Panizzi*». T. I, p. 178 i następne.

[3]) Ten sam, co zabił Puszkina w pojedynku.

czał, żeby nie narazić się cesarzowi oświadczeniem za ewakuacją Rzymu. Ks. Napoleon, swoim zwyczajem, «wybijał szyby» naprzekór cesarzowi, ministrom, większości senatu, napadając na papieża, na Austrję, na duchowieństwo, na katolików; Persigny rozesłał mowę księcia telegrafem po stolicach europejskich, choć to do niego nie należało. Barthe, dawny *carbonaro*, bronił władzy świeckiej, potępiał zjednoczenie Włoch, wymyślone przez Anglję na szkodę Francji; mowa miała być ułożoną w porozumieniu z Thiersem, który trzymał się starej tradycji francuzkiej. Sekretarz komisji adresowej, Casabianca, odezwał się w duchu poprzednich urzędowych oświadczeń dyplomacji cesarskiej; dowodził, że Francja, związana przeszłością, musi sprzyjać dążeniom Włoch; w kwestji rzymskiej oddzielał sprawę Marchji i Umbrji, gdzie nie było powodu do interwencji, od samego Rzymu z okręgiem, który winien zostać przy papieżu.

Na recepcji w Tuileries, cesarz obdzielił mówców komplementami. Casabianca zdobył same pochwały za doskonałe wyrażenie uczuć prawdziwie francuzkich; Hecckeren usłyszał wymówkę: «*Je regrette de ne pouvoir vous en dire autant*». Zdawałoby się z tego, że cesarz chciał utrzymać w Rzymie *status quo;* tak, ale nie wyrzekł się nadziei przywiedzenia do skutku kombinacji, zalecanej w senacie przez ks. Napoleona: oddać papieżowi Watykan z otaczającą częścią miasta po Tyber, resztę zaś Rzymu Wiktorowi-Emanuelowi.

XIII.

«Nasza polityka pozostaje niezmienioną»—pisał Thouvenel do ks. Gramont 17 lutego, niedługo przed rozpoczęciem dyskusji adresowej. «Nie myślimy poma-

gać papieżowi *manu militari*, do odzyskania choćby cala utraconych posiadłości, ale utrzymamy jego władzę choćby w granicach, przez wypadki zakreślonych. Prowizorjum nie może jednak przeciągać się bez końca. Jeżeli Włochy, wskutek wojny lub anarchji, powrócą do konfederacji, stolica apostolska odzyska większą część swego państwa, pod warunkiem, że niem lepiej rządzić będzie. Jeżeli Włochy potrafią się zorganizować, kwestja rzymska przyjmie postać niebezpieczną i wybije godzina stanowczej tranzakcji». Po mowie ks. Napoleona w senacie, dorzucał 10 marca: «Pomimo wniosków wyciąganych ze słów księcia, nie myślę, żeby cesarz miał zamiar raptem naruszyć *status quo*, lecz ten *status quo* staje się codzień trudniejszym do obronienia w teorji i do utrzymania w praktyce. Polityka i religja domagają się rozstrzygnięcia i nad tem wszyscy powinniśmy pracować. Pojmuję, że kardynał Antonelli obrzuca kombinację księdza Passaglii, ale czy nie mógłby, czyniąc zadość zasadzie, wynaleźć co innego? Czy sądzi, że obca siła powinna wiecznie podtrzymywać władzę świecką głowy kościoła?... Jak królowie francuzcy nosili tytuł chrześcjańskich, hiszpańscy—katolickich, portugalscy—wiernych, tak samo król włoski mógłby przybrać tytuł namiestnika stolicy apostolskiej i jako taki zatrzymać dawne posiadłości papieża, składać hołd przy każdej zmianie tronu, płacić daninę, równającą się co najmniej dzisiejszej liście cywilnej i kwotom na utrzymanie świętego kolegjum i wielkich instytucyj kościelnych? Król włoski nie miałby prawa wtrącać się do nominacji biskupów, zarządu klasztorów i wogóle do spraw sumienia głowy kościoła. Oprócz obecności ciała dyplomatycznego przy papieżu i swobody wysyłania nuncjuszów, możnaby żądać od Włoch ustąpienia papieżowi wyspy Sardynji, gdzie papież używałby pełnej władzy pod gwarancją mocarstw».

«Plan tranzakcji między papieżem a Włochami nie jest mi nieznanym—odpisał ks. Gramont 16 marca. Odo Russell wspominał mi o nim jako o projekcie w Turynie ułożonym, wymieniając namiestnictwo króla włoskiego, swobody i przywileje ofiarowane przez ks. Passaglię, oddanie wyspy Sardynji papieżowi. Tego papież nigdy nie przyjmie dobrowolnie. Czy podobna kombinacja może być papieżowi nałożoną i czy papież się podda, to inne pytanie. W każdym razie teraz jeszcze nie».

Thouvenel nazywał Wiktora-Emanuela krótko i węzłowato: królem włoskim, choć urzędowa proklamacja królestwa włoskiego nastąpiła dopiero 17 marca 1861 r. Francja narazie nie uznała urzędownie nowego królestwa, nie przeszkadzało to jednak dyplomacji cesarskiej trudzić się nad przysposobieniem stolicy dla króla Włoch. Cavour, wierny swej metodzie, kompromitował cesarza przed całym światem, dając w parlamencie do zrozumienia, że cesarz sprzyja zamiarom Piemontu i dopomaga w przeniesieniu stolicy do Rzymu; w Paryżu obiecywał tylko unikać gwałtownego rozstrzygnięcia sprawy, tudzież przyznawał, że Francja słusznie dba o to, aby chrześcjaństwo nie było stolicy pozbawione. Prawdopodobnie Cavour i cesarz w głębi duszy równie gorąco pragnęli tryumfalnego wjazdu WiktoraEmanuela na Kapitol, lecz Cavourowi sposób dostania się do Rzymu był obojętny, podczas gdy cesarz musiał zważać na Europę, na opinję francuzką, oszczędzać wszystkie interesowane strony. Na dyplomację cesarską spadł przeto obowiązek wynalezienia takiej *combinazione*, żeby był wilk syty i koza cała.

Thouvenel tak rozumował: «Potrzeba nam wyjścia zadawalniającego rozum, sumienie i honor Francji. Z rozpraw adresowych zdaje się wynikać, że większość kraju ujrzałaby z żalem, nawet z nieukontentowaniem,

wycofanie naszej armji z Rzymu, jak długo niezawisłość papieztwa nie zostanie przyzwoicie zabezpieczoną; lecz ta sama większość sprzeciwiałaby się interwencji zbrojnej, w celu zwrócenia stolicy apostolskiej oderwanych posiadłości; żąda ona prócz tego, aby w zarządzie teraźniejszego państwa papiezkiego władza duchowna oddzieloną była od władzy świeckiej. Czy to jest możebnem w rzeczy i w formie?» [1]). Drugie cesarstwo posuwało do śmieszności manję reformowania rządów na całym świecie, począwszy od Turcji, skończywszy na Rzymie. Chcąc turka zreformować—miał rzec Thouvenel, znający turka osobiście z czasów ambasady konstantynopolitańskiej—trzeba go najpierw wbić na pal. Cesarz przecież przy swojem pozostał. Wszędzie zalecano jednakową receptę, złożoną z ingredjencyj, jakiemi imperjalizm, u siebie we Francji, własny byt podtrzymywał, nie pytając, czy one odpowiadają potrzebom miejsca i czasu. W Rzymie cesarz rekomendował sekularyzację rządu papiezkiego, centralizację władz na model francuzki, kodeks cywilny, jawność postępowania sądowego, rady municypalne i gminne i inne nowości, o które ludność się nie dobijała, bo jej były zupełnie nieznane. Na to w Paryżu wcale nie zważano. Thouvenel troszczył się o co innego i stawiał ks. Gramont dwa pytania. Pierwsze: czy papież zgodzi się być głową niejako honorową republiki, liczącej sześćkroć sto tysięcy dusz i rządzącej się jak Hamburg, albo Frankfurt? Odpowiedź była zgóry wiadomą: papież żądał zwrotu tego, co mu podstępem i gwałtem wydarto, dalej rękojmi od napaści. Drugie: czy rzymianie przyjmą takie warunki, czy potrafią oprzeć się gorączce unitarnej, czy okażą tyle stałości, żeby Francja miała prawo powołać się na ich wolę i życzenia, i na tej podstawie oświadczyć

[1]) List z d. 24 marca 1861 r.

Wiktorowi-Emanuelowi, iż wszelki zamach z jego strony na istniejący w Rzymie porządek weźmie za *casus belli?* Minister cesarza brzękał pałaszem, nie przywiązując zapewne wagi do wyrażeń, wymykających się z pod pióra w poufnym liście i w chwili, kiedy nie «nadeszła jeszcze pora rozpoczęcia negocjacyj ani z Turynem, ani z Rzymem». Swego pana znał, wiedział zatem, jaki on nieskory do miecza, zwłaszcza, gdy szło o sprawienie przykrości ukochanym Włochom. Z własnego doświadczenia mógł również wnosić o skutku gróźb francuzkich w Turynie. Co się tyczyło rzymian, sądził ich z wizerunku, przez gazety włoskie i francuzkie skomponowanego.

Posłuchajmy odpowiedzi ks. Gramont: «W samym Rzymie ludu we właściwem znaczeniu nie ma. Ludność miejska składa się z prałatów, urzędników, mnichów, kupców, wreszcie z klientów, żyjących z pensyj, subwencji, jałmużny, lichwy, nadużyć, interesowanych przeto w utrzymaniu obecnego rządu i porządku. Ci, co udają dotkniętych gorączką unitarną, co oponują, co zapowiadają w dziennikach manifestacje antypapiezkie, nigdy do skutku nie przychodzące i drukujące afisze nigdy nie rozlepiane, są to wszystko obcy, przybyli z innych stron Włoch. Lud rzymski, i z małym wyjątkiem ludność prowincjonalna, nie żyje życiem politycznem i z tej strony żadne nie grożą trudności. Gdyby ci ludzie opanowani byli choć przez cząstkę gorączki unitarnej, jaka trzęsie deputowanych Cavoura, bylibyśmy dawno widzieli skutki, bo w gruncie wszystko tu wolno. Nie ma kraju, gdzieby nadzór był mniej ścisły; policja niczemu nie zapobiega; represja, czasami raptowna i gwałtowna, przychodzi zapóźno, w niewłaściwej porze i doraźnie; nieraz nasuwa się podejrzenie, że policja tutejsza jest przekupioną przez Piemont. Proklamacje studentów uniwersytetu, z taką emfazą przez dzienniki florenckie rozgłaszane, są fabrykowa-

ne we Florencji i przychodzą tutaj pakami, pod adresem studenta, liczącego 54 lata wieku, który dostaje miesięcznie 150 franków na koszta. Wszystko komedja; komedja, której niepodobna położyć końca, albowiem zawsze znajdzie się jakiś ktoś, co głos podniesie w imieniu rzymian i domagać się będzie sprawiedliwości dla uciśnionego ludu, który o tem nic nie wie i tem się wcale nie zajmuje. Włosi z partji rewolucyjnej i piemonckiej żalą się sami na lud rzymski, że krzywo na nich patrzy, a pragnie spokoju, dba o swoje przyzwyczajenia i swego papieża; trzeba, mówią, stworzyć w Rzymie naszą ludność, albo do niczego nie dojdziemy. Przypuszczam, że w Romanji, w Legacjach, gdzieniegdzie w Umbrji, mieszkańcy tamtejsi, czynni, pracowici, przemysłowi, mogli nieraz utyskiwać na niedbalstwo i korupcję władz; ale w Rzymie i w ojcowiźnie św. Piotra ludność posiada zupełnie inne sposoby do życia, inne interesy, inne zajęcia, inne zwyczaje; zdołała ona rozwiązać problem szczególny: ciągnąć olbrzymie stosunkowo dochody z małych rzeczy, przy jak najmniejszej pracy. W Viterbo [1]) dwudziestu kilku ludzi trzyma całe miasto tylko strachem, bo teroryzm jest zbyteczny, dzięki tchórzliwemu usposobieniu tutejszej ludności. Gdyby można wlać w nią przekonanie, że piemontczycy nie wejdą do Rzymu, zobaczylibyśmy nagłe objawy przywiązania do papieża. W pozostałej reszcie kraju, mało zaludnionej, pokrytej pastwiskami, podzielonej na wielkie obszary, mieszkańcy nie bawią się ani przemysłem, ani polityką, i na noc wracają do domów jedynie dla uchronienia się od malarji. Wyśmialiby nas, gdybyśmy zaczęli im prawić o jarzmie, które ich gniecie, i o wyswobodzeniu z pod tego jarzma. Włosi między sobą drwią z łatwo-

[1]) Piemontczycy żądali ustąpienia im Viterbo, pod pozorem, że ludność tamtejsza pragnie tego.

wierności, z jaką przyjmujemy Włochy i Rzym, przez nich wynalezione. Owe aspiracje do Rzymu nie są ani włoskie, ani piemonckie, lecz cavourowskie, *Cavouriennes*. Niech cesarz wyśle pięciu, albo sześciu ludzi, zimnych, wytrawnych, bez przesądów, i każe im zbadać stan rzeczy na miejscu, zgóry poddaję się ich wyrokowi. Śmiesznością byłoby także chcieć dziś od papieża dla tej piędzi ziemi reform, jakie przed dwoma laty w zasadzie przyobiecał. Jeżeli chodzi o zabezpieczenie mieszkańców od nadużyć władz, to najlepszą rękojmię, skuteczniejszą od klauzul prawodawczych, stanowi blizkość granicy. W przeciągu dwóch godzin, każdy malkontent może ujść ramienia rządu papiezkiego i z bezpiecznego miejsca krzyczeć bezkarnie na papieża. W takich warunkach nie ma mowy o tyranji. Poddany papiezki używa większej swobody i większego bezpieczeństwa, niż obywatel w Neapolu, Ankonie, Bolonji; płaci o czwartą część mniej podatku, niż w prowincjach anektowanych; jest szczęśliwszym niż dawniej, bo nadużycia dawniejsze poskramia sam rząd papiezki i czujność naszej załogi» [1]).

Powtarzając nieustannie i zaręczając, że Pius IX nie przystanie na żaden kompromis z Wiktorem-Emanuelem, Gramont od siebie proponował następną kombinację: przyznać papieżowi nietykalne posiadanie Rzymu z ojcowizną św. Piotra, zamkniętą między morzem, granicą neapolitańską, toskańską i linją demarkacyjną, oddzielającą dawne prowincje państwa rzymskiego, teraz przez piemontczyków obsadzone; zredukować dług publiczny stolicy apostolskiej w stosunku do rozległości oderwanego terytorjum; postawić nowe państwo papiezkie pod zbiorową gwarancję mocarstw katolickich, lub pod indywidualną Francji, która kompromis papieżowi i królowi nałoży od siebie, *qu'elle*

[1]) Listy z d. 30 marca i z d. 6 kwietnia 1861 r.

imposerait d'autorité [1]). Papież miał jednak w rękach środek bardzo prosty a niezawodny zniszczenia całego planu: zaprotestować przeciwko finansowej części układu, odmówić wydania potrzebnych dokumentów, wypłacać dalej od siebie kupony. Skarb papiezki był zaopatrzony w fundusze na pokrycie bieżących potrzeb do listopada... potem Pius IX liczył na Opatrzność, która, jak doświadczenie pokazało, czuwała nad budżetem papiezkim tak samo, jak czuwa nad bytem materjalnym żyjących z jałmużny zgromadzeń zakonnych i dzieł chrześcjańskiego miłosierdzia. Wiara Piusa IX w Opatrzność, niweczyła ludzkie rachuby. Nadto, ks. Gramont uważał, że dla Francji może być obojętnem, czy papież będzie zadowolony, byle był wolny. Aby zaś być wolnym, papież musiał także posiadać niezależność materjalną, po ludzku zabezpieczoną. Dlatego odrzucenie przez stolicę apostolską finansowych punktów układu, obalało cały układ. Pomysł ks. Gramont nie dogadzał wreszcie cesarzowi, który, nie zaniechawszy całkowicie zamiaru przeniesienia stolicy Włoch do Rzymu, pragnął tymczasem zadowolnić Wiktora-Emanuela, ułatwiając mu uznanie tytułu króla włoskiego przez Europę, sobie zaś oszczędzić zarzutu, że wbrew Europie uzurpatora proteguje.

Anglja, pierwsza z mocarstw europejskich, uznała królestwo włoskie. «Spodziewałem się tego—pisał Thouvenel do hr. Flahault d. 2 kwietnia — ale sądzę, że rząd królowej mógł był porozumieć się pierwej z mocarstwami i wspólnie postarać się w Turynie o niejakie gwarancje na rzecz pokoju, wzamian za powszechne uznanie, chociażby otoczone zastrzeżeniami, podyktowanemi przez skrupuły sumienia monarchów. Cesarz jeszcze nie powziął postanowienia, chciałbym

[1]) «*Le Secret de l'Empereur*», t. II, p. 15. List ks. Gramont z d. 6 kwietnia 1861 r.

go jednak widzieć działającego w tym duchu. Nie możemy ani urażać innych dworów, ani zrażać do siebie Włochy i wydawać je na pastwę wpływu angielskiego». Pozycja Francji, po wszystkiem co zaszło na półwyspie, była w samej rzeczy trudną i drażliwą, lecz Wiktor-Emanuel i Cavour tak mocno potrzebowali uregulować stosunek nowego królestwa do Europy, najpierw zaś do Francji, że to była może ostatnia chwila otrzymania od nich znacznych ustępstw. Thouvenela pretensje nie szły daleko; miał na myśli traktat, którym Włochy zobowiążą się nigdy nie nachodzić państwa papiezkiego w istniejących *de facto* granicach i nie dopuścić żadnej zaczepki jakiejkolwiek (ochotników Garibaldiego), pod zagrożeniem *casus belli;* dalej, nie protestować przeciwko składowi armji papiezkiej [1]), oraz przyjąć na siebie część długu stolicy apostolskiej. Francja ze swej strony gwarantowała posiadłości papiezkie i cofała załogę z Rzymu [2]). Traktat stanowił, naturalnie, okup za urzędowe uznanie Włoch ze strony Francji. Czas, a raczej Cavour, naglił; minister prosił przeto ambasadora, aby natychmiast telegrafem odpowiedział, czy taka kombinacja wydaje mu się ze stanowiska rzymskiego możliwą?

Ks. Gramont nie mógł streścić telegraficznym stylem wszystkich skrupułów sumienia, jakie projekt ministra w nim wzniecił; odpisał długo i szeroko i potem jeszcze wracał do przedmiotu. Nie taił, że Francja prędzej czy później musi uznać Włochy, ale zawierania traktatu najmocniej odradzał i z uznaniem radził się nie spieszyć: «Przyjąwszy zasadę nieinterwencji, uznaliśmy niejako tem samem rezultat walki, której obcymi chcieliśmy pozostać. Protestancka An-

[1]) Nachodząc Marchję i Umbrję, rząd turyński wziął za pretekst obecność cudzoziemców w szeregach papiezkich.

[2]) List z d. 21 kwietnia 1861 r.

glja nie miała powodu zwlekać z uznaniem Włoch, lecz Francję wiążą w tej materji uczucia katolickie. Przy uznaniu Włoch trudno przyszłoby zrobić zastrzeżenia na rzecz oderwanych części państwa papiezkiego; sankcjonując zaś zabór, wystawilibyśmy się na wszystkie trudności, jakich dotąd, przynajmniej urzędownie, potrafiliśmy uniknąć. Między innemi, w oczach duchowieństwa francuzkiego kwestja ekskomuniki nie będzie ulegała wątpliwości, zwłaszcza po ostatniej encyklice, określającej jasno wypadki, jakie pod klątwę podpadają. Mojem zdaniem, należy, o ile można, omijać decyzję, dając do zrozumienia w Turynie, że odłożywszy na później formalność, utrzymywać będziemy z rządem włoskim stosunki międzynarodowe, na podstawie faktów dokonanych, póki czas, zresztą niebardzo długi, nie zabliźni ran, albo nie sprowadzi innego rozwiązania. Sam Cavour możeby wolał zamiast traktatu, będącego dlań otwartem zrzeczeniem się pretensyj do Rzymu, rozstrzygnięcia kwestji w innej formie, któremu poddałby się z konieczności. Mam na myśli deklarację rządu cesarskiego, zawierającą wszystkie punkty projektowanego traktatu» [1]). Na naleganie Cavoura o przyspieszenie uznania, Thouvenel odpowiadał, że wpierw musi być zapewnione zewnętrzne i wewnętrzne bezpieczeństwo państwa papiezkiego [2]); od projektu zawarcia traktatu nie odstępował, bo traktat wiązał Wiktora-Emanuela skuteczniej, niż deklaracja; względem papieża spodziewał się usprawiedliwić Francję zamieszczeniem na wstępie klauzuli, że cesarz francuzów nie myśli w niczem osłabiać zastrzeżeń i protestacyj, czynionych przez stolicę apostolską; co do Wiktora-Emanuela, wyrażał się, jak gdyby był pewien swojej nad nim przewagi: «*Je ne lui reconnais pas*

[1]) List z d. 27 kwietnia.
[2]) List z d. 28 kwietnia.

comme au pape le droit d'invoquer le non possumus». Prócz tego, obiecywał nie przystać na oznaczenie zgóry terminu ewakuacji Rzymu, co miało nastąpić w zgodzie z rządem papiezkim, gdy armja papiezka będzie odpowiednio zorganizowaną. «Cesarz — dodawał—jeszcze nie wyrzekł swego słowa» [1]).

Ks. Gramont palec położył na najsłabszem miejscu ministerjalnego projektu: «Gdybyśmy mieli do czynienia z rządem zdobywczym *(conquérant)*, będącym panem sił, jakich używa, Francja, jako silniejsza, mogłaby mu powiedzieć: nie przyjmuję twego *non possumus*. Lecz *non possumus* Cavoura będzie nietylko wyrazem jego woli, ale i wiernem tłómaczeniem jego położenia. Cavour, przy najlepszej woli, może nie módz. Sojusz, zawarty z partją rewolucyjną, zbyt jest świeży i zbyt mu potrzebny, aby zerwania tego sojuszu nie przypłacił własnym upadkiem. Duch rewolucyjny nigdy się nie zatrzymuje; jego własna natura wzbrania mu zakreślać sobie granice, wyrzekać się przyszłości, nawet utopji; w przeciwnym razie abdykuje i robi się konserwatywny. Duch rewolucyjny posługuje się wszystkiem bez wyjątku: uczuciem narodowości, niepodległości, jedności, socjalizmem, monarchizmem, republikanizmem, demagogją, arystokracją, nienawiścią ku obcym, żądzą zaborów, ambicją narodową i osobistą, ale ustępstw nie robi. Cavour, jak powiadają, przedstawił Garibaldiemu, że chwilowo nie ma pieniędzy na wojnę, że trzeba zaciągnąć pożyczkę 500 miljonów i, żeby znaleźć kredyt, zaspokoić Europę; skoro rząd zbierze potrzebne fundusze, będzie mógł myśleć o wojnie i wtedy zwróci Garibaldiemu swobodę działania. Wskutek tego Garibaldi ucichł, do czasu. Jeżeli Cavour propozycję traktatu odrzuci, nieprzyjaciele rządu cesarskiego podadzą w podejrzenie szczerość zamiarów cesarza,

[1]) List z d. 4 maja 1861 r.

dowodząc, że odmowa była przewidzianą; włosi zużytkują wypadek na korzyść swoich widoków, mówiąc również, że cesarz zgóry skutek przewidywał i chciał tylko usprawiedliwić się przed izbami; zagranica zapisze nasz zawód na liście próżnych usiłowań, jakiemi przepełnioną jest historja lat ostatnich. Jeżeli Cavour podpisze traktat wraz z owym wstępem, teoretyczne zastrzeżenie praw papieża zostanie zniesione faktem uznania królestwa włoskiego, a wtedy także nikt naszych zastrzeżeń nie przyjmie za dobrą monetę» [1]).

Przebieg negocjacyj między Paryżem a Turynem o uznanie królestwa włoskiego, jest na teraz jeszcze nieznany; obok półurzędowej korespondencji, istniały niewątpliwie bezpośrednie konszachty z cesarzem, który, według warażenia Thouvenela, «pragnął wyjść z fałszywego położenia i przechylał się ku projektowi traktatu z Piemontem» [2]). Thouvenel zaczynał nawet wierzyć w skłonność Cavoura do przyjęcia żądań francuzkich, bo Piemont potrzebował Francji dla oparcia się Garibaldiemu. Odo Russell opowiadał jednak w Rzymie, że Cavour przystaje na warunek szanowania nietykalności granic państwa papiezkiego od strony lądu; rzeczą papieża być miało strzedz wybrzeży [3]). Wygląda to na plotkę, albo na żart, bo wyjęcie wybrzeży z pod gwarancji traktatowej nie mogło mieć innego celu, jak ułatwić Garibaldiemu nową edycję wyprawy do Sycylji.

XIV.

Cavour, po krótkiej chorobie, przeniósł się do wieczności, 6 czerwca 1861 r. Śmierć jego zrobiła wielkie

[1]) List z d. 11 maja 1861 r.
[2]) List z d. 19 maja.
[3]) List ks. Gramont z d. 21 maja.

wrażenie w całej Europie i wywołała najprzeciwniejsze wnioski i proroctwa. «Módlmy się za niego, miłosierdzie Boże jest nieskończone», odezwał się Pius IX, sam dotknięty w tej chwili atakiem nerwowym i różą w nodze, co, przy siedmiu krzyżykach, zdawało się wróżyć, że lat piotrowych nie doczeka. W Paryżu, w ministerstwie spraw zagranicznych, niespodziany zgon Cavoura sprawił skutek nagły i niezupełnie zgodny z dotychczasowem usposobieniem. «Wszystko dziś niknie wobec wielkiego i smutnego wypadku w Turynie, pisał Thouvenel d. 9 czerwca. Śmierć Cavoura zmienia do gruntu położenie Włoch i nasze; co się tyczy Rzymu, wyrzekam się projektowanego traktatu. Nie sądzę przecież, żeby należało opuścić Włochy i wydać na pastwę rewolucji lub reakcji; jestem, owszem, zdania, że winniśmy przywrócić urzędowe stosunki z gabinetem turyńskim, usłuchać płaczliwych próśb króla Wiktora-Emanuela i uznać Włochy, lecz jasno przytem oznajmić zamiar pozostania w Rzymie. Sprawa będzie zawieszoną i odłożoną do spokojniejszego czasu. Dziś przedłożę cesarzowi memorjał w tej sprawie i zapewne jutro będę wezwany do Fontainebleau». Nazajutrz Thouvenel tak opisywał rezultat audjencji: «Śmierć Cavoura głęboko cesarza wzruszyła. Jest to wypadek niezmiernej wagi dla Włoch; nas także blizko dotyka. Niepodobna nam pozostać dłużej na gruncie źle określonym, a stworzonym przez odwołanie naszego posła z Turynu. Nie zamykam oczów na doniosłość kroku, jaki zrobić zamierzam, lecz z drugiej strony jestem przekonany, że jeżeli nie przybierzemy postawy jasnej i otwartej, ściągniemy na siebie kłopoty, a przedewszystkiem nieporozumienia z Anglją, zwłaszcza, gdybyśmy zechcieli sami, lub wspólnie z mocarstwami, przywrócić porządek we Włoszech».

«*Dunkel war der Rede Sinn*»... Jakim sposobem zniknięcie ze sceny Cavoura mogło do gruntu przewrócić

stanowisko Francji względem Włoch, tego zwyczajny rozum odkryć nie potrafi. Znikł człowiek bardzo zręczny i śmiały, który Francję tyle razy oszukał, cesarza trzymał w niewoli i nie przebierał w środkach; we Włoszech wprawdzie popularny, ale nie wszechmocny, względem stronnictw skrajnych skrępowany przeszłością i teraźniejszością. Jego miejsce mógł zająć człowiek tego samego mniej więcej koloru politycznego, może nawet bardziej przekonaniami i sympatjami zbliżony ku radykałom, ale w każdym razie nowy, potrzebujący czasu dla zdobycia stanowiska, wpływu i znaczenia, do nabrania wprawy i śmiałości. Wiktor-Emanuel wiele jeszcze znaczył we Włoszech; zazdrosny był o powagę korony i o swoją władzę osobistą. «*Nous autres monarques, nous «sommes monarchistes,* odezwał się w kilka lat później do posła republiki francuzkiej. Jego rzeczą i interesem było czuwać, żeby radykalizm nie przerósł mu nad głową i anarchja materjalna nie stoczyła Włoch do szczętu. Ochoty do odzyskania przewagi w rządzie, przez Cavoura nieco osłabionej, jeżeli nie w formie, to w treści, królowi nie brakło; nie brakło także dwóch innych warunków: przebiegłości i przewrotności. Z tych powodów zgon Cavoura był prędzej wypadkiem dla Francji pomyślnym, oswobodził bowiem Wiktora-Emanuela z pod kurateli i cesarza od bardzo niebezpiecznego partnera. Czy Włochom groziła nieodmiennie jedna z dwóch ostateczności, rewolucja, albo reakcja, o co Thouvenel tak się zdawał obawiać — babka na dwoje wróżyła. Reakcja znaczyła zaczepne wystąpienie ze strony Austrji, lecz Austrję nie osoba Cavoura, tylko własne i europejskie położenie od zaczepki wstrzymywało. W Neapolu rzeczy ważyły się napozór między reakcją a rewolucją, albowiem piemontczycy spotkali tam wielkie trudności i zwrot na korzyść zdetronizowanej dynastji zaczynał dawać znaki życia pod pozorem słynnego *brigantaggio*, które jednak dopiero

później nabrało istotnego znaczenia. Europa podzieliła się wtedy na dwa obozy: jeden widział w brygantach samych bohaterów czystego monarchizmu, drugi samych rozbójników. Bywali i tacy i tacy; większość kolejno gromiła piemontczyków i rozbijała. W republikach Ameryki południowej żadna rewolucja polityczna nie obejdzie się bez rozbojów na publicznej drodze; w południowych Włoszech i w Hiszpanji, ludek, zapewne na mocy pokrewieństwa rasowego, hołdował takim samym pojęciom, tak samo przy każdym przewrocie rozbijał kasy, napadał na dyliżansy, rabował i palił; Taine twierdzi znowu, że na Zachodzie ostatnim wyrazem rewolucji jest podział własności, i podobno się nie myli, a koniec końcem nie ma tak bardzo wielkiej różnicy między obdarciem dyliżansu a grabieżą cudzego kawałka ziemi, mianowicie z punktu widzenia wywłaszczonego posiadacza, który także mniej dba o naturę przebytej operacji, o to, czy się ona spełniła prawidłowo, na mocy uchwały pełnomocników ludu, czy też gdzie w lesie, bez zachowania form prawodawczych. Natomiast barbarzyńskie rewolucje, w których polityka chodzi w parze z prywatnym rozbojem, mają w sobie to dobrego, że gasną same z siebie, gdy się wyczerpie materjał do łupieży i gdy przerzedzą się szeregi łupieżców. Przychodzi zawsze chwila, że spokojna ludność ma już dosyć tej zabawki i rzuca się w objęcia żandarmów, a wtedy żandarmi i regularne wojsko prędko dają radę i brygantom i heroicznym obrońcom wolności lub zasad. Na tem się też skończyło w Neapolu. Od początku walka była bardzo nierówną i szanse powodzenia bardziej po stronie Piemontu. Przypuściwszy wreszcie mało prawdopodobną porażkę Wiktora-Emanuela, cóż Francja traciła? Chyba możność dyktowania swej woli w Turynie, odrobienia jedności włoskiej, podziału Włoch na dwa lub trzy państwa, do czego dyplomacja cesarska często jeszcze wracała.

Uznanie Włoch przyspieszyła osobista interwencja cesarza. Z jego polecenia Thouvenel wygotował memorjał, usprawiedliwiający zawiązanie urzędowych stosunków z Turynem i przynosił go na posiedzenia rady ministrów; ale cesarz sprawy jakiś czas nie tykał, bojąc się cesarzowej, która zawsze na radzie bywała obecną. Weszło to w zwyczaj od kampanji włoskiej; pod nieobecność bowiem cesarza, cesarzowa prezydowała na zebraniach gabinetowych i odtąd regularnie przychodziła na posiedzenia. Sercem stojąc po stronie papieża, cesarzowa dała podobno uwikłać się w kabałę dworską, usiłującą pokrzyżować politykę cesarską w kwestji rzymskiej, a choć jeszcze nie nadeszła chwila, kiedy o sobie rzekła: «*Il n'y a plus d'Eugénie, il n'y a qu'une impératrice*», już wtedy podejrzliwem okiem śledziła ewolucje małżonka we Włoszech i próbowała go powstrzymywać. Małżonek, mając na sumieniu małżeńskie niewierności, wynagradzał to przypuszczaniem cesarzowej do tajemnic gabinetowych, których nie można było i tak ukryć, bo dotyczyły formalnych postanowień, ogłaszanych następnie w «Monitorze»; lecz wolał, dopóki się dało, unikać scen i szlochów. Upłynęło tak kilka tygodni, a memorjał Thouvenela drzemał w tece. Nareszcie, jednego poranku cesarz zdobył się na odwagę i kazał ministrowi spraw zagranicznych «oznajomić radę ze stanem stosunków z Włochami». Thouvenel zaczął czytać swoje sprawozdanie, lecz skoro jasnem się stało, że konkluzją będzie uznanie królestwa włoskiego, cesarzowa zerwała się z fotela ze łzami w oczach i wyszła. Nastąpiło milczenie, aż cesarz zwrócił się do marszałka Vaillant: «*Mon cher maréchal, veuillez vous occuper de l'Impératrice*»... poczem lektura została szczęśliwie ukończoną i decyzja, przychylna Włochom, zapadła [1]). Cesarzowa Eu-

[1]) «*Le Secret de l'Empereur*». T. II, p. 138.

genja nigdy tego nie przebaczyła Thouvenelowi, bo prawdziwemu winowajcy musiała darować.

«Spędziłem kilka nocy bezsennych, nim się odważyłem na ten skok—uniewinniał się Thouvenel przed ks. Gramont. Nie zaniedbałem rozważyć *le pour et le contre* kroku, odpowiedzialność którego przyjąłem na siebie, a tem drażliwszego, że odpowiadał tajemnym życzeniom cesarza. Wolno Lamartinowi mówić o Bogu, że po stworzeniu świata:

«De son oeuvre imparfaite, il détourna la face
Et d'un pied dédaigneux la lança dans l'espace»;

monarcha, nawet najpotężniejszy, nie może tak obejść się z własnem dziełem. Nie byłem ministrem, kiedy wyprawa włoska została przedsięwziętą; mogła ona być błędem, ale takiego błędu niepodobna naprawić niekonsekwencją. Przyszłość pokaże, czym się omylił, i wyznaję z całą otwartością, że nie jestem w tej mierze bez niejakich obaw; na teraz mogę tylko sumiennie zaręczyć, że kierowała mną jedynie myśl pokojowa i zachowawcza» [1]).

Thouvenel niepotrzebnie się frasował. Uznanie królestwa włoskiego przez Francję nie przyniosło nikomu ani pożytku, ani szkody, stanu rzeczy w niczem nie zmieniło i nawet Europę obeszło bez porównania mniej, aniżeli niejeden poprzedni wypadek. Watykan przyjął wieść *avec un ésprit de modération et de justice*, donosił urzędownie ks. Gramont pod d. 22 czerwca; w prywatnym liście, z tej samej daty, przyznawał tylko, że efekt był mniej zły, niż się obawiał, ale że jemu ten epizod pozostawił wspomnienie jakby choroby morskiej, więc woli o nim nie myśleć. Był zresztą na wylocie z Rzymu, pod jesień bowiem tego roku przeniósł się do Wiednia. Jego miejsce przy stolicy apostolskiej zajął margrabia de La Valette, posłem zaś w Tury-

[1]) List z d. 16 czerwca 1861 r.

nie został mianowany Benedetti, obydwaj adepci nowej szkoły. Z końcem roku wrócił także Fould, tym razem jako minister skarbu, aby przywrócić do porządku mocno tego potrzebujące finanse Francji.

XV.

Spadek po Cavourze tak się przedstawiał: królestwo włoskie było uznane tylko przez Anglję i Francję, reszta Europy stroniła od intruza; Piemont z wielką trudnością trawił świeże zdobycze; w Neapolu wichrzył brygantyzm, przybierający coraz szersze rozmiary; finanse znajdowały się w zatrważającym nieładzie; Wiktor-Emanuel, zostawszy królem włoskim, musiał tem bardziej dążyć do uzupełnienia jedności Włoch, przez odzyskanie Wenecji i przeniesienie stolicy do Rzymu. Przy najlepszej woli, dla króla było czystem niepodobieństwem wyrzec się programu unitarystów; nawet milczeć o nim nie mógł, aby nie drażnić stronnictw, na których rząd się opierał.

Osierocony w Turynie ster gabinetu, wraz z teką spraw zagranicznych, objął baron Ricasoli, toskańczyk, patrjota włoski z odcienia konserwatywnego, angloman, nienawidzący radykalizmu i spółki z rewolucją, człowiek twardy i uparty. Program swój tak określił: Włochy, wystrzegając się użycia gwałtu, pozostawiają czasowi i biegowi naturalnemu wypadków spełnienie swoich życzeń, co do zupełnego zjednoczenia. Król i ministrowie są przekonani, że zdołają kraj uporządkować, dać Europie przykład mądrej i umiarkowanej polityki, prawa Włoch zabezpieczyć, ustrzedz Włochy od bezpłodnej agitacji i Europie oszczędzić zawikłań; co się tyczy Rzymu, pragną zwrócić Włochom należną im i chwały pełną stolicę, bez naruszenia praw kościoła i niepodległości jego głowy. Mądrości cesarza

pozostawiamy wybór chwili, w której Rzym samemu sobie będzie mógł być oddanym; naszym obowiązkiem będzie cesarzowi to ułatwić, w nadziei, że Francja nie odmówi nam pomocy, aby dwór rzymski nakłonić do zawarcia z nami układu, płodnego w dobroczynne następstwa dla religji i dla losów Włoch [1]).

Na inną nutę Ricasoli powtarzał piosnkę Garibaldiego: «*Andiamo a Roma*»; tylko z jego przyjściem do władzy zmniejszyło się niebezpieczeństwo zamachu rewolucyjnego na Rzym, podjętego w spółce z rządem włoskim. Natomiast Ricasoli w parlamencie postawił na pierwszym planie kwestję wenecką. Była to zwykła taktyka włoskich polityków konserwatywnego odcienia, taktyka płynąca z rozlicznych pobudek. Spór o Wenecję obracał się w ramach prawa narodów, nie nosił na sobie piętna przedsięwzięcia rewolucyjnego, nie obrażał tyle razy już zgwałconej moralności publicznej, uczuć i skrupułów sumienia monarchów. Dalej, odwracał od Rzymu uwagę Garibaldiego i jego stronników, pozwalał zużytkować na innym gruncie, nie tak palącym, siły rewolucji, która bezczynną nie mogła pozostać, a w braku innego zajęcia groziła monarchji we Włoszech. Nakoniec, wznowienie sporu o Wenecję było biczem i ostrogą na cesarza francuzów, wywołało bowiem widmo wojny między Włochami a Austrją, dla Francji wcale niepożądanej. Stanąć czynnie po stronie Włoch, znaczyło dla cesarza rzucić się na wielkie hazardy, których unikał, wiedząc, że Francja ani militarnie, ani finansowo świetnie nie stoi,—może nawet uwikłać się w walkę z koalicją europejską. Zostawić Włochy bez pomocy, znaczyło zrobić, jak mówił Lamartine: «*détourner la face de son oeuvre imparfaite et d'un pied dédaigneux la lancer dans l'espace*»—

[1]) Depesza do Paryża z d. 21 czerwca 1861 r. T. Martin: «*Das Leben des Prinzen Albert*». T. V, p. 367.

zniszczyć własne dzieło i uwikłać cesarstwo w walkę z rewolucją powszechną. Jedynem lekarstwem na wenecką gorączkę włochów być mogło przystawienie im synapizmu z rzymskiej gorczycy, i naodwrót. Ile razy włosi natarczywie wspominali o Wenecji, cesarz obiecywał cofnąć załogę z Rzymu i podsuwał nowowynaleziony kompromis z papieżem, drugą zaś ręką pokazywał na ścianie obrazek ze swojej latarni magicznej, Wenecję i fortece czworoboku, we włoskie chorągwie przybrane. Ricasoli podniósł prócz tego sprawę wenecką przez anglomanję. Marzeniem jego było uwolnić Włochy z pod kurateli francuzkiej, oprzeć się na przymierzu z Anglją i z jej pomocą dokonać zjednoczenia Włoch. Rząd angielski szedł o lepsze z turyńskim w orędownictwie pretensyj włoskich, rozumie się na papierze i w mowach; czynnego poparcia nie był w stanie udzielić, bał się wojny na kontynencie, wyprowadzającej Francję na scenę, podczas gdy koalicja gotowa była rozbić się o tajemne plany Rosji na Wschodzie i, Boże uchowaj, zrodzić przymierze franko-ruskie, wiszące jak miecz Damoklesa nad głowami wyspiarzy. Tak samo wisiała w powietrzu polityka Ricasolego, anglomanją podyktowana. Lord Palmerston całą duszą sprzyjał pożądliwości włochów na Wenecję, lecz nie umiał znaleźć lepszej rady nad tyle razy już daremnie Austrji proponowane wykupno. W Paryżu anglomanja i twardy charakter Ricasolego prędko się uprzykrzyły; w samym Turynie prezes gabinetu nie przypadał do smaku królowi i epigonom Cavoura. Po kilku miesiącach «żelazny baron» upadł; zastąpił go Rattazzi, drugi tom Cavoura, ale w innej oprawie, dużo mniej śmiały i pohopny do awantur, nie gardzący przymierzem z rewolucją, Francji przychylny, gotów strzydz i golić wedle okoliczności, potulniejszy wobec Wiktora-Emanuela, który ster spraw zagranicznych w swoje ręce przenieść usiłował i skoń-

czył na tem, że jak Napoleon III, ważne sprawy osobistą dyplomacją załatwiał. Między królem włoskim a cesarzem francuzów zachodziła jednak ta wielka różnica, że król rządził się egoizmem, posuniętym do ostatnich granic, cesarz zaś cudze sprawy traktował goręcej, niż swoje własne.

XVI.

We Francji rzeczy przybierały niepomyślny obrót, zwłaszcza pod względem ekonomicznym i finansowym. Traktaty handlowe, mające przyspieszyć wejście w życie zasady wolnej wymiany, jednej z mrzonek napoleońskich, podkopały najgłówniejsze gałęzie przemysłu francuzkiego, niezdolne wytrzymać konkurencji angielskiej. Wskutek klęsk elementarnych ucierpiała produkcja zboża, wina i jedwabiu. Gospodarstwo skarbowe, nadużywające prawa pokrywania deficytów w pozycjach budżetowych funduszami, na inne wydatki przeznaczonemi, zabrnęło w chaos i w długi nieskonsolidowane. Fould, przy objęciu teki finansów, położył warunek, iż uchwała senatu wzbroni nadal podobnych manipulacyj; lecz przywrócenie porządku w skarbie wymagało czasu, spokoju i oszczędności. Skargi na ciężkie czasy szły w parze ze skargami na rząd i na nieudolność ministrów, chociaż ministrowie byli nieodpowiedzialni. Cesarz powinien był skorzystać z ciszy, chwilowo panującej w Europie, aby naprawić zło, jakie się wkradło, poszukać ludzi odpowiednich, dopóki nieukontentowanie nie zwróciło się ku osobie odpowiedzialnego monarchy. «*L'anarchie règne dans nos conseils*», utyskiwał Mérimée przed Panizzim. Cesarz miał się spostrzegać, że jest otoczony *par des imbéciles*, ale nietęgość i niezgoda doradców ułatwiały mu manewry na różnych punktach kuli ziemskiej. Jeszcze nie upo-

rawszy się z Syrją, już zabierał się do odrodzenia Meksyku, jak gdyby nie miał na karku niemowlęcia, przez Cavoura podrzuconego. Niemowlę szybko wyrosło na młodzieńca nienasyconych wymagań, nieposkromionej ambicji i podejrzanych obyczajów. Zachciewało mu się rezydować w Kwirynale, pływać po lagunach, obcować za pan brat z monarchami Europy, a przybrany rodzic biedził się nad ukontentowaniem grymaśnego potomka.

«Cesarz ma mocno powzięty zamiar, skoro okoliczności pozwolą, zlikwidować kwestję włoską na Wschodzie», oznajmiał Thouvenel w liście do ks. Gramont z d. 24 grudnia 1861 r. Pod likwidacją sprawy włoskiej na Wschodzie, cesarz rozumiał zamianę Wenecji za kawałek posiadłości sułtana. Austrja życzyła sobie Bośni i Hercegowiny, ale jako kompensaty za Lombardję; o ustąpieniu Wenecji nie pozwalała sobie wspominać, bez względu na cenę. Rosja znowu nie chciała nic dać Austrji na Wschodzie. Thouvenel zamierzał więc do czasu wodę przelewać, nikogo nie zniechęcać i czekać «okoliczności». Nieporządki na Wschodzie wracają perjodycznie; zresztą, dobrzy ludzie bawili się w wywoływanie wilka z lasu. Rosja z podwojoną gorliwością opiekowała się słowiańskimi poddanymi Porty. Emigranci węgierscy, wraz z rządem włoskim, zbierali nad Dunajem ludzi i zapasy broni, w przewidywaniu wojny z Austrją. O machinacjach francuzkich na Wschodzie Anglicy rozpowiadali straszne rzeczy, w których było podobno dużo więcej kłamstwa, niż prawdy. Rząd francuzki bezpośrednio nie agitował i min nie zakładał; o cudzych robotach wiedział, czasem pomagał Węgrom i Włochom, nigdy nie przeszkadzał; agitatorom z różnej parafji pozwalał szczycić się protekcją Francji. Z drugiej strony, nie szczędził dobrych, choć może nie zawsze praktycznych rad w Konstantynopolu, a w Wiedniu nalegał, żeby Austrja bacz-

niej strzegła swego interesu na Wschodzie. Ks. Metternichowi cesarz powiedział: «Nie mamy najmniejszego interesu sprzeciwiać się Austrji na tamtej granicy, owszem, w wielu względach chcielibyśmy jej dopomódz, lecz powinna ona najpierw postarać się o sympatje ludności» [1]). Hr. Rechberg nie przeczył, że Austrja wiele na Wschodzie zaniedbała; przyznawał, że należy pomyśleć o zjednaniu dla Austrji przychylności słowian tureckich, ale rząd wiedeński zabierał się do tego po swojemu, *langsam und bedächtig*, i bardzo niezręcznie. Gardząc polskiem przysłowiem, że ludzi jedna się czapką i papką, w Serbji brał stronę turków; Czarnogórze życzył, żeby się w ziemię zapadła i odpowiednio z nią postępował; nikomu grosza dać nie chciał, choć na Wschodzie wszystko było do kupienia. Emigranci z Hercegowiny marli z głodu na terytorjum austrjackiem; konsul ruski w Raguzie rozdzielał pomiędzy nich dziennemi racjami zboże i kukurydzę. Thouvenel zapytywał w Wiedniu ze zdziwieniem, jak władze austrjackie mogą to cierpieć i namawiał gabinet wiedeński do przyjścia w pomoc również głodem trapionym czarnogórcom, uprzedzając, że Francja posyła tam kilkadziesiąt tysięcy franków. Hr. Rechberg, pełen niby najlepszych chęci, obiecał odnieść się do swego cesarza, ale sprawa chodziła od Annasza do Kaifasza, dopóki inni nie ubiegli Austrji. Tymczasem w bieżących kwestjach, jak w sporze między Serbją a Portą o cytadelę belgradzką, Rechberg szedł z turkami i anglikami, a ks. Gramont z dezynwolturą postawił *aut aut:* jeżeli Francja sądzi, że nadeszła chwila rozprawić się z Turcją, *d'en finir avec la Turquie*, należy nam porozumieć się i skombinować wspólne postępowanie; jeżeli zaś Francja chce Portę nadal podtrzymywać, trzeba

[1]) List Thouvenela z d. 29 stycznia 1862 r.

Turcję wzmocnić i zorganizować tak, aby nie była ogniskiem wrzenia na naszej granicy [1]). Minister austrjacki usprawiedliwiał w ten sposób swoją politykę, zmierzającą ku odłożeniu bez terminu przesilenia wschodniego. I w gruncie dobrze robił, gdyż cesarz francuzów, inicjator całej sprawy, mocno w niej interesowany i oczekujący pojawienia się «okoliczności», działał bez żadnego planu, nie chciał wyrzec czego chce, z nikim wiązać się wyraźnym układem.

Spokój materjalny na półwyspie Bałkańskim nie został naruszony, więc i projekt likwidacji kwestji włoskiej na Wschodzie wpadł w wodę. Niemniej przecież targi o skórę turka, w Wiedniu i Petersburgu akademicznie rozpoczęte, wyszły na szkodę cesarzowi francuzów. Uprzejmość Austrji i Rosji zostawiła mu złudne wrażenie, że w potrzebie może liczyć na coś więcej z ich strony. Poufałe stosunki cesarza z dworem wiedeńskim, a zwłaszcza z petersburskim, stanęły kością w gardle anglikom. Russell i Palmerston podejrzewali cesarza Napoleona o zmowę z Rosją i z Włochami, przeciwko Turcji i całej Europie; twierdzili nawet, że istnieje formalny traktat, lub co najmniej protokół między Francją a Rosją o Wschód, i kazali ambasadorowi angielskiemu w Paryżu żądać objaśnień. Zmowy ani na piśmie, ani w słowach nie było. W lipcu 1862 r. Thouvenel jeździł do Londynu, na obchód rozdania nagród na wystawie powszechnej, i po powrocie pisał do ks. Gramont: «Byłem rad, że mogłem pomówić z ministrami. Uspokoiłem ich co do rzekomego przymierza między Francją, Rosją a Włochami. Nasze stosunki z Petersburgiem są wyborne, w wielu punktach blizcy jesteśmy Rosji, ale nie idzie za tem, abyśmy, bez

[1]) List ks. Gramont z d. 31 lipca 1862 r.

względu na jej wewnętrzne położenie [1]), zawiązywali z nią intrygę polityczną, do której przyłączyłyby się Włochy. Wierzyć w to, znaczy wątpić o naszym zdrowym rozsądku i lojalności. «*L'Empereur, moins que jamais, ne veut être un trouble-fête en Europe*» [2]). Podobnie odzywał się do hr. Flahault: «Nigdy, i to pewnem jest, nie zrobimy Rosji rzeczywistych ustępstw na Wschodzie, ale należą się jej od nas względy za postawę podczas wojny włoskiej i w sprawie Sabaudji, kiedy nam pomagała do zrównoważenia nieprzychylnych wpływów angielskich» [3]). Politykę francuzką względem Turcji tak streszczał: «Utrzymanie państwa otomańskiego, dopóki Panu Bogu spodoba się na to zezwolić, jest dla nas zasadą, do której jesteśmy niemniej jak Anglja przywiązani. Nie szczędząc dobrych rad sułtanowi, nie krępujemy jego wolnej woli; usuwamy tylko od siebie odpowiedzialność za wypadki, których gorąco pragniemy uniknąć... W sprawie serbskiej nie myślimy adwokatować ani turkom, ani serbom; żądamy tylko stanu rzeczy takiego, żeby oni znowu nie wzięli się za włosy... Nigdzie dziś niepodobna rządzić samą siłą. Turcy podpadają, jak wszyscy, pod ogólne prawo czasu, a nie ukrywając tej prawdy, oddajemy im lepszą usługę, niż ci, co ich namawiają do daremnych i resztki żywotności wyczerpujących wysiłków. Droga żelazna między Konstantynopolem a Belgradem kosztowałaby mniej od wyprawy wojennej, i zbliżając interesy materjalne, lepiej wzmocniłaby zwierzchnictwo sułtana nad Serbją, aniżeli działa

---

[1]) Ruch w Polsce i nieporządki wewnątrz Rosji. Gramont ze swej strony uważał: «*La Russie me parait aujourd'hui le plus malade des états de l'Europe*».

[2]) List z d. 23 lipca 1862 r.

[3]) List z d. 14 sierpnia.

cytadeli belgradzkiej» [1]). Cesarz Napoleon przywiązywał zabobonne znaczenie do stosunku z Anglją; przekonany był, że przymierze angielskie przyniosło mu szczęście na początku panowania i że antagonizm Anglji przyprawiłby go o upadek, jak niegdyś stryja i później Ludwika-Filipa. Odkąd przymierze rozchwiało się dla braku przedmiotu, starał się jednać sobie anglików ustępstwami handlowemi, wspólnem działaniem w polityce zamorskiej względem Stanów Zjednoczonych, w Meksyku, w Chinach; w europejskich zaś sprawach oglądał się zawsze na opinję wyspiarzy i interesy ich oszczędzał. Dla jedności włoskiej zrobił bezporównania więcej od Anglji, uznał Włochy i kołatał o to samo u dworów północnych; pracował nad rozwiązaniem kwestji weneckiej i rzymskiej, chociaż położenie geograficzne i wewnętrze Francji nakazywało mu być wstrzemięźliwym i ostrożnym. Ale wyspiarze, popsuci uległością cesarza podczas kampanji krymskiej, powiedzieli sobie, że winien on zostać na resztę czasu ich lennikiem i ślepo im ulegać, a skoro palcem ruszył bez pozwolenia z Londynu, obwołali go za wroga Wielkiej Brytanji, pokoju i porządku w Europie. Cesarz założył port wojenny w Cherbourgu, więc go posądzili o zamiar najazdu na Anglję. Cesarz przysięgał, że mu nic podobnego nie postało w głowie; wtedy pytali, dlaczego cesarz powiększa marynarkę wojenną i każe w portach ćwiczyć żołnierzy do wsiadania na statki? Odpowiedź była prosta: poprzednie rządy zaniedbały marynarkę, a nowe wynalazki należało zużytkować; Francja posiadała kolonje i przedsiębrała zamorskie wyprawy, utrzymywała załogę w Rzymie, dokąd droga prowadziła morzem, żołnierz musiał przeto umieć wsiąść

[1]) Listy Thouvenela do hr. Flahault, z d. 21 i z d. 26 lipca 1862 roku.

na okręt i mieć w tem jakąkolwiek wprawę. Aneksję Sabaudji Anglja wzięła za dowód, że cesarz gotów krwią zbroczyć Europę dla odzyskania dawnych granic. I tak, przy każdej sposobności robiono nad Tamizą z muchy wielbłąda. Bajka o traktacie z Rosją o Wschód, miała za jedyną podstawę gadaniny Gorczakowa, który przed posłem jednego z małych państw, podobno belgijskim, mówiąc o sprawach wschodnich i o stosunkach Rosji z Francją, upuścił sentencję: «*L'entente est parfaite, mais il y a mieux, elle est définie, et nous avons des garanties de sa durée*» [1]). Dziś można z pewnością orzec, że ani zgoda nie była określoną, ani rękojmie żadne nie istniały. Kanclerz swoim zwyczajem mistyfikował ludzi, jak po zjeździe Napoleona III z Aleksandrem II w Stutgardzie, kiedy, obciągając na sobie kamizelkę, powtarzał każdemu zosobna: «*Nous sommes contents, très-contents*». Hr. Rechberg, lepiej znający kolegę z nad Newy, ani chwili nie dał złapać się na plewę. Lord John tę plewę w lot pochwycił, zapewne w połowie przez podejrzliwość i łatwowierność, w połowie przez chęć ukręcenia biczyka na sąsiada z za kanału. Za usługi oddawane Anglji, płacił gabinetowi paryzkiemu zgryźliwem dokuczaniem [2]), wszędzie cesarzowi nogę podstawiał, w Wiedniu, w Berlinie, w Turynie, w Meksyku, dopóki Opatrzność nie zesłała mu powstania polskiego i dopóki na naszym grzbiecie Francji z Rosją gruntownie nie poróżnił.

---

[1]) List ks. Gramont z d. 15 września 1862 r.

[2]) «*Lord John Russell a pris depuis quelque temps une habitude qui ne me plait pas, celle de m'adresser des memoriales et des leçons diplomatiques*». List Thouvenela z dnia 26 sierpnia 1862 r.

XVII.

Włosi niby się rwali do wojny z Austrją, składając się siłą rzeczy, która ich zmusza, skoro wiecznego miasta posiąść nie mogą, rozbijać głowę o mury fortec czworoboku. Kłuty tem, jak koń ostrogą, cesarz Napoleon nie ustawał w staraniach u dworów o uznanie królestwa włoskiego, «w interesie pokoju i konserwacji», przytem mozolił się nad rozwiązaniem kwestji rzymskiej. Obiedwie sprawy stykały się z sobą w umyśle cesarza, mniemał bowiem, że po uregulowaniu pozycji Wiktora-Emanuela w Europie, łatwiej przyjdzie zebrać kongres i na nim spór między papieżem a królem włoskim załatwić. W ciągu lata 1862, Prusy i Rosja uznały królestwo włoskie. W Berlinie, bardziej od innych względów, przeważył szalę wpływ angielski; w Petersburgu jedną z głównych pobudek była chęć dogodzenia cesarzowi francuzów. Austrja i Hiszpanja, trzymając się na uboczu, tem samem czyniły niepodobnem zwołanie kongresu. Cesarz znalazł się więc po dawnemu sam jeden wobec *non possumus* Piusa IX i szukając nań lekarstwa, wchodził, jak zwykle, we wszelkie możliwe kolizje. Najprzód w domowe i małżeńskie, gdyż władza świecka była kością niezgody między nim a cesarzową Eugenją. Następnie w parlamentarne, które w znacznej części zawdzięczał niefortunnemu wynalazkowi adresu. Polityka cesarska, oparta na fikcjach i dwuznacznikach, rozproszona w dążeniach i unikająca światła dziennego, stawała się coraz trudniejszą do obronienia. Stronnicy rządu coraz mniej rozumieli postępowanie cesarza, poczynali wątpić o zbawienności wewnętrznego systemu i gry międzynarodowej. Opozycja biła natarczywie w słabe strony, z pasją, bez względu, co z tego dla kraju wyniknie. Wszyscy czuli, że na dnie tych namiętnych napaści tkwi ziarno prawdy. Ministrowie bez teki bronili cudzych uczynków na

podstawie danych, jakie im dostarczano, a taka obrona nigdy nie mogła być równie skuteczną, jak obrona osobista, podjęta przez tego, co rzecz prowadził. Jednym z najdrażliwszych punktów była okupacja Rzymu, gdyż na wzmiankę o niej wszczynały się swary między większością ciała prawodawczego, między imperjalistami w senacie, między ministrami; cezar zaś, na którego wszystko się oglądalo, milczał, albo jak wyrocznia przemawiał. Przy rozprawach nad adresem w senacie, ks. Napoleon znowu «wybijał szyby» w Burgu wiedeńskim i w Watykanie, potrosze i u koronowanego kuzynka, i dał powód do mniemania, że jest tłómaczem ukrytej myśli cesarza. «Wątpię — skarżył się Thouvenel przed ks. Gramont dnia 7 marca 1862 roku—czy dyskusja adresowa wyjdzie na dobre naszej polityce zagranicznej i widzę, ile złego sprawia wewnątrz». Ostrzegając ambasadora, żeby nie przykładał wiary do złośliwych wieści o stanie umysłów we Francji, nie przeczył, że się dzieje niezupełnie dobrze: «*Nous avons, j'en conviens, un peu de grippe*» i wracał do starej piosnki, do sprawy rzymskiej. Żywił nadzieję, że Austrja dopomoże w Rzymie, aby papieża nakłonić «do odstąpienia w praktyce od doktryn absolutnych», innemi słowy, do uznania spełnionych faktów. Lecz Austrja przyjęła za prawidło nie mieszać się do spraw włoskich i ograniczyć się do obrony Wenecji; przeciąganie sporu o Rzym było jej na rękę, zabezpieczało ją od rozpoczęcia na serjo zatargu o resztę włoskich posiadłości. Opuszczony od wszystkich, cesarz francuzów nie wyrzekał się nadziei pojednania Piusa IX z Wiktorem-Emanuelem, czyli, jak się wyrażał: «*consacrer l'alliance de la religion et de la liberté*». Z jego inicjatywy Turyn wystąpił w Rzymie z nowemi propozycjami, na które stolica apostolska odpowiedziała swojem *non possumus*. Od siebie ofiarował papieżowi gwarancję ojcowizny św. Piotra za uznanie

Włoch, poczem Włochy miały się zobowiązać do szanowania granic papiezkich i załoga francuzka opuścić wieczne miasto. Pod wpływem obawy o los papieża ze strony własnych poddanych, wylągł się w głowie cesarza dziwny koncept, czyby nie można uorganizować Rzymu na sposób, w jaki się rządzi «City» londyńska; kazał sobie przysłać z Londynu sprawozdanie w tej materji i dopiero wtedy zrozumiał, *que saint Paul ne pouvait pas servir d'exemple à saint Pierre.*

«Ta nieszczęśliwa kwestja rzymska wyczerpuje moje siły i mój umysł», wyrzekał Thouvenel przed ks. Gramont. Pogodzenie Piusa IX z Wiktorem-Emanuelem nazywał *un mariage impossible* i wracał do dawnego projektu nałożenia papieżowi i Włochom kombinacji, przez Francję ustanowionej. Z Włochami sprawa wydawała się teraz dużo łatwiejszą, aniżeli przed śmiercią Cavoura, ale co począć, jeżeli papież zaprotestuje? jak papieża zabezpieczyć od własnych poddanych?

Ks. Gramont dawał podobno najlepszą radę: «Na teraz nic nie robić i jak najmniej mówić. Dziełu 1859 roku, o ile ono jest naszem, żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Austrja się nie ruszy, nie zamierza dobijać się o wpływ, którego utratę przebolała. Agitacja we Włoszech jest czysto wewnętrzną; jeżeli rząd króla wszędzie weźmie górę, będzie silniejszym i znajdzie możność traktowania z nami, bez względu na stronnictwa skrajne. Jeżeli Garibaldi zwycięży na południu, wyniknie anarchja i zmusi Europę do interwencji, a wtedy podzielimy się z nią odpowiedzialnością, która teraz wyłącznie na nas ciąży... Co się włochów tyczy, oni wszystko przyjmą, wszystko, wszystko! Krzyki o Rzym, krzyki o Wenecję, to słomiane ognie. Wściekłość, rozpacz, to dobre dla garibaldczyków i dla gazet. Wszak w moich oczach urodziły się i wzrosły owe Włochy malowane, *l'Italie d'opéra-comique.* Wielcy ludzie włoscy, między nimi Rattazzi, nie mogliby mi zaj-

rzeć w oczy bez śmiechu, jak augurowie... Miałem w ręku dowody, ile z Turynu zapłacono francuzkim dziennikom, ile wziął «Constitutionel» i «Siècle», ile żądała «La Presse» i «La Patrie», jaki kontrakt zawarła «L'Indépendance Belge» [1]).

O parę dni pierwej, d. 27 sierpnia, piemontczycy zaszli byli drogę pod Aspromonte Garibaldiemu, ciągnącemu na Rzym, rozbili w puch jego zastępy i ranionego wodza wzięli do niewoli. I korona nie spadła z głowy Wiktora-Emanuela. Logicznie rzeczy sądząc, był to wypadek dla Francji pomyślny. Rząd włoski miał aż nadto kłopotów w Neapolu i w Sycylji; partja ruchu we Włoszech została pozbawioną naczelnika; Francja mogła bezpiecznie nic nie robić i wcale się nie odzywać. Tymczasem stało się przeciwnie. Dlaczego? Winien był temu może nie tyle sekret cesarza, jak sekret Thouvenela i młodej szkoły dyplomatycznej.

Oto własne słowa Thouvenela: «Nie można się łudzić, chwila stanowcza nadchodzi. Cesarz niezadługo ujrzy się zmuszonym wyrzec słowo, fatalne dla jednej ze stron, które tak gorąco pragnął pojednać z sobą i którym służyć chciał. Bardzo się waha, wpływy klerykalne w tej chwili przemagają. Polityka, dążąca do pogodzenia papieża z królem włoskim, może bawić dzienniki, wartości praktycznej nie ma. Papież otwarcie powiedział naszemu ambasadorowi: «Nie można być naraz przyjacielem papieża i przyjacielem włochów»— i w tych słowach streszcza się dylemat. Jak długo Garibaldi spacerował po Włoszech, nasz obowiązek był jasny. Za jakie dwa miesiące rząd włoski wróci do swego, Anglja go poprze bardzo nieprzyjemnemi notami, a my nie będziemy mieli swobody wyboru. Obliczywszy następstwa obu kierunków, klerykalnego i liberalnego, sądzę, że pierwszy przedstawia bezporównania

[1]) List z d. 31 sierpnia 1862 r.

większe niebezpieczeństwa dla osoby cesarza, dla dynastji i dla Francji. Napoleon III, przyciśnięty do muru, nie może pójść za przykładem Henryka IV, powinien pamiętać o swojem pochodzeniu i odpowiednio działać. Większa część moich kolegów, oraz Troplong (prezes senatu) i Morny, są jednego ze mną zdania; Walewski, marszałek Randon i Magne stoją w obozie przeciwnym, ale mają za osobą silne plecy (cesarzowę Eugenję) i atmosfera dworska im sprzyja. Rezultat jest niepewny. Za powrotem cesarza, albo wcześniej w Biarritz, rada musi rozstrzygnąć, czy *status quo* ma być utrzymanym, *au risque de tout rompre* (?), czy też okupacja Rzymu ma ustać w oznaczonym terminie, wskutek odrzucenia przez papieża wszystkiego, co mu było proponowanem».

Skończyło się jednak zupełnie na czem innem. Zaraz po powrocie dworu z Biarritz, d. 9 października, Mérimée donosił Panizzemu: «*Il est question d'un grand remue-ménage ministériel*». W parę dni później, Thouvenel w liście do hr. Flahault, podpisanym: «*un ministre in extremis*», oznajmiał, że cesarz, nie wchodząc w rozbiór kwestyj spornych, zamierza żądać dymisji od wszystkich ministrów i złożyć nowy gabinet z ludzi, podzielających opinje Walewskiego. Jakoż nazajutrz, d. 14 września, usłyszano, jak się wyrażał Mérimée: «*le craquement ministériel*». Thouvenel i Persigny dostali odprawę, Fould, Rouher i Baroche mówili, że nie mogą pozostać w gabinecie, którego głową będzie Walewski. Oboje cesarstwo bardzo dbali o zatrzymanie Foulda. Cesarz zaręczał, że nic w polityce zmienionem nie będzie i dał do zrozumienia: «*que, si on reculait, c'était pour mieux sauter*», że przed upływem trzech miesięcy ukończy kłopotliwą sprawę. Mérimée był przez cesarzowę posłany do Foulda z prośbą, aby nic nie robił, nie rozmówiwszy się pierwej z Eugenją. *Madame et monsieur* nie szczędzili starań, ażeby skło-

nić do pozostania trójkę ministerjalną, która nie czuła zbytniej ochoty do odejścia. Dali się więc uprosić, pod warunkiem, że Persigny cofnie także dymisję, choć poprzednio oni właśnie najbardziej naciskali na pozbycie się z gabinetu ministra spraw wewnętrznych; ale teraz zapragnęli go zatrzymać w swojem gronie, *afin de ne pas paraître tout à-fait opprimés*. Gdy każdy wypowiedział, co mu ciążyło na sercu, stanął pokój; jeden Thouvenel ustąpił, a z nim razem ambasador w Rzymie La Valette i poseł w Turynie Benedetti. Tekę po Thouvenelu objął Drouyn de Lhuys, po raz czwarty minister spraw zagranicznych Napoleona III, człowiek umiarkowany, ostrożny, stronnik aljansu austrjackiego, przez imperjalistów czystej krwi źle widziany, jako pedant, a w duszy legitymista i papista. «*C'est du gâchis légitimiste et papalin*», konkludował Mérimée.

Zadowoloną być mogła chyba tylko cesarzowa Eugenja, nienawidząca Thouvenela; jej też intrygom przypisano całą historję, z której wszyscy wyszli pobici. Cesarz, jak twierdził Mérimée, posiadać miał plan jakiś, ale go musiał schować do kieszeni. Persigny zmył mu głowę za to, że pozwala żonie nad sobą przewodzić: jestem w tem samem położeniu, dla świętego spokoju robię ofiarę z moich własnych interesów; w. c. mość zaś poświęca swój interes, przyszłość syna i dobro Francji. Tak źle nie było. Spór o Rzym, w ostatnich czasach sztucznie zaostrzony reklamacjami gabinetu turyńskiego i londyńskiego o zwrócenie Włochom prawowitej stolicy, Drouyn de Lhuys zamknął oświadczeniem w Turynie, że gdy rząd włoski podejmuje na swój rachunek program Garibaldiego wywłaszczenia papieża, tranzakcja jest niepodobną i dalsza dyskusja bezużyteczną. Sprawa rzymska ucichła na lat parę, dopóki cesarz francuzów jej nanowo nie zbudził. Tymczasem przyszła kolej na Meksyk i Polskę.

XVIII.

Meksyk, od chwili oderwania się od Hiszpanji w roku 1821, trapiła bezustanku wojna domowa. Pod koniec r. 1860 wzięło górę stronnictwo liberalne; adwokat Juarez objął prezydenturę rzeczypospolitej. Jednym z pierwszych czynów prezydenta było zawieszenie wypłaty procentów od długu zagranicznego. Wierzyciele: anglicy, francuzi i hiszpanie, udali się o pomoc do swoich rządów. Trzy mocarstwa zawarły w Londynie 31 października r. 1861 konwencję, w celu wyegzekwowania należytości siłą zbrojną. Z końcem grudnia i w początku stycznia następnego roku, wylądowały w Vera-Cruz wojska sprzymierzone w sile 10,000 ludzi, z tych 6,000 hiszpanów, 3,000 francuzów i około 1,000 anglików. Taki był faktyczny początek przedsięwzięcia.

Inicjatywa wyszła od cesarza francuzów. Skusić go miał Morny, który, jak utrzymywano, wszedł był w spółkę z bankierem, nazwiskiem Jecker, roszczącym do Meksyku pretensje za niedotrzymanie umowy o eksploatację kopalni metali. Faktem jest, że po wylądowaniu w Vera-Cruz, pełnomocnik francuzki zażądał dla Jeckera wynagrodzenia w kwocie 75 miljonów, o czem pierwej mowy nie było i co tem bardziej zdziwiło, że Jecker nie był poddanym francuzkim; dopiero później, w końcu marca, otrzymał wielką naturalizację na mocy dekretu cesarskiego.

Cesarz miał w Meksyku swoje osobiste widoki. Najpierw zlikwidowanie w Meksyku sprawy włoskiej. To mu podsunęło myśl wciągnięcia hiszpanów do wyprawy, tudzież ofiarowania korony meksykańskiej jednemu z arcyksiążąt austrjackich; chciał sobie zjednać Hiszpanję i Austrję, aby zużytkować ich wpływ w Watykanie na rzecz kompromisu między papieżem a Wiktorem-Emanuelem, potem rozpocząć targ o Wenecję. Czy cesarzowi bardzo leżało na sercu odrodzenie na-

rodu meksykańskiego, trudno wiedzieć; lecz owe odrodzenie mieściło się w ramach naprawy świata, prócz tego było potrzebnem, jako punkt wyjścia do ufundowania na drugiej półkuli nowej monarchji i tronu dla Habsburga. Co się tyczyło Hiszpanji, cesarz wolał także iść do Meksyku w liczniejszem towarzystwie, a przy tej okazji przybierała kształty cielesne jego znana mrzonka o zespoleniu europejskich narodów łacińskiego szczepu.

Hiszpanie dali się wciągnąć. Pretensje hiszpańskich wierzycieli wynosiły zaledwie 8% całego długu; pomimo to Hiszpanja wysłała do Meksyku dwa razy tyle wojska, co Francja, przeszło sześć razy tyle co Anglja, pieniężnie najbardziej, bo do połowy zainteresowana. Dowództwo objął jenerał Prim, duch ambitny i niespokojny, któremu roiła się chwała Corteza i, podobno, tron meksykański.

Gdy zgoda między Francją a Hiszpanją stanęła, gabinet paryzki zwrócił się do Anglji. Lord John Russell, zakamieniały protestant, skrzywił się na wzmiankę wspólnej interwencji z Hiszpanją, podejrzewał bowiem hiszpanów, że będą w Meksyku prześladowali protestantów. «Protestanci, zamieszkali w Meksyku—odpowiedział Thouvenel — są z małym wyjątkiem anglicy, albo amerykanie; nie widzę przeto, jakim sposobem hiszpanie mogliby ich prześladować? Trudno nam samym Meksykowi narzucać konstytucję, ale w danej chwili możemy, razem z Anglją, zalecić kongresowi meksykańskiemu przyjęcie zasady tolerancji religijnej. Zasada ta jednak, równie jak inne, przyjęte w społeczeństwach należycie uorganizowanych, da się w Meksyku zastosować dopiero wtedy, gdy stanie tam rząd silny i rozsądny. Czy taki rząd, zwłaszcza dla rasy łacińskiej, jest możebny bez formy monarchicznej, nie sądzę, a jak mnie zapewniają, w Meksyku wszyscy ludzie rozumni i uczciwi są tego zdania. Zebranie

przeto kongresu, poprzedzone amnestją, sprowadzi zapewne oświadczenie na rzecz przywrócenia monarchji, co chętnie poprzemy, zrzekając się zawczasu kandydatury księcia francuzkiego. Prawnym pretekstem zbrojnej demonstracji mocarstw, są bezwątpienia pretensje wierzycieli meksykańskich; lecz mniemam, że w interesie powszechnym należałoby narodowi meksykańskiemu dopomódz do wyjścia z przepaści, w jakiej został pogrążony» [1]).

Flahault radził nie zrażać anglików przedwczesnem wspominaniem o restauracji monarchicznej w Meksyku; Thouvenel wracał przecież do swego. «Prawda, pisze d. 26 września, lord Russell gotów nas posądzić o konspiracje monarchiczne i katolickie, na współkę z Hiszpanją; ale nieudolność rasy hiszpańsko-łacińskiej w Ameryce do życia pod rządem republikańskim jest dowiedzioną i oczywistą, płyną z tego niezliczone szkody dla niej samej i dla narodów europejskich, pozostających z nią w stosunkach. Jedynem lekarstwem na cierpienia tego kraju wspaniałego a nieszczęśliwego, byłaby zmiana w instytucjach, czego sami meksykanie powinni zażądać. Austrja ma tylu arcyksiążąt, że mogłaby im ustąpić jednego, a kto wie, czy taka kombinacja nie ułatwiłaby uregulowania kwestji włoskiej?» Oto mamy czarno na białem wypisane słowo zagadki. Później, gdy rzeczy wzięły zły obrót, cesarz Napoleon zasłaniał się argumentem, że odrodzony Meksyk miał w przyszłości równoważyć na drugiej półkuli potęgę Stanów Zjednoczonych i przewagę rasy anglo-saksońskiej. Tezie tej niepodobna zaprzeczyć teoretycznej doniosłości, ale w owej chwili potęga Stanów Zjednoczonych była mocno zachwianą i zakwestjonowaną

[1]) List z d. 19 września 1861 r.

wskutek wojny pomiędzy Północą a Południem; secesja stanów południowych wiodła prędzej i skuteczniej do celu, niż zakładanie monarchji w Meksyku, wymagające długiego czasu, wielkich nakładów, a w rezultacie bardzo wątpliwe. Anglja uczuwała wielką ochotę uznać stany południowe, lecz nie chciała tego robić sama, bez Francji; wojna amerykańska groziła przecięciem dowozu bawełny; między Londynem a Waszyngtonem wszczął się spór o zatrzymanie na morzu przez okręt wojenny pod flagą północy, pocztowego parowca angielskiego i przyaresztowanie dwóch dyplomatów rządu południowego, płynących do Europy. Z tych powodów gabinet londyński zgodził się na wzięcie udziału w ekspedycji do Meksyku, lecz cesarz Napoleon wiedział, że Anglja uczyniła to niechętnie, nie podzielając bynajmniej jego projektów odbudowania w Meksyku monarchji.

W Vera-Cruz niezgoda wszczęła się odrazu pomiędzy sprzymierzeńcami. Na mocy liczebnej przewagi hiszpanów, Prim pretendował do naczelnego dowództwa nad całą wyprawą, ale rwał się naprzód, jakby chciał zaćmić Fernanda Corteza. Anglicy woleli trzymać się wybrzeży i posunąć naprzód o tyle, aby dotrzeć do wzgórz, gdzie nie panuje w lecie żółta febra. Obu sprzymierzeńców uraziło zamieszczenie w żądaniach francuzkich pretensyj Jeckera. Francuzi nie kryli się z zamiarem ciągnięcia prosto na Meksyk; z emigracją meksykańską ukartowany był projekt ogłoszenia cesarstwa. Z Francji odeszły posiłki, mające przywrócić liczebną równowagę z hiszpanami. «Prawdopodobnie przyjdzie zapuścić się wewnątrz kraju, pisał Thouvenel do hr. Flahault d. 17 stycznia 1862 r. Nie możemy grać roli podrzędnej, ani też wystawiać się na porażkę». Anglikom dowodził, że mają równy z Francją interes, żeby Meksyk nie dostał się pod jarzmo Stanów Zjednoczonych; co do kandydatury arcyksięcia Maksymilja-

na, od gabinetu londyńskiego nie żądał nic, prócz *laisser faire, laisser passer*. O hiszpanach zaledwie wspominał z lekceważeniem: «*ils nous font grise mine*».

Korona dla arcyksięcia była na warsztacie. «*L'archiduc Maximilien grille d'être empereur au delà des mers, et le crédit qui lui est ouvert chez Rothschild doit servir à la solde de ses émissaires*», donosił Thouvenel księciu Gramont d. 22 stycznia 1862 r. Kto otworzył kredyt u Rotszylda? Monarchiści meksykańscy chyba nie, bo nie byli zamożniejsi od tureckich świętych; więc albo cesarz Napoleon, albo jakie konsorcjum spekulantów tego gatunku, co Jecker i Morny. Za Meksyk są nam w Wiedniu bardzo wdzięczni, odpowiadał ks. Gramont; arcyksiążę Maksymiljan gorąco sprawą się interesuje; jenerał Almonte wybiera się do Meksyku, aby tam pilnować interesów arcyksięcia.

Jenerał Almonte, poseł meksykański w Paryżu za prezydentury Santa-Anny, poprzednika Juareza, wyrzucony na bruk przez ostatnią rewolucję w Meksyku, miał być meksykańskim Monkiem. Przybywszy do Vera-Cruz w początku marca, razem ze świeżym korpusem francuzkim, Almonte poszedł do Prima i wygadał się z czem przyjeżdża. Prim wpadł we wściekłość. Na parę tygodni przedtem, dowódcy wojsk sprzymierzonych zawarli byli w Soledad konwencję z rządem Juareza, warującą zaniechanie pochodu w głąb kraju i rozpoczęcie formalnych układów. Gdy rząd francuzki konwencji nie potwierdził, Prim zagroził opuszczeniem Meksyku, słowa dotrzymał i anglików za sobą pociągnął.

«*Nous voilà seuls chargés de débrouiller ce chaos*»... wzdychał Thouvenel, d. 17 maja. Pocieszał się nadzieją, że siedm tysięcy francuzów da rady bandom meksykańskim, a gdy miłość własna Francji będzie zadowoloną, skłoni cesarza do wycofania się z gry. Na wszelki wypadek polecił pełnomocnikowi francuzkiemu

w Meksyku nie wspominać o kandydaturze arcyksięcia Maksymiljana, którą Francja poprze dopiero wtedy, gdy będzie przez kraj rzeczywiście przyjętą.

Tymczasem, zaraz na wstępie, francuzi odnieśli porażkę pod Pueblą i musieli cofnąć się ku wybrzeżom. Cesarz wysłał do Meksyku jenerała Forey z posiłkami; stopniowo korpus francuzki wzrósł do 38,000 ludzi. Dopiero w maju 1863 r. jenerał Forey wziął Pueblę po dwumiesięcznem oblężeniu; w czerwcu wszedł do Meksyku. Po zajęciu stolicy przez francuzów, Almonte, jako naczelnik władzy wykonawczej, zwołał zgromadzenie notablów i przeprowadził uchwałę, oddającą koronę cesarską arcyksięciu Maksymiljanowi. Wszystko razem było zamkiem na lodzie. Granice cesarstwa meksykańskiego sięgały tak daleko, jak dotarła okupacja francuzka, zamknięta w klinie, którego podstawę tworzył kawałek wybrzeża, a wierzchołek miasto Meksyk. Reszta kraju, bezporównania większa, znajdowała się w rękach Juareza, mającego zapewnione poparcie Stanów Zjednoczonych, sympatję ludności, sprzymierzeńca w klimacie i w żółtej febrze.

Arcyksiążę zawahał się z przyjęciem korony i postawił dwa warunki: najprzód, żeby morskie mocarstwa zagwarantowały mu tron, potem, żeby naród meksykański oświadczył się wyraźnie za cesarstwem i jego osobą. Ani o jednem, ani o drugiem mowy być nie mogło. Na swoje nieszczęście, arcyksiążę odstąpił od postawionych warunków, sprawę wprost z cesarzem Napoleonem traktował. Układy trwały około dziewięciu miesięcy, w ciągu których każda strona mogła znaleźć sposobność wycofania się z niefortunnego przedsięwzięcia. Ks. Ernest Koburski twierdzi, że sprawą kierowały kobiety, cesarzowa Eugenja z arcyksiężną Charlotą. W marcu 1864 r., oboje arcyksięztwo pojechali do Paryża dla zakończenia układów. Znalazł się tam i ks. Ernest, stryjeczny brat arcyksiężny. Pod-

czas obiadu, cesarzowe, francuzka i meksykańska, rozpromienione, ciągle rozmawiały z sobą po hiszpańsku. Wstawszy od stołu, cesarz Napoleon wziął na bok ks. Ernesta, mówił o Meksyku i parę razy powtórzył: «*Une très mauvaise affaire; moi, à sa place, je n'aurais jamais accepté*» [1]). Obydwaj z własnej, nieprzymuszonej woli weszli w to bagno meksykańskie, w którem biedny arcyksiążę utopił życie, arcyksiężna rozum. Dla cesarza skutek był jeszcze gorszy. Śmiało można powiedzieć, że w Meksyku utopił połowę swojej korony, a w dodatku wystawił się na zarzut, że haniebnie oszukał ofiarę swoich nieszczęśliwych rachub.

Na mocy traktatu, zawartego między Francją a cesarzem meksykańskim, wojsko francuzkie miało opuścić Meksyk w 1867 roku; Meksyk zwracał Francji koszta wojenne w kwocie 270 miljonów i zobowiązał się płacić rocznie 1,000 franków od głowy żołnierza korpusu okupacyjnego. W maju 1864 r., cesarz Maksymiljan stanął na ziemi meksykańskiej. Władza jego kończyła się u forpoczt francuzkich; własna armja składała się z garstki ochotników, zwerbowanych w Austrji; dług publiczny wynosił bez mała 800 miljonów; jedyny ratunek dla skarbu widziano w zaborze reszty majątków kościelnych, której Juarez zagrabić nie zdołał. Płynąc do Meksyku, Maksymiljan wstąpił do Rzymu po błogosławieństwo ojca św. i starał się otrzymać zezwolenie stolicy apostolskiej na zamierzoną operację finansową, lecz nic nie wskórał. Gdy rząd położył rękę na dobrach duchownych, nastąpiło zerwanie z Rzymem i nieporozumienie z miejscowem duchowieństwem, główną podporą cesarstwa. Formacja armji meksykańskiej trafiała na największe trudności w tem społeczeństwie zdemoralizowanem, sprzedajnem, nienawidzącem obcych. Stosunki cesarza z marszałkiem Ba-

[1]) «*Aus meinem Leben*». T. III, p. 418.

zaine, dowódcą korpusu francuzkiego, były najgorsze. Bazaine, ożeniony z meksykanką, miał umyślnie szkodzić Maksymiljanowi, w nadziei, że po nim na tronie zasiądzie. Juarez szarpał francuzów wojną podjazdową, nie pozwalał cesarstwu zagrzać miejsca. Mowa tronowa cesarza Napoleona i dzienniki półurzędowe głosiły cuda o postępach cywilizacji w Meksyku, choć tam prawdziwy spokój i porządek ani na minutę nie zapanował. W końcu, Stany Zjednoczone, uporawszy się z secesją, zmusiły Francję pogróżkami do opuszczenia Meksyku.

Cesarzowa Charlota przybyła do Paryża błagać cesarza o pomoc; podczas rozmowy z cesarzem pojawiły się u niej pierwsze oznaki pomieszania zmysłów. Naoczni świadkowie opowiadają straszne szczegóły o postępowaniu francuzów, przy odwrocie z Meksyku. Bazaine miał przez zemstę ułatwiać Juarezowi zajęcie punktów strategicznych, kazał zatapiać i palić materjał wojenny. Po odejściu francuzów, sprawa Maksymiljana była bezpowrotnie straconą. Nieszczęśliwy cesarz przez punkt honoru postanowił wytrwać, powierzył się meksykanom i przez nich zdradzony, zginął, rozstrzelany w Queratarо, d. 19 czerwca 1867 r.

Ile żołnierza, ile miljonów, ile zapasów wojennych Francja utopiła w Meksyku — Bóg jeden wie. Kiedy po Sadowie chciano wystawić korpus nad Renem, pokazało się, że nie ma wojska, że magazyny i arsenały są próżne; co było, Meksyk pochłonął.

XIX.

Pierwszą młodość cesarz Napoleon spędził w Niemczech, w Augsburgu chodził do gimnazjum. Zostały mu z tego czasu pewne wrażenia i wspomnienia, znajo-

mość powierzchowna literatury niemieckiej, otarcie się o szwabski obyczaj; do Tuileries wprowadził drzewko na Boże Narodzenie, protegował towarzystwa śpiewaków. Ku niemcom nie czuł uprzedzeń, pospolitych między francuzami, ale Niemcy znał w gruncie bardzo niedokładnie i mało się niemi trudnił, jako narodem, lubiącym dużo rozprawiać, a mało robić. Do sporów, toczonych w sejmie rzeszy, nie przywiązywał wagi; więcej obchodził go *National-Verein* i ruch między demokracją niemiecką. Projektom reformy związku sprzyjał, jak wszelkim nowościom; własnego planu nie mając, powtarzał tylko, że Francja nie może zezwolić na Niemcy zjednoczone i zcentralizowane w wielkie państwo; co najwięcej, przypuszczał podział Niemiec na dwie połowy. Najbardziej dogadzała mu myśl trjady, otwierająca widoki dla protektoratu francuzkiego nad grupą państw drugiego rzędu, między któremi Francja miała dawnych klientów, cesarz zaś krewnych. Wszystko to jednak uważał za rzeczy dalekiej przyszłości. Tymczasem dbał jak najmocniej, żeby Austrja nie wprowadziła do związku niemieckiego wszystkich swoich posiadłości węgierskich, włoskich, polskich i nie zdobyła całkowitej w rzeszy przewagi, wskutek czego powstałoby w środku Europy siedmdziesięciomiljonowe mocarstwo, dotkliwie na Francji ciążące. To tłómaczy skłonność cesarza ku Prusom, które, niwecząc zamiary Austrji, służyły interesom francuzkim. Prusy były nadto państwem na dorobku, zmuszonem starać się o zaokrąglenie swojej figury geograficznej, łakomem na dobytki terytorjalne, niewybrednem w wyborze środków. Wielkoniemieckie aspiracje uchodziły w samych Prusach za gatunek monomanji, lub zgubę pruskiej ojczyzny; prawowierny prusak kładł na pierwszem miejscu zysk bezpośredni i pewny. Zasady i tradycje, traktaty, artykuły uświęconego zwyczajem katechizmu, legitymizm, konserwacja, solidarność tronów

i braterstwo broni, gabinet berliński wprawdzie w słowie i w piśmie sąsiadom przypominał, ale nie zamykał uszów na podszepty o reformie karty europejskiej, nie chcąc tylko wiązać sobie rąk wyjawieniem własnych życzeń. Cesarz był przekonany, że Prusy przystaną na sprostowanie swych granic kosztem sąsiadów, a wzamian jeżeli nie dopomogą, to pozwolą Francji posunąć się w stronę Renu. Przy różnych okazjach i przez różne osoby kusił prusaków do otwarcia ust, wymieniając Hanower, Szlezwig i Holsztyn, Hamburg, wreszcie, co zechcą na północy; w cichości ducha sądził, że księztwa nadelbiańskie pruski apetyt zadowolnią. Dla siebie gotów był kontentować się nawet drobnym nabytkiem, byle módz powiedzieć francuzom, że za jego panowania Francja zbliżyła się ku naturalnym granicom. Zmiarkowawszy, jaki zły efekt sprawiła aneksja Sabaudji, tudzież, że król Wilhelm, odkąd syna ożenił z córką królowej Wiktorji, począł bardzo zważać na opinję Anglji, cesarz dał pokój kusicielstwu otwartemu i z innej strony zabrał się do prusaków. W rozmowach z Bismarkiem, za czasów jego posłowania w Paryżu, wyrażał się z wielkim respektem o królu, ubolewał nad przeszkodami, jakie królowi stawiały izby w kwestji wojskowej, pochwalał dążenia pruskie do reformy związku, z dodatkiem, że Francja przyjmie wszelkie zmiany, z wyjątkiem wejścia całej Austrji do rzeszy.

W sierpniu 1863 r. cesarz Franciszek-Józef zaprosił monarchów związkowych na zjazd do Frankfurtu, w celu podjęcia reformy konstytucji rzeszy niemieckiej. Król pruski na zjazd nie przybył; drobni potentaci, klienci Prus, założyli *veto;* sprawa obróciła się ostatecznie przeciwko Austrji, gdyż gabinet berliński wystąpił z planem reformy, obejmującym parlament związkowy, programem stronnictwa liberalnego oddawna zalecany.

Cesarz Napoleon ujrzał w projekcie austrjackim pierwszy krok do przeobrażenia Niemiec w siedmdziesięciomiljonowe mocarstwo pod naczelnictwem Austrji, zniweczenie swoich planów względem Wenecji. Cesarz dopisał ostatnie niepowodzenie do dawnych z Austrją rachunków i podwoił uprzejmość dla Prus [1]).

Gabinet berliński, grzecznie za wszystko dziękując, trzymał się w odwodzie i troszczył bardziej o dwóch, chwilowo mu potrzebniejszych sąsiadów, Rosję i Austrję. Cesarza polityka ułatwiała to Prusom. W mowie tronowej z d. 5 listopada 1863 r. cesarz oznajmił Europie, że traktaty z roku 1815 istnieć przestały, i wniósł zebranie kongresu dla rozstrzygnięcia wszystkich kwestyj spornych. Czy to był tylko bąk napoleoński, puszczony dla zabawienia świata, czy też produkt naiwnych złudzeń, wziętych za rzeczywistość, na jedno wychodzi. Projekt kongresu musiał się rozbić o brak dobrej woli mocarstw do polubownego załatwienia sporów. Wyrok śmierci na dzieło roku 1815, mocno obszedł Anglję. Wskutek odmowy trzech wielkich mocarstw, kongres wpadł w wodę.

Oswobodzenie księztw z pod jarzma Danji, służyło od roku 1848 za konika niemieckim patrjotom. Biorąc sprawę w ręce, Prusy składały dowód, że rozumieją swoje posłannictwo w Niemczech i mają na sercu dobro wielkiej ojczyzny. Dopóki szło o wypędzenie duńczyków z księztw, między Prusami a rzeszą panowała najczulsza jednomyślność; lecz co do dalszego losu księztw, każda strona co innego miała na myśli. Prusy już dawno spoglądały pożądliwem okiem na Szlezwig i Holsztyn, żeby zdobyć wybrzeża, porty i inne rzeczy, niezbędne do ufundowania marynarki. Drobiazg niemiecki, poparty przez państwa drugorzędne, Pru-

[1]) Sybel. T. II, p. 543. «*Er wüthete über Oesterreichs Politik*»...

som nieprzychylne, zamierzał utworzyć z księztw odrębne państwo, jeszcze jednego członka rzeszy pod berłem Augustenburga. Austrji cała historja była wstrętną. Najprzód, trąciła rewolucją. Potem, Austrja nie pragnęła powiększenia Prus i Augustenburga także sobie nie życzyła, bo pretendent należał do tej samej, co Koburg, kategorji zwolenników wielkich Niemiec *mit preussischer Spitze*. Nie mogąc przecież uniknąć spółki, podjęła się razem z Prusami przeprowadzenia egzekucji.

Francuzi, nie wyjmując cesarza, o sprawie księztw nie mieli najmniejszego pojęcia. Strona prawna, niesłychanie zagmatwana, nie mieściła im się w głowie; stronę praktyczną lekceważyli. Stołeczna republika swoim zwyczajem obróciła wszystko w żart: «*encore une querelle d'Allemands!*» Imperjaliści przypomnieli sobie, że Danja bywała wierną przyjaciółką Francji, ale przyjaźń małych dobrą być mogła i pożyteczną w dawnych czasach; teraz wypadało szanować zasadę narodowości, więc nie przeszkadzać Niemcom do odzyskania ziemi zamieszkanej przez niemców; szanować wolę ludności, wiadomą z gazet liberalnych; dążyć do unji skandynawskiej. Szwecja i Norwegja żyły z sobą w ciągłej waśni pod wspólną dynastją; Danja wspominać sobie nie pozwalała ani o unji, ani o federacji z resztą Skandynawji; francuzi na to nie zważali. Według nich, duch czasu kazał narodom łączyć się w aglomeraty rasowe; Francja powinna była całemi siłami wszelkiego gatunku unje, iberyjskie, skandynawskie, przyspieszać i dopiero wtedy wchodzić w przymierza z odrodzonemi przez siebie potęgami. I tak, Francja najspokojniej przypatrywała się rozbiorowi Danji, a nazajutrz znalazła się osamotnioną w Europie, bez sprzymierzeńców, bez przyjaciół, z kulą meksykańską u nogi, z niedokończoną jednością włoską na plecach.

XX.

Włosi nie przestawali upominać się o Rzym i Wenecję, delikatnie, ostrożnie, ale uporczywie. Cesarz zrobił się mniej przystępnym, niż dawniej, jeszcze bardziej małomównym; był widocznie zachwiany, stropiony i bardzo do inicjatywy nieskory. Cesarzowa Eugenja szukała rozrywek dla zabicia czasu i robaka, co ją gryzł, z powodu lekkiej konduity małżonka. Polityka jej nie bawiła, to rzecz pewna. Z bieżących spraw europejskich jedna, rzymska, prawdziwie i głęboko ją obchodziła, ze względu na papieża; w sercu chowała przywiązanie do Hiszpanji; o inne, bardzo mało mając o nich wyobrażenia, nie dbała. Wewnętrzne sprawy jeszcze trudniej pojmowała; nadewszystko troszczyła się o przyszłość syna. Sądy o ludziach i wypadkach dyktowały zazwyczaj osobiste sympatje i antypatje. Kiedy Garibaldi wybrał się na zdobycie wiecznego miasta, zawołała z uniesieniem: «Dlaczego włosi nie rzucili się na Wenecję, która bezporównania więcej cierpi?» Ks. Napoleona i Thouvenela nienawidziła, Morny jej imponował zimną krwią i obejściem światowem, Foulda trochę się bała, Walewskiego lubiła, choć ją nudził. Umiejętnie zabierając się do rzeczy, można ją było uprosić, zainteresować, nakręcić; wtedy wstawiała się u cesarza, budziła jego sumienie. Jak daleko sięgał jej wpływ na politykę męża, trudno wiedzieć. Mérimée powiada, że cesarz okropnie bał się scen i szlochów, dlatego jak najmniej mówił, odkładał decyzję z dnia na dzień, krył się i znienacka próbował na swojem postawić.

Po upadku Thouvenela, który przypisywano intrygom jej, cesarzowa zaczęła okazywać się tem grzeczniejszą dla posła włoskiego; Nigra został stałym gościem cesarzowej i jednym z najlepiej przyjmowanych. Że z tego wynikły plotki, nic dziwnego. Galanterja

chodziła pod ramię z polityką. Bukiety zdobiły pęki wstęg w kolorach włoskich. Na stawie w Fontainebleau, między różnej formy statkami, stała gondola, wierszami gadająca, naturalnie przez usta Nigry:

«...Povera, ignuda, esangue,
Geme Venezia e langue
Ma vive — e aspetta ancor!»

W ślady włocha wstąpił prusak, Goltz. Dwór berliński począł być bardzo uprzejmym dla pary cesarskiej, więc układność dyplomaty mogła była być zgóry obstalowaną; Goltz w dodatku rozgorzał do cesarzowej sentymentem, może mimowolnym, może udanym, ale widocznym dla wszystkich. Na ciele niepowabny, rudawy, ale niegłupi i kostyczny, wkrótce był na dworze, jak u siebie. Za plecami przedrwiwano *ses ridicules feux*, śmiech podobny do ryku rozczulonego osła, dowcipy nieco ciężkie; w oczy każdy unikał ostrego języka i nikt nie chciał się narazić panu i pani, u których Goltz rósł w łaski, jak na drożdżach.

Rothan utrzymuje, że Goltz haniebnie okłamywał cesarza; miał mu kłaść w uszy, że Bismark, to kawałek warjata, który lada dzień kark skręci; wtedy on, Goltz, zajmie jego miejsce w Berlinie, zawrze ścisłe przymierze z Francją, będzie robił, co cesarz zażąda, odstąpi lewy brzeg Renu. Powieść mocno wygląda na bajkę. Cesarz nie był tak naiwny, żeby w takie rzeczy wierzyć; Goltz zanadto miał sprytu, żeby się uciekać do pospolitych środków, które bardzo łatwo mogły efekt zupełnie przeciwny uczynić. Ale było co innego. Zażyłość i poufałość obcych dyplomatów z parą cesarską ułatwiała traktowanie najdrażliwszych interesów wprost z monarchą, po za plecami ministrów, wstając od stołu, gdzieś we drzwiach, albo we framugach od okien—nareszcie w gabinecie cesarza, w cztery oczy, obcesowo i dorywczo. Przed wojną roku 1866, Prusy chciały otrzymać od cesarza obietnicę na piśmie, że

Francja pozostanie neutralną; cyrografu Goltz dostać nie potrafił, ale wobec swego rządu zaręczył słowem i osobą swoją, że ze strony cesarza niczego obawiać się nie trzeba. Na mocy zaręczenia Goltza, prusacy, najostrożniejsi ludzie pod słońcem, zaniechali wystawienia korpusu obserwacyjnego i granicę od strony Francji zupełnie ogołociwszy z wojska, wszystkie siły pchnęli na plac boju. Prusakom i Goltzowi fortuna sprzyjała, to prawda; Goltz mógł mieć dobre informacje o stanie armji francuzkiej, zredukowanej wyprawą meksykańską, to także prawda; niepodobna jednak przypuścić, żeby Goltz był się tak daleko posunął bez pewnej podstawy, nie przeniknąwszy osobistych usposobień cesarza, które poznał, dzięki ciągłym z dworem stosunkom. Po Sadowie, Goltz otrzymał rozkaz wybadania Francji co do aneksyj pruskich w Niemczech. Ministrowi spraw zagranicznych wspomniał tylko o nieznacznem sprostowaniu granic; szło o 300,000 dusz, wykrojonych z Saksonji, Hanoweru i Hesji elektorskiej. Drouyn de Lhuys zaprotestował przeciwko zaokrągleniu Prus, bez zgody Europy, i dodał, że aneksje na prawym brzegu Renu wywołają zmiany podobne na lewym. Wtedy Goltz pojechał do Saint-Cloud, zameldował się do cesarza, został natychmiast przyjęty i wytargował dla Prus całą Hesję, Hanower, Frankfurt, Nassau, razem 4½ miljony dusz [1]).

Nigra także otwierał oczy i uszy, aby uchwycić moment psychologiczny, w którym można będzie kwestję włoską znowu poruszyć. Obrót duńskich rzeczy zdawał się zapowiadać odnowienie potrójnego przymierza mocarstw północnych, więc kombinacji zarówno dla Francji i dla Włoch niekorzystnej. Cesarz nie mógł pozostać w Europie odosobnionym i bezczynnym, potrzebował choć jednego sprzymierzeńca; na-

[1]) Rothan: «*La Politique française en 1866*».

razie tylko przyjaźń Włoch mógł pozyskać, bez wielkich ofiar i wielkiego ryzyka. Włosi w to uderzyli i otrzymali tak zwaną konwencję wrześniową.

Historja konwencji wrześniowej znaną jest dotąd w przybliżeniu; szczegóły zakulisowe wyjdą może kiedyś na jaw z archiwów, na teraz zamkniętych. Pisano o niej dość wiele. Pierwsze miejsce należy się książeczce Klaczki: «*Les Préliminaires de Sadowa*», opartej na informacjach, pochodzących od ministra, który konwencję podpisał. Zaraz po wyjściu, książeczka została wliczoną do bibljoteki, jaką każdy początkujący dyplomata francuzki winien był posiadać i wozić z sobą. W literaturze historycznej i dyplomatycznej utrzyma się ona, jeżeli nie na zawsze, to na bardzo długo; jeżeli nie dla treści, do której późniejsze czasy przynieść muszą dużo uzupełnień faktycznych, to dzięki przedziwnej formie. Klaczko przeszedł sam siebie w talencie analitycznym, w szerszem grupowaniu szczegółów i harmonijnem budowaniu całości, w artyzmie stylu, i w końcu, w dowcipie.

Pod koniec lata roku 1864 zjawił się w Paryżu margrabia Pepoli i, razem z Nigrą, jął przedstawiać cesarzowi trudne położenie Włoch, króla i rządu. W uczuciu narodu, Rzym był naturalną stolicą Włoch; lecz rząd włoski, podzielając skrupuły cesarza w tej materji, poddaje się konieczności i pretensje do wiecznego miasta odkłada na lepsze czasy; musi jednak dać jakąś satysfakcję narodowi, tudzież myśleć o własnem bezpieczeństwie. Naturalną nagrodą za zrzeczenie się Rzymu, byłoby odzyskanie Wenecji. Gdy cesarz punkt o wojnie z Austrją usunął z dyskusji, włosi podnieśli kwestję stolicy. W Turynie niepodobna było rządowi wiekować, raz dlatego, że Turyn przypominał włochom panowanie Piemontu i obrażał miłość własną innych miast, niegdyś stołecznych — drugi raz dlatego, że na wypadek wojny z Austrją, Turyn był wystawiony na

niebezpieczeństwo inwazji. Rząd pragnął przenieść swoją siedzibę do Florencji, bronionej przez rzekę Po i łańcuch Apeninów, ale proste przenosiny znaczyłyby zrzeczenie się programu narodowego i pretensji do Rzymu, nie mówiąc już o rywalizacjach municypalnych. Francja miała w ręku lekarstwo na te wszystkie dolegliwości, gdyby zechciała opuścić Rzym, zdać na papieża utrzymanie spokoju w wiecznem mieście, a Włochom powierzyć obronę granic papiezkich od zewnętrznej napaści.

W szczerość włochów cesarz zapewne niebardzo wierzył, ale ich potrzebował. Podjął zatem dawny projekt Thouvenela, na którym tenże kark skręcił, i pocichu zawarł konwencję z d. 15 września 1864 roku. Wojsko francuzkie miało opuścić Rzym po upływie lat dwóch. Włochy zobowiązały się nie dopuścić najścia na Rzym ochotników. Artykuł sekretny orzekał bezzwłoczne przeniesienie stolicy Włoch do Florencji.

Mérimée bardzo trafnie osądził konwencję: ani Francja, ani Włochy nie mogą jej całkowicie dotrzymać. Jakoż skoro francuzi zaczęli zbierać się do wyjazdu, Garibaldi przedsięwziął wyprawę na Rzym. Wtedy Rattazzi, składając się niepodobieństwem upilnowania siedmdziesięciopięciomilowego kordonu, zażądał w Paryżu, aby mu pozwolono zająć wojskiem całą okolicę Rzymu i ochotników przepuścił. Francuzi, nawróciwszy z drogi, rozpędzili garibaldczyków pod Mentoną i Rzym napowrót obsadzili. Cesarz taki obrót rzeczy prawdopodobnie zgóry przewidywał, ale tymczasem zyskiwał dwa lata, papieża całkowicie nie wydawał na łup wrogów, włochów głaskał i natarczywość liberałów jako tako miarkował. Mérimée widział w konwencji korzyść dla włochów: «*ce n'est autre chose au fond qu'une signification faite au Saint-père d'avoir à faire sa malle, c'est ainsi que le parti prêtre le prend ici*». Zły efekt konwencji między partją katolicką był

jej pierwszem, niepożądanem dla cesarza następstwem, albowiem przy ostatnich wyborach w roku poprzednim opozycja dynastyczna w ciele prawodawczem wzrosła do dwudziestu pięciu głosów i zdobyła niepośledniej miary szermierza, Thiersa, obrońcę władzy świeckiej papieża, przeciwnika wyprawy meksykańskiej, rządów osobistych, tudzież wszystkich napoleońskich manewrów, porządków i nieporządków. Dalej, konwencja znaczyła rozbrat z przymierzem austrjackiem, z polityką pojednania, uspokojenia i konserwacji, którą uosabiał Drouyn de Lhuys. Właściwie, minister spraw zagranicznych powinien był podzielić los swego programu i ustąpić, ale cesarz nie lubił nowych twarzy około siebie i harmonji między ministrami. Drouyn de Lhuys mógł się jeszcze przydać, więc go zatrzymał, dla wszelkiej pewności dodał mu jednak dwóch aniołów-stróżów. Margrabia de la Valette objął w gabinecie sprawy wewnętrzne, Benedetti ambasadę berlińską. Obaj służyli włochom za zakładników.

Jednocześnie z zawarciem konwencji wrześniowej, cesarzowa Eugenja wybrała się raptem do Schwalbach. Podróż złożono na karb nieporozumień małżeńskich, wywołanych polityką. Mérimée przypisywał ją *à des tracas intérieurs, très fâcheux*, lecz z polityką nic nie mających wspólnego. Zdrowie chyba nie nagliło, bo cesarzowa wyglądała jak róża. Na dworcu kolei żelaznej w Wiesbadenie czekał na nią czterokonny powóz *à la Daumont*, księcia nassauskiego, ze służbą w liberji kapiącej od złota. Cesarzowa pięknie podziękowawszy, z dwiema paniami i margr. de Caux, późniejszym mężem Patti, wsiadła do zamkniętego fiakra i ze swoim dworem pojechała do Schwalbach. Najęto dla niej domek, najlepszy jaki był, bardzo skromny, ochrzczony dla niej Villa Eugénie; na pamiątkę jej pobytu, stanął na gazonie kamień z lwem brązowym; długo potem tamtejsi mieszkańcy szczycili się posia-

daniem tak dostojnego gościa. Tam, w powrocie z wód, odwiedził cesarzowę król Wilhelm pruski. Wizyta starego Hohenzollerna była odpłatą za uprzejmość, okazywaną Prusom przez cesarza Napoleona.

XXI.

Stosunki Francji z Rosją i Austrją, nadwerężone wskutek ostatnich zajść, zniewalały cesarza szukać w Berlinie punktu oparcia na północy. Główną pobudką była chęć odciągnięcia Prus od zbytecznej zażyłości z sąsiadami, dalsze, osobiste sympatje cesarza dla mocarstwa, którego ambicja i ruchliwość zdawały się rokować sprowadzenie konjunktur, pomyślnych dla napoleońskich widoków. Rozwój rzeczy cesarz pozostawiał czasowi, nie wszczynał pogadanek, nawet akademicznych, o przyszłości; czekał, aż go zaczepią. Długo nie czekał. W jesieni roku 1864 po raz pierwszy, w jesieni roku 1865 po raz drugi pruski Cavour pojawił się w Biarritz. Za pierwszą bytnością, pan Bismark podobno tylko używał kąpieli morskich; za drugą, kąpał się i dużo mówił o polityce. Co mówił i co słyszał, ma nam opowiedzieć autentycznie H. v. Sybel w czwartym tomie «Historji założenia cesarstwa niemieckiego». W powrocie, bawiąc w Paryżu, Bismark zetknął się z posłem włoskim i powiedział mu: «Wojna Prus z Austrją jest nieunikniona; mam mocną nadzieję, że Francja sprzyjać nam będzie; *si l'Italie n'existait pas, il faudrait l'inventer*» [1]). We Florencji te słowa padły na uprawną ziemię. Tekę spraw zagranicznych piastował jenerał La Marmora, pierwszy minister króla Wiktora-Emanuela od września 1863 r. Na wieść o zawarciu konwencji z Francją o Rzym i

[1]) La Marmora: «*Un peu plus de lumière*», p. 71.

przeniesieniu stolicy do Florencji, obywatele turyńscy zrobili wielką awanturę w mieście; wojsko strzelało do tłumu, padło 160 trupów i na tem był koniec, ale król uczuł potrzebę oddania władzy w silne ręce. To i przewidywanie, że wkrótce może przyjść do rozprawy z Austrją, spowodowało powołanie na naczelnika gabinetu najtęższego jenerała włoskiego, człowieka energicznego i zdeterminowanego. La Marmora był prusomanem, mocno podziwiał pruską armję, podzielał przeczucia Cavoura, że Prusy będą niemieckim Piemontem i sam przeczuwał w nich naturalnego sprzymierzeńca Włoch. Gwałtownie pożądając odzyskania Wenecji, widział trzy sposoby dojścia do celu: drogą zamiany za księztwa naddunajskie, drogą wykupu za gotówkę, drogą zdybyczy wojennej we współce z Prusami. Jako żołnierz, przekładał wojnę nad wszystko; jako włoch, pragnął Wenecję pozyskać bez pomocy Francji, żeby nie powiększać i tak już ciężkiego długu wdzięczności.

W listopadzie 1864 r., Austrja, za pośrednictwem gabinetu paryzkiego, ofiarowała Wiktorowi-Emanuelowi uznanie Włoch, nie żądając formalnego zrzeczenia się Wenecji, tylko obietnicy, że Włochy sumiennie wypełniać będą obowiązki międzynarodowe względem monarchji austrjackiej.

Propozycja, zalecona przez Francję, była bardzo tentującą. Nigra uprzedzał, żeby nie liczyć na zawikłania europejskie, że cesarz Napoleon wojny nie chce. Prusy, rozpocząwszy z Włochami układy o traktat handlowy, puściły rzecz prawie skończoną w odwłokę i uczyniły to w sposób obrażający dla Włoch. Z drugiej strony, przywrócenie dobrych stosunków z Austrją, prócz uregulowania pozycji Włoch w Europie, pozwalało Włochom zredukować wydatki na armję, przyprowadzić do porządku finanse. La Marmora propozycji nie przyjął; bał się izb, że pigułki nie przełkną;

nie chciał zagradzać sobie drogi do Wenecji. Zamianę Wenecji na Mołdawję i Wołoszczyznę, Austrja odrzuciła. Agent, wysłany przez La Marmorę do Wiednia, w celu traktowania o wykup Wenecji, wrócił także z niczem. Pozostała przeto ostatnia ucieczka, przymierze z Prusami, jeżeli wojna w Niemczech wybuchnie.

W lecie 1865 r., poseł pruski parę razy zagadywał La Marmorę, co poczną Włochy na wypadek wojny między Prusami a Austrją? La Marmora unikał wyraźnej odpowiedzi, z obawy, że Prusy chcą nastraszyć Austrję i wymódz na niej ustępstwa. Słowa Bismarka: «*Si l'Italie n'existait pas*»... trafiły mu do serca, ale nie do przekonania. Italja była wprawdzie wynalezioną, ale na konwencji, zawartej w Gasteinie, o *condominium* Prus i Austrji w księztwach nadelbiańskich, atrament ledwie miał czas zaschnąć. Przy wielkim sprycie i niemałej roztropności, La Marmora brał rzeczy nieco z grubego końca, wierzył w dane słowo i w podpis, nie pojmował, jak może człowiek, co siebie szanuje, zawierać z drugim umowę po to tylko, żeby ją zerwać.

Przymierze Włoch z Prusami musiało być w gwiazdach zapisane. Obie strony czuły do siebie mimowolny pociąg, w Berlinie silniejszy niż zakorzenione przesądy, we Florencji przemagający zimną rachubę. W styczniu r. 1866 La Marmora raz jeszcze odmówił wejścia w układy z Austrją o traktat handlowy, z natury rzeczy pociągające za sobą podjęcie stosunków dyplomatycznych. Za to niebawem dobił szczęśliwie do portu. Prusy wznowiły z własnej inicjatywy sprawę traktatu handlowego, który przyszedł w lutym do skutku; król pruski ozdobił pierś Wiktora-Emanuela orderem Orła Czarnego; Bismark poufną drogą, z ominięciem legacji pruskiej, poprosił o przysłanie w sekrecie do Berlina jenerała, włoskiego w celu porozumienia się o wojnę z Austrją.

La Marmora wniósł z tego, że w Berlinie wojna musi być rzeczą postanowioną, że idzie zatem o zawarcie traktatu zaczepnego i odpornego z wyraźnie wymienionym przedmiotem. Z taką instrukcją pojechał do Berlina jenerał Govone, włoch bystry i przebiegły. Bismark od pierwszego spotkania wyłuszczył mu bardzo otwarcie swoje zamiary i widoki. Powiedział, że chce wywołać zawikłania w Niemczech, aby zdobyć dla Prus supremację na północy. Sprawa księztw nadelbiańskich wyleczyła króla ze skrupułów, z przywiązania do pracowitości i do aljansu z Austrją. Rozpocząć wojnę o księztwa nie było trudno, ale wielka wojna o tak drobny punkt obraziłaby Europę. Zamierza więc, za trzy albo cztery miesiące, wnieść ponownie na stół projekt reformy związkowej, okraszonej parlamentem niemieckim. Wtedy wyniknie antagonizm między Prusami a Austrją, przyjdzie do wojny o kwestję ważną i narodową. Aby plan przeprowadzić i łatwiej królem pokierować, potrzebuje zaraz traktatu z Włochami, który włoży na Włochy obowiązek wspólnego postępowania z Prusami; wzamian Prusy mogą zobowiązać się, że po wojnie Włochom dostarczą Wenecję. Przymierze włoskie pomnoży nasze siły i ułatwi nam porozumienie z Francją, która obecnie z nami wiązać się nie chce. Cesarz obiecuje nie przeszkadzać nam w sprawie księztw i zachować przyjazną neutralność; potem ma postawić dalsze warunki, których wzbrania się wymienić; raz połączeni z Włochami, prędzej z nim pogodzić się zdołamy. Na początek, Prusy poprzestaną na prostym traktacie wiecznego przymierza i przyjaźni z Włochami. Włosi powinni zaniechać myśli wykupna Wenecji; dostarczyliby bowiem Austrji pieniędzy na nową wojnę o Wenecję i Lombardję; lepiej użyć tych pieniędzy na zdobycie Wenecji w przymierzu z Prusami. «Wypływa z tego, dodawał Govone od siebie, że hr. Bismark pragnie

związać nam ręce, żeby wywrzeć nacisk na Austrję i nie dopuścić zgody bezpośredniej między Włochami a Austrją. Pozostaje nam przeto albo zerwać układy, albo zwlekać; wreszcie zawrzeć ów traktat przymierza i przyjaźni, zyskać na czasie i szukać innego wyjścia: wtedy żmija pokąsa szarlatana [1])».

La Marmora nie odstępował od traktatu zaczepnego i odpornego. Zdecydowanym będąc sumiennie dotrzymać umowy, żądał ścisłego opisania wzajemnych obowiązków. Bismark usiłował nadać umowie formę i postać, pozwalającą wyciągnąć zeń rozmaite korzyści, a w razie potrzeby wycofać się i umyć ręce od wszystkiego, chociażby zemleć się miało na cudzym grzbiecie. Podsuwał Włochom punktacje tak zredagowane, że można było je najrozmaiciej interpretować. Proponował zawrzeć bez zwłoki traktat przymierza i przyjaźni, a przygotować drugi, zaczepny i odporny, do podpisu w przeddzień rozpoczęcia wojny. W końcu przystał na to, co włosi chcieli, ale gdy przyszło do podpisu, z nagłówka zniknęły wyrazy: traktat zaczepny i odporny — znowu zaś wróciło przymierze z przyjaźnią. Włosi zaprotestowali, posłano po oryginał, który włochom dał rację, i dopiero późnym wieczorem, po sprostowaniu omyłki, traktat został podpisany d. 8 kwietnia 1866 r. Bismark ofiarował włochom spisanie w dodatku osobnego protokółu, warującego trzymanie traktatu w sekrecie. «Widzę, mówił, że nie ufacie nam, boicie się, żebyśmy traktatu nie pokazali w Wiedniu i nie zużytkowali go na waszą szkodę; protokół was uspokoi». Rzecz podobno miała się odwrotnie; Bismark podejrzewał włochów, że oni z traktatem w ręku gotowi targ o Wenecję rozpocząć.

[1]) Raporty jenerała Govone z d. 14 i 15 marca 1863 r. «*Un peu plus de lumière*», p. 93.

Govone nie byłby może od tego, on, co ciągle lubił powtarzać przysłowie o żmii i szarlatanie.

La Marmorę sama wzmianka protokółu do żywego ukłuła; «wierzyłem, powiada, w dobrą wiarę sprzymierzeńca, a gdybym był wątpił, obietnica sekretu nie byłaby mnie natchnęła ufnością».

Biedny człowiek nie przeczuwał, co go jeszcze czekało. Niepewność, czy przyjdzie, czy nie przyjdzie do wojny, trwała niemal całe trzy miesiące. W Wiedniu domyślano się, że Prusy i Włochy knują na zgubę Austrji; załogi w fortecach włoskich zostały wzmocnione. Austrjacy mogli w każdej chwili wypaść z czworoboku. Włochy musiały pamiętać o własnem bezpieczeństwie, postawić się w możności dopełnienia obowiązków traktatowych względem Prus; nie zbywało im też na ochocie, żeby zgwałcić boginię-fortunę. Nie zniósłszy się ani z Berlinem, ani z Paryżem, La Marmora zarządził, dnia 27 kwietnia, mobilizację armji włoskiej. Najdalej za miesiąc będziemy gotowi, rzekł Govone do Bismarka; wojna z Austrją może wybuchnąć, Austrja pierwsza gotowa ją rozpocząć; czy Prusy wtedy wypowiedzą wojnę Austrji? Literalny tekst traktatu, odparł Bismark, takiego obowiązku na nas nie wkłada: «*nous croyons que cette obligation existe seulement pour l'Italie*». Po naradzie z królem, dodał: «Jeżeli Austrja zaczepi Włochy, Prusy także wojnę wydadzą; król radzi Włochom unikać zaczepki i na wypadek zaczepki żadnego zobowiązania na siebie nie przyjmuje». Dla włochów był to cios okropny, bo trzymanie armji na stopie wojennej mogło skarb zrujnować i wyczerpać wszystkie zasoby. La Marmora gorszył się przewrotnością ludzką; Govone napierał w Berlinie, żeby rząd pruski kwestję niesienia pomocy Włochom, zaczepnie występującym, uznał przynajmniej za obowiązek honoru. Zrobimy z tego kwestję gabinetową, pocieszał go Bismark; *du reste fiez-vous à la marche*

irrésistible des évènements. Swoją drogą nie był od tego, żeby włosi przyspieszyli bieg wypadków, i nieco później otwarcie Włochom powiedział: «Dlaczegobyście Austrji pierwsi nie zaczepili? *Vous nous rendriez un fameux service*»... La Marmora nie podjął się wyciągać z pieca kasztanów, ale pogardził sposobnością zemszczenia się na prusakach. Austrja bowiem oddawała Wenecję za obietnicę neutralności Włoch, a wtedy żmija mogła szarlatana okropnie pokaleczyć. La Marmora powiedział, że mu honor nie pozwala złamać traktatu z Prusami. Oprócz honoru, wstrzymywały go jednak i inne powody. Włochy miały odzyskać Wenecję drogą retrocesji od Francji, więc nowy dług względem niej zaciągnąć; on sam zaś był przekonany, że Austrja będzie pobitą i Wenecję odda z musu.

Zapowiedzianej wizyty Moltkego, La Marmora próżno czekał; ani Moltke, ani żaden pruski wojskowy nie pokazał się we Florencji. Ile razy Govone wszczął z Moltkem rozmowę o operacjach wojennych, Moltke mówił o armji austrjackiej, o własnych planach milczał. W maju zjawił się u La Marmory literat z Berlina, Bernhardi, doktor filozofji, i pokazawszy na karcie, którędy pruskie korpusy ciągnąć mają do Czech, zapytał, jakie są zamiary włoskiego wodza. Z doktorem filozofji dysputować La Marmorze nie przeszło przez głowę, ograniczył się więc na pytaniu, gdzie w danym razie armja włoska i pruska miałyby się połączyć. Bernhardi wymienił Linz, o czem już pierwej Govone słyszał od Bismarka.

W jaki miesiąc potem, poseł pruski we Florencji, Usedom, przyniósł notę urzędową, pełną zbawiennych rad dla włochów. Wojna powinna być *une guerre à fond*, skończyć się powaleniem Austrji. Włosi nie powinni się bawić w obleganie fortec, lecz obszedłszy czworobok, ciągnąć prosto na Wiedeń; w miarę, jak armja włoska przybliżać się będzie do pruskiej, zmniej-

szy się dla niej niebezpieczeństwo pochodu w głąb Austrji i wzrosną szanse zwycięztwa. Istnieje zresztą nieomylny środek, zapewniający obu stronom skuteczne działanie na wspólnym gruncie, a tym gruntem są Węgry. Rząd pruski badał stan rzeczy w Węgrzech i przekonał się, że ten kraj może posłużyć za strategiczną podstawę. Silny korpus włoski, złożony przeważnie z ochotników, z jenerałem Garibaldim na czele, wylądowawszy na wschodniem wybrzeżu Adrjatyku, znajdzie serdeczne przyjęcie u słowian i madjarów, czynną pomoc, wszelkie zasoby; węgierskie i chorwackie pułki bić się nie zechcą. Jednocześnie mógłby wtargnąć z pruskiego Szlązka korpus ruchomy, sformowany z narodowych żywiołów, i podać rękę siłom włoskim i miejscowym.

Plan nosił na czole piętno, świadczące zkąd pochodzi; autorami jego byli: Mazzini, Kossuth i Klapka. La Marmora miał w kieszeni memorjał gubernatora, zupełnie podobnej treści, wraz z projektem traktatu zaczepnego i odpornego. «Byłem zawsze, powiada, przeciwnikiem używania w wojnie środków niedozwolonych; Prusy chciały od nas, żebyśmy wywołali powstanie w Węgrzech, zapłacili koszta i oszczędzili w dodatku Prusom powalania sobie rąk tą sprawą; szaleństwem było w końcu wiązać się z mocarstwem imaginacyjnem, jak Węgry, nie mającem armji i pieniędzy». Własne informacje La Marmory niosły, że w Węgrzech ludność prędzej pragnie zgody z Austrją, niż rewolucji, że wpływ emigrantów upadł. Schowawszy więc wszystko razem do szuflady, pociągnął pod Custozzę, gdzie pułki węgierskie biły się jeżeli nie lepiej, to nie gorzej od innych.

XXII.

Cesarz Napoleon, od rozmowy z Bismarkiem w Biarritz, wiedział, do czego Prusy zmierzają. W walce między Prusami i Austrją upatrywał zakład przeprowadzenia swoich zamiarów względem Wenecji, Niemiec i Renu. Na pierwszym planie stała, jak zawsze, Wenecja, którą Włochy musiały posiąść za jakąbądź cenę. Reszta pływała w mgłach. Cesarz pragnął położyć tamę ambicji austrjackiej w Niemczech, tem samem nie sprzeciwiał się zaokrągleniu Prus. Przy manipulacjach terytorjalnych w Niemczech, powinna była nadarzyć się okazja do posunięcia granic Francji ku Renowi. Wszystko jednak miało się spełnić cudzemi rękami i cudzym nakładem, bez czynnego udziału Francji w wojnie. Wziąwszy za maksymę: *inertia sapientia*, cesarz zdał na Bismarka sprawę. *Il est fou...* szeptał podobno, gdy ten w Biarritz przepowiadał niezawodne zwycięztwo Prus nad Austrją i z całym spokojem śledził roboty człowieka, którego jeden z najtęższych dyplomatów szkoły cesarskiej, Benedetti, po piętnastoletnich z nim stosunkach, nazwał prostym manjakiem.

W sporach między Prusami i Austrją, cesarz nikomu nie pomagał i nie przeszkadzał; biegu rzeczy nie starał się ani przyspieszyć, ani też zwrócić na tor przez siebie obrany. Dzięki temu, obiedwie strony zasypywały go konfidencjami i czułościami; nareszcie skończyły na formalnej licytacji *in plus*. «Nigdy zapewne, powiada La Marmora, świat się nie dowie, jakie propozycje, obietnice i ofiary nosili cesarzowi dzień za dniem ministrowie Austrji i Prus. Obiecywali mu i to, co mieli do dania, i to, co spodziewali się mieć, i to, czego nie wolno było tykać, tak, że cesarz w końcu przypomniał im przypowieść o skórze na niedźwiedziu. Szło w samej rzeczy o niedźwiedzia, który nie siedział ani w Alpach, ani w Karpatach, był zdrów i nie czuł

najmniejszej ochoty pójść do klatki» [1]). Nazywając rzeczy po imieniu, niedźwiedziem bywał Ren, bywała Belgja, «gniazdo rewolucjonistów i konspiratorów», także Szwajcarja. Mówiono, że Renem Austrja chciała okupić przymierze francuzkie. Poseł włoski w Berlinie, hr. Barral, któremu Bismark o tem wspomniał, zauważył, że rozrządzanie krajami rzeszy, skompromitowałoby Austrję wobec niemców; Bismark machnął ręką, jak gdyby chciał powiedzieć: i jabym ustąpił! Jenerał Govone w raporcie z d. 3 czerwca r. 1866, przytacza następne słowa Bismarka: «Jestem bardziej prusakiem niż niemcem; ustąpiłbym Francji chętnie terytorjum między Renem i Mozellą, ale król, pod wpływem królowej, *qui n'est pas prussienne*, uczuwa wielkie skrupuły; zgodziłby się na to zaledwie w ostateczności, gdyby rozchodziło się o to, żeby wszystko zyskać, albo wszystko stracić. Gdyby cesarz żądał całego brzegu Renu, z Moguncją, Koblencją i Kolonją, wtedy i ja wolałbym porozumieć się z Austrją, poświęcić księztwa i dużo innych rzeczy. Agenci francuzcy, wysłani nad Ren dla zbadania umysłów, przekonali się, że plebiscyt nie fikcyjny nigdzie nie dałby się przeprowadzić; ludność nie lubi rządów i dynastji, ale wie, że jest niemiecką i niemiecką chce zostać. Kompensata dla Francji mogłaby się przeto znaleźć chyba w Belgji i w Szwajcarji francuzkiej. Trzebaby jednak wiedzieć, jakie jest minimum żądań cesarza» [2]).

Cesarz ani maksimum, ani minimum swoich żądań nie chciał wymienić. Goltz opowiadał Nigrze, że gdy cesarza o to zapytał, cesarz odparł: «Na karcie widać, jaka różnica zachodzi między granicami Francji dzi-

---

[1]) «*Un peu plus de lumière*», p. 128.

[2]) La Marmora, p. 288. W książce, w miejscu, gdzie mowa o Belgji i Szwajcarji, są kropki, ale raport był później bez opuszczeń ogłoszony w dziennikach włoskich i niemieckich.

siejszej i granicami z r. 1814». Rozmowa miała miejsce w marcu, kiedy się już toczyły układy o przymierze prusko-włoskie. Czem bliżej było do wojny, tem bardziej musiało chodzić Prusom i Austrji o poznanie zamiarów cesarza i zapewnienie się co do przyszłej postawy Francji. Od obu stron cesarz mógł otrzymać znaczne ustępstwa i zobowiązania na piśmie. Tymczasem tylko o Wenecję zawarł kontrakt z Austrją, dla siebie nic nie zawarował.

Nie przez chciwość; więcej bowiem cenił satysfakcję moralną, że pod jego panowaniem Francja odzyska cząstkę tego, co utraciła w r. 1815, aniżeli rozległość nowych nabytków. Do pewnego stopnia krępowała go ostrożność: wzgląd na Anglję, bardzo drażliwą na punkcie Renu i Belgji, przeciwną wszelkiemu powiększeniu Francji—dalej, obawa, że Rosja robić będzie trudności, choćby przez odwet za polskie psoty. Od wchodzenia w pisane umowy wstrzymywała nadto cesarza niechęć wciągnięcia Francji w wojnę, czego z zasady unikał. Nie mając ustalonego zdania o rzeczach niemieckich, nie był w stanie określić w swoim umyśle rozmiarów i formy przyszłej reformy związku, żadnej stronie nie życzył walnego zwycięztwa nad drugą. Najlepiej dogadzało mu połowiczne rozstrzygnięcie, wojna bez pozytywnego rezultatu, dozwalająca Francji wystąpić w danej chwili w roli arbitra i nałożyć wojującym swoją wolę bez użycia siły. Wraz z Francją i całą Europą, cesarz był przekonany o przewadze militarnej Austrji nad Prusami. Wojskowi francuzcy, wysłani umyślnie w celu zbadania stanu wojsk tych państw, zgodnie zaręczali, że austrjacy w puch rozbiją prusaków przy każdem spotkaniu, że armja austrjacka jest w Europie najlepszą po francuzkiej, pruska zaś gatunkiem milicji. Sami zresztą prusacy, oficerowie i żołnierze, idąc do Czech, głośno powiadali: «wrócimy my tu niedługo, porządnie przetrze-

pani!» [1]). Z dwojga złego przenosząc mniejsze, pogrom Austrji i zwycięztwo Prus, cesarz byłby prędzej zawarł przymierze z Prusami, ale wchodziła mu w drogę, oprócz perspektywy narażenia Francji na wojnę, Wenecja, którą chciał wytargować nieodmiennie, jeżeli można, bez rozlewu krwi niczyjej i bez względu na wynik wojny. Natomiast w przymierzu prusko-włoskiem znalazł środek przywrócenia równowagi między wojującymi. Austrja, zmuszona swoje siły podzielić i stawić czoło dwóm przeciwnikom, przestawała być straszną dla Prus. Tem samem, cesarz nie potrzebował wiązać się z nikim i zachowywał zupełną swobodę.

O ile wiadomo, cesarz nie był ani autorem, ani inicjatorem traktatu między Prusami i Włochami. Pierwsza myśl wyszła od Bismarka, podwójnie w tej sprawie interesowanego, albowiem przez włochów jeżeli nie przyciągał cesarza na swoją stronę, to odciągał od Austrji i znaczną część wojsk austrjackich przykuwał na drugim krańcu monarchji. Jak La Marmora wzdychał do przymierza pruskiego, widzieliśmy. Obydwaj, Bismark i La Marmora, nie robili nic bez wiedzy cesarza, który o każdym kroku był powiadomiony i często pytany o zdanie.

Przeszkadzać robocie już rozpoczętej, było nieco zapóźno i niesnadno. Przymierze prusko-włoskie było z jednej strony wynikiem ciągnącego się oddawna procesu historycznego między Austrją i Prusami—z drugiej strony, owocem posiewu napoleońskiego, we Włoszech i w Europie rozrzuconego ręką cesarza. *Veto* Napoleona III mogło zapewne sprawę na jakiś czas odłożyć, zostawiając na dnie gorycz ku Francji, i tak pozbawionej przyjaciół i sprzymierzeńców. Cesarz nie lubił uciskać swoich partnerów, wreszcie, wziął dzikie

[1]) Bawiąc wtedy w Dreznie, słyszałem to nieraz na własne uszy.

małżeństwo Włoch z Prusami za oś własnej polityki. Nic też innego nie miał narazie przed sobą. Co więcej, kombinacja obiecywała i powinna była przynieść Francji niejaki zysk, gdyby cesarz nie zgrzeszył niedbalstwem i lekkomyślnością.

Kiedy włosi przyszli do cesarza po radę, cesarz im powiedział: «Zaczepiając Austrję, uczynicie to na własne ryzyko; jeżeli Austrja was napadnie, przeszłość odpowiada za przyszłość. Traktat z Prusami uważam za pożyteczny, ale mówię to jako przyjaciel, odpowiedzialności na siebie nie biorę i do niczego się nie zobowiązuję». Obok tego, doradzał Włochom poprzestać na traktacie ogólnikowym, *un traité générique;* nie nalegać na przymierze zaczepne i odporne. W duchu, wolał zapewne, przy pomocy traktatu, doprowadzić do skutku targ o Wenecję i oszczędzić włochom spotkania się w polu z austrjakami. Rachubę pokrzyżował La Marmora, ale bitwa pod Custozzą dowiodła, kto lepiej liczył.

W pierwszych dniach maja Austrja ofiarowała cesarzowi Wenecję pod dwoma warunkami: odzyskania Szlązka, oraz neutralności Francji i Włoch. Cesarz propozycję zakomunikował Włochom, z zapytaniem, czy chcą i mogą uwolnić się od traktatu z Prusami? Austrja tymczasem punkt o Szlązku samą uchyliła. Włochom Prusy do pewnego stopnia rozwiązały ręce oświadczeniem, że litera traktatu nie wkłada na nie obowiązku wypowiedzenia wojny Austrji, rozpoczynającej względem Włoch kroki nieprzyjacielskie. La Marmora odpowiedział jednak cesarzowi: «Honor i lojalność każą nam dotrzymać umowy z Prusami». Włochów obrażała myśl odebrania Wenecji z rąk cesarza, nie chcieli obrażać Prus i Niemiec, ale byliby się może poddali wyraźnej woli Francji. Cesarz im furtkę własną ręką otworzył. Nie czekając na odpowiedź z Florencji, pojechał do Auxerre i tam rzekł: «Ogromna

większość narodu francuzkiego wraz ze mną nie cierpi traktatów z roku 1815»; włochów zaś uprzedził, że dla zyskania czasu wznowi projekt zebrania kongresu.

«*Le discours d'Auxerre a fait l'effet d'un coup de canon au milieu d'un concert* — pisał Mérimée; jestem przekonany, że mowa była skierowaną nie do Europy, lecz do Thiersa i do izby; *je crois être bien sûr de cela*». W ciele prawodawczem, tygodniem pierwej, Thiers zganił politykę cesarską, jedność Włoch, przymierze prusko-włoskie, projekty reformy związku niemieckiego, i zebrał szalone oklaski nietylko opozycji, lecz i większości rządowej. Opinja powszechna była za neutralnością Francji, w sporze niemieckim przechylała się na stronę Austrji. Cesarz rzucił na szalę wagę swego słowa głównie dlatego, żeby skonfundować swoich przeciwników i małodusznych stronników; na drugim dopiero planie stała europejska szachownica, na której nieopisany powstał zamęt, świadczący, ile cesarz znaczył jeszcze w świecie. Na balu u cesarzowej zagraniczni dyplomaci wyglądali jak na śmierć skazani, ks. Metternich blady i pomieszany, Goltz czerwony jak kogut, Nigra koloru swego nazwiska [1]). Rotszyld miał stracić w ciągu paru godzin dziesięć miljonów; ogół strat drobnych kapitalistów reprezentował olbrzymią cyfrę i, koniec końcem, klasy posiadające jeszcze większa awersja do wojny ogarnęła. Cesarz również zapragnął pokoju.

Francja, Anglja i Rosja wniosły zwołanie kongresu, z programem z trzech punktów: Wenecja, Szlezwig i Holsztyn, reforma związku niemieckiego. «W myśli cesarza, donosił Nigra dnia 11 maja, Włochy powinny otrzymać Wenecję, Austrja Szlązk, Prusy księztwa nadelbiańskie i co sobie wybiorą na północy Niemiec; nad Renem powstanie kilka małych państw, należą-

[1]) Mérimée: «*Lettres à M. Panizzi*».

cych do rzeszy, pod protekcją Francji; wywłaszczeni książęta niemieccy pójdą nad Dunaj, do Mołdawji i Wołoszczyzny». Teraz cesarz sprzedawał skórę na niedźwiedziu; dla siebie, jeżeli co rezerwował, to chyba ogon, u niedźwiedzia niewiele wart. Niebawem zrzekł się wszelkiego zysku, mówiąc, że woli nie przysposabiać Francji nadreńskiej Wenecji; tylko, w każdym razie, włoska Wenecja musiała przejść pod berło Wiktora-Emanuela. Prusy i Włochy przyjęły zaproszenie na kongres, z warunkiem, że zbroić się nie przestaną. Austrja, zaproszenia wprost nie odrzucając, zastrzegła najpierw, że państwa, w kongresie udział biorące, wyrzekną się nabytków terytorjalnych i powiększenia swojej potęgi; potem, że papież będzie na kongresie reprezentowany. Wtedy Rosja, za nią Anglja, a za niemi Francja, dały za wygranę.

«*L'empereur est furieux contre l'Autriche*», telegrafował Nigra do Florencji dnia 4 czerwca. Tego samego dnia ks. Gramont wyjechał z Paryża do Wiednia, z poleceniem żądania Wenecji za neutralność Francji, i dnia 9 czerwca otrzymał formalny traktat, chwilowo zatrzymany w tajemnicy. Bez zwłoki cesarz wystosował do ministra spraw zagranicznych list, będący manifestem i odczytany dnia 13 czerwca w ciele prawodawczem. Wspomniawszy o nieboszczyku kongresie, cesarz opowiadał, co na nim przeprowadzić zamierzał: zaokrąglić Prusy i powiększyć, drugorzędnym państwom rzeszy dać silniejszą organizację i odpowiednie stanowisko; Austrji pozostawić rolę wielkiego mocarstwa w Niemczech i wyjednać dla niej kompensatę za Wenecję, niezbędną dla dopełnienia jedności półwyspu włoskiego. W gotującej się walce Francja pozostanie neutralną, strzedz będzie równowagi europejskiej i nietykalności dzieła, które przy jej pomocy powstało we Włoszech. Francja uznaje konieczność zabezpieczenia niepodległości narodowej Włoch; sama o posu-

nięciu swych granic pomyśleć może dopiero wtedy, gdy karta Europy zostanie zmienioną na wyłączną korzyść jednego z wielkich mocarstw i gdy mieszkańcy pogranicznych krajów zażądają przyłączenia do Francji.

Po manifeście należało zgromadzić, na wszelki wypadek, parękroć czerwonych spodni w obozie pod Châlons. Cesarz tego zaniedbał uczynić i tem się zgubił. Mając w kieszeni Wenecję i obietnicę, że Austrja w żadnym razie nie naruszy *status quo* we Włoszech, liczył na to, że obie strony, po dobrym upuście krwi, pozwolą sobie dyktować warunki, bez użycia siły. Nie co innego musiał mieć na myśli, kiedy włochów nakłaniał, aby wojnę prowadzili miękko, a starali się wzniecić powstanie w Węgrzech. Jedno i drugie obiecywało siły Austrji rozdrobnić tak, żeby ani przeciwnika powalić nie mogła, ani sama wielkiej nie odniosła szkody. Jeżeli co cesarzowi sen mąciło, to troska o włochów, których skóra mocno świerzbiała. Krótko przed rozpoczęciem kampanji, ks. Napoleon był we Florencji. «Dzięki Bogu, teraz obejdziemy się bez was» — rzekł doń szwagier, ks. Humbert. «*Ne dites pas de bêtises*—odparł Plon-Plon—możecie mieć na karku więcej austrjaków, niż sobie życzycie».

XXIII.

Austrjacy pod Custozzą, dnia 26 czerwca, na głowę pobili włochów. Porażka włochów osłabiła nieco w Paryżu sympatje austrjackie, na korzyść sprzymierzeńca z roku 1859; istnienia traktatu o Wenecję nikt się nie domyślał. W dzień bitwy pod Sadową nadeszła depesza z Wiednia, że austrjacy opuścili Koeniggrätz. Nazajutrz Goltz otrzymał wieść o wielkiem zwycięztwie; dnia 4 lipca Benedetti zatelegrafował z Berlina:

«Armja austrjacka w rozsypce, ścigana przez jazdę pruską». W trop zjawił się w Saint-Cloud Drouyn de Lhuys i ks. Metternich. Minister żądał zwołania ciała prawodawczego, wystawienia korpusu obserwacyjnego i oświadczenia w Berlinie, że francuzi obsadzą lewy brzeg Renu, jeżeli Prusy zechcą zmienić równowagę Europy. Ambasador austrjacki prosił cesarza o pośrednictwo w celu zawarcia zawieszenia broni z Włochami; dalej, żeby cesarz ogłosił umowę, mocą której Austrja ustąpiła Wenecję, tudzież, żeby zajął Wenecję, przynajmniej dla formy, kilkoma bataljonami, i tym sposobem zabezpieczył Austrję od powrotnego najścia włochów.

Energiczne wystąpienie cesarza, poparte demonstracją militarną, zmusiłoby prusaków myśleć o zasłonięciu flanki i Berlina i spuścić z tonu wobec Austrji. Po zawieszeniu broni z Włochami, armja arcyksięcia Albrechta, około 130,000 ludzi licząca, mogła być przerzuconą na północny teatr wojny i równowagę sił tam przywrócić. W Niemczech trzymały się jeszcze nietknięte wojska państw południowych, będących w wojnie z Prusami. Środków do poskromienia prusaków nie brakło, ale i czasu do stracenia nie było. Prócz tego, nie ulegało kwestji, że interwencja Francji rzecz tylko przewlecze i będzie wstępem do nowej a niedalekiej wojny, w której Prusy mieć będą po sobie doskonałą organizację i karabiny odtylcowe.

Cesarz był chory, cierpiał na kamień i biegunkę. Jedyny człowiek z głową i determinacją, Morny, dawno w grobie spoczywał. Drouyn de Lhuys, niewielki genjusz, ale stary praktyk, trzymający się reguł, miał między kolegami mocniejszych od siebie przeciwników, prusomanów. Na radzie gabinetowej, minister wojny, marszałek Randon, przyznał się, że co najwięcej zdoła wystawić 40,000 ludzi, dla których nie ma amunicji, Meksyk bowiem wszystko pochłonął. Stanęło więc

na tem, że cesarz wyprawił listy do królów, pruskiego i włoskiego, z ofiarą pośrednictwa, i kazał w «Monitorze» ogłosić notę, oznajmującą, że Austrja odstąpiła cesarzowi Wenecję dla oddania jej Włochom, tudzież, że Francja podjęła się pośredniczyć między wojującymi.

Nazajutrz, d. 5 lipca, Wiktor-Emanuel odpowiedział, że pośrednictwo przyjmuje; co się tyczy zawieszenia broni, związany traktatem, nic nie może przedsięwziąć bez zgody Prus. Włochom znowu honor nie pozwalał opuścić prusaków; wściekli byli, że Wenecję otrzymają z rąk cesarza, nadto rościli pretensje do Tyrolu włoskiego. Swego czasu Bismark nie dopuścił w traktacie wzmianki o Tyrolu, mówiąc, że po wojnie jakoś się to zrobi. Włosi to sobie zapisali w pamięci; zawód ich spotkał, Bismark bowiem przy układach z Austrją ten punkt usunął; chwilowo jednak apetyt na Trentino uczucie honoru w nich łechtał. Czy był jaki środek zmuszenia włochów do uległości, czy nie było żadnego, to rzeczy nie zmienia, gdyż cesarz przymusu ani myślał używać; właśni doradcy go wstrzymywali. Gdy Drouyn de Lhuys przypuścił do cesarza. w obecności cesarzowej i Rouhera, nowy szturm o zwołanie ciała prawodawczego, wszedł do gabinetu margrabia de La Valette, nie wołany i nie meldowany, wystąpił w roli adwokata włochów i zapytał w końcu, co będzie, jeżeli włosi ogłoszą dokumenty z dowodami, że Francja doradziła im zawrzeć traktat z Prusami? «Nie mamy, dodał, ani żołnierzy, ani amunicji, ani armat, ani koni, jak więc możemy podejmować politykę, która łatwo może wojnę wywołać i narazić nas na spotkanie z iglicówkami? Cesarz, widocznie zachwiany, nic nie odpowiedział i wyszedł.

Włosi i prusacy, nie odrzucając pośrednictwa Francji, odmówili wejścia w układy o zawieszenie broni, dopóki Austrja nie zgodzi się na zawarcie pokoju i

warunków postawionych ze strony Prus nie przyjmie. Skończyło się więc dla Francji na najgorszem, na pośrednictwie nie popartem siłą, między Austrją materjalnie i moralnie zachwianą, a Prusami rozzuchwalonemi powodzeniem, poczuciem własnej potęgi, coraz widoczniejszą nieudolnością medjatora. Wyrzekłszy się czynnej interwencji, cesarz pozbawił się możności poskromienia ambicji prusaków; natomiast wzrost Prus przez aneksje dostarczał mu tytułu do żądania dla Francji kompensat terytorjalnych. Manifest czerwcowy był w świeżej pamięci wszystkich; wypadało albo na swojem postawić, albo wobec świata uderzyć się w piersi: moja wina, moja wielka wina!... i ogłosić bankructwo napoleonizmu.

Dalszy ciąg historji jest, co się nazywa, *eine dunkle Geschichte.* Całej prawdy wyjawić nikt nie chciał, bo nie była dla nikogo zaszczytną. Z dobrą wiarą żadna strona nie postępowała. Bismarkowi niepodobna za grzech poczytać, że Francji Renu nie oddał, do zaboru Luksemberga i Belgji nie dopomógł; natrząsać się z cesarza, że o *Trinkgeld* się dopomina, nie miał prawa, skoro sam przed wojną podsuwał kwestję kompensat i cudzą własnością rozporządzał na rzecz Francji. Sposób traktowania *dilatorische Behandlung* propozycyj francuzkich, ukucie z nich broni na cesarza, może ujść od biedy za podstęp wojenny, w stosunkach międzynarodowych nie po raz pierwszy i ostatni użyty, gdyby nie ta nieszczęśliwa sprawa cyrografów. Benedetti na swoją obronę napisał gruby tom [1]); z raportów w nim zawartych widać, że cesarza ostrzegał i odwodził od napierania się o kompensaty; co do swojej osoby, wystawia się w roli prostego wykonawcy wyższych rozkazów i uwiedzionej niewinności; «projekt traktatu o Belgję, powiada, podyktował mi Bismark, potem papier schował

[1]) «*Ma mission en Prusse*».

do kieszeni, układy zerwał i z dokumentu zrobił w roku 1870 niecny użytek». Na korsykanina z rodu i dyplomatę z rzemiosła, który się przechwalał, że manjaka zna na wylot, naiwności nieco zawiele; lecz fakt faktem, że kanclerz pruski dopóty negocjował, póki cyrografu nie zdobył.

Przebieg sprawy był w krótkości następny. Benedetti zaraz w Nikolsburgu napomknął o sprostowaniu granic nad Renem; dalsze układy odłożono na później, w interesie pokoju. Po powrocie do Berlina, targ rozpoczął się na dobre. Benedetti postawił maksimum: granice z roku 1814, lewy brzeg Renu z Moguncją, oraz usunięcie załogi związkowej z Luksemburga. Bismark nie odpowiadał ani tak, ani nie; gdy dostał do rąk projekt traktatu, z dokumentem w ręku wymógł na rządach południowych państw niemieckich zawarcie traktatów zaczepnych i odpornych z Prusami. Wtedy oświadczył krótko i węzłowato: «Nie damy wam ani piędzi ziemi niemieckiej!» «*C'est la guerre!*»—zawołać miał Benedetti. «*Eh! bien, la guerre*»—odparł Bismark. Z tem Benedetti pojechał do Paryża. Cesarz leżał chory w Vichy, Francja nie była w stanie wojny prowadzić. Załatano sprawę różnemi wymówkami. Benedetti otrzymał polecenie traktować po przyjacielsku o Luksemburg i Belgję. Przyjacielskie pogadanki zrodziły projekt traktatu, spisany ręką ambasadora francuzkiego, na papierze ze stemplem ambasady. Punktacja obejmowała: uznanie ze strony Francji aneksyj pruskich i związku północnego, wraz z obietnicą, że cesarz nie sprzeciwia się federacji między związkiem północnym i południem, z wykluczeniem Austrji i wspólnym parlamentem; traktat zaczepny i odporny między Francją i Prusami; poparcie dyplomatyczne Prus w celu aneksji Luksemburga do Francji; pomoc zbrojną Prus w zdobyciu Belgji. Kanclerz, zachowawszy cyrograf, począł zwlekać, zachorował, wyjechał na urlop i do-

piero pod koniec roku wrócił do Berlina. Tymczasem, przez Manteuffla porozumiał się z Rosją i w domu zawarł zgodę z liberalnem stronnictwem; Moltke ze swej strony nie zaniedbał armji. Kiedy Benedetti wszczął nanowo traktować, Bismark rzekł: «Co się tyczy Belgji, nie zmieniłem zdania, ale zawarcie traktatu napotyka na trudności; następca tronu boi się, że traktat obrazi królowę Wiktorję; król nie chce słyszeć o traktacie zaczepnym, co najwięcej, przypuszcza przymierze odporne, z obowiązkiem neutralności na wypadek, gdyby Francja sięgnęła po Belgję». Równało się to prostej odprawie. Kwestja Luksemburga tak stała: Księztwo należało niegdyś do rzeszy niemieckiej, miasto było fortecą związkową; lecz pomimo, że dawny związek istnieć przestał, załoga pruska zajmowała fortecę. Bismark obiecywał cofnąć załogę i księztwo pozostawić pod niepodzielnem zwierzchnictwem króla holenderskiego, z warunkiem jednak, że twierdza będzie zburzoną.

Cesarz rozpoczął układy z królem holenderskim o kupno księztwa; interes był prawie ukończony, cena umówiona, ale Luksemburg bez fortyfikacji przedstawiał dla Francji małą wartość. Francuzi przypomnieli sobie, że twierdza była dziełem Vaubana, więc miłość własna narodu weszła w grę. Nadomiar złego, Bismark postanowił nie oddać Francji Luksemburga ani z fortecą, ani bez fortecy. Zwaliwszy winę na Moltkego, odłożył ewakuację Luksemburga bez terminu; na królu holenderskim wymógł cofnięcie danego cesarzowi słowa i ogłosił traktaty z państwami południowemi, dotąd trzymane w tajemnicy.

Francja nie była w stanie wojny rozpoczynać; w Berlinie nie wybiła jeszcze godzina walnej rozprawy z sąsiadem. Proces wytoczył się przed trybunał europejski i skończył na tem, że Luksemburg pozostał przy Holandji, prusacy opuścili twierdzę, wały fortecz-

ne zrównano z ziemią. Cesarz odszedł z próżnemi rękami i z pragnieniem odwetu w sercu.

XXIV.

Po Sadowie cała Europa jęła się naśladować prusaków, robić karabiny odtylcowe, zaprowadzać obowiązek powszechnej służby wojskowej, kopjować mniej więcej wiernie i szczęśliwie pruską organizację militarną. Naśladownictwo leżało w naturze rzeczy, lecz trudności były niepoślednie, niektóre nieprzełamane. Wojskowa potęga Prus wyrosła jak drzewo z nasienia, na własnym gruncie; liczyła przeszło pół wieku życia. Pielęgnowało ją kilkanaście pokoleń; nad udoskonaleniem jej pracował, pod kierunkiem ludzi genjalnych, długi zastęp inteligentnych robotników, duszą i ciałem dziełu oddanych. Obowiązek służby wojskowej wszedł w obyczaj narodu. Mechanizm sam z siebie skomplikowany, funkcjonował doskonale, nietylko dzięki wewnętrznej dobroci pomysłu; od dołu do góry, każde kółko spełniało swoją powinność sumiennie i skrupulatnie. Do zdobycia wojennej przewagi, prócz armji, przyczyniła się administracja cywilna, system komunikacji, finanse, ład i porządek panujący w całem państwie, wszystko i wszyscy, począwszy od króla, Bismarka i Moltkego, skończywszy na wójcie, podoficerze i pruskim chłopku.

Cesarz Napoleon, jeden z pierwszych w Europie, zabrał się do reformy wojskowej. Z końcem sierpnia 1866 r., wyszedł rozkaz rozpoczęcia fabrykacji karabinów odtylcowych, zwanych *chassepot* i, jak się później pokazało, bardzo dobrych, lepszych od ówczesnego modelu pruskiego. Osobna komisja, prezydowana przez cesarza, zajęła się przygotowaniem projektu do nowego prawa wojskowego. Pułkownik Stoffel, wysła-

ny do Berlina, dostarczał gruntownych sprawozdań o pruskich porządkach. Cesarz chciał zaprowadzić obowiązek powszechnej służby w wojsku, ale tu go spotkał straszny zawód; znalazł wszystkich przeciwko sobie, za sobą nikogo. Dla chłopa służba wojskowa była straszydłem, nieszczęściem rodzinnem. Wiadomo, jaką rolę w powieściach i komedjach ludowych grała konskrypcja, losowanie, *le mauvais numéro;* wszystko zaś było wzięte z życia. Matki modliły się, żeby syn wyciągnął dobry numer, uwalniający od karabina; ojcowie składali grosz do grosza, żeby w danym razie zapłacić zastępcę. Chłop, przywykły do loterji i do wykupu, uważał przymusową służbę za krzywdę i zamach na swoją wolność. Sredni mieszczanin tem bardziej, bo syna za pieniądze regularnie uwalniał. Nawet proletarjusz czułby się był pokrzywdzonym, chociaż on jeden przechował w sobie instynkty żołnierskie; znikała bowiem dla niego perspektywa zdobycia paru tysięcy franków. O bogatych i wyższych warstwach społeczeństwa zbytecznem wspominać. Mérimée w kilku słowach opowiedział, co się stało we Francji: «*A force de prêcher que le souverain bien est l'argent, on a profondément altéré les instincts belliqueux de la France. L'idée de risquer sa vie est devenue très répugnante, et ceux qui s'appellent les honnêtes gens disent que cela est bas et grossier*» [1]). Winien był temu tak dobrze Ludwik-Filip, jak Napoleon III. Stara arystokracja, legitymiści, orleaniści, nie rozumieli, co to jest służyć Francji, a cesarzowi służyć nie chcieli. Zwyczaj kazał cnotę chłopców marynować w wacie z kamforą; lekarstwo najczęściej nie skutkowało, ale wielkim paniom włosy powstawały na głowie na myśl, że synowie będą obcować w koszarach z chłopami. Teraz obcują i wracają cali; jak wieść niesie, w tem

[1]) «*Lettres à M. Panizzi*». *27 décembre, 1866.*

obcowaniu wyrabiać się ma pomału zupełnie nowy stosunek, rodzaj patronatu i zwierzchnictwa wyższych klas nad ludem. Może militaryzm jest w ręku Opatrzności narzędziem nowego ukształtowania społeczeństw! Dość zresztą było, że cesarz jest autorem reformy wojskowej, żeby przeciw służbie obowiązkowej poruszyć wszystkie żywioły opozycyjne. Ale i armja cesarska oświadczyła się przeciwko naśladowaniu prusaków, przez miłość własną, przez szowinizm, także z pobudek pożyteczności. Oficerowie francuzcy byli i po części są przekonani, że francuz potrzebuje służyć najmniej lat pięć, żeby zostać żołnierzem; przy pięcioletniej służbie, reforma na sposób pruski wkładała na ludność i na skarb ciężary tak wielkie, że nie było najmniejszej szansy obronienia projektu wobec izb i kraju.

W grudniu 1866 r. «Monitor» oznajmił, że komisja wojskowa zamierza pomnożyć stałą armję do 800,000 ludzi i zaprowadzić gwardję narodową ruchomą. O obowiązkowej służbie mowy nie było. Pomimo to taki powstał krzyk we Francji, że sprawę odłożono.

Wróciła na stół dopiero w rok później, pod postacią projektu marszałka Niela. Ogół sił zbrojnych Francji wynosić miał 1,200,000 ludzi, podzielonych na trzy równe części: armję stałą, rezerwową i gwardję ruchomą. Komisja ciała prawodawczego zażądała utrzymania w nowem prawie dawnego systemu konskrypcji z losowaniem i zastępstwem; kto wyciągnął dobry numer, lub dał zastępcę, był wolny od wszelkiej służby na resztę życia. Rząd się poddał. Gwardja ruchoma mogłaby być użytą tylko wewnątrz kraju, do obrony fortec i wybrzeży. Miała być zwoływaną na ćwiczenia ośmiodniowe; ogólna suma ćwiczeń w ciągu roku nie mogła przenosić dni dwudziestu, w ciągu pięcioletniej służby dwóch i pół miesięcy; komisja ciała prawodaw-

czego zredukowała trwanie jednorazowe ćwiczeń do jednego dnia, w roku do dni piętnastu. Od obowiązku służenia w gwardji wolno było się wykupić. Kto podczas ćwiczeń z domu wyjechał, nie potrzebował się stawić i nie podlegał żadnej odpowiedzialności. Rząd się i temu poddał. Szło mu widocznie o to, żeby pod tytułem gwardji przygotować zapasy rynsztunku i uzbrojenia, a w razie wybuchu wojny zgromadzić gwardzistów, wymustrować i w potrzebie wcielić do armji.

Opozycja republikańska wniosła zastąpienie stałej armji przez milicję, jak w Szwajcarji. Thiers, którego głos wiele znaczył, bo przed wojną r. 1866 przepowiedział, co się stanie, nie sprzeciwiał się pomnożeniu sił zbrojnych, ale powstał przeciw gwardji ruchomej, jako niepotrzebnej; powołując się na zdanie Napoleona I, że w polu na nieprzyjaciela trzeba żołnierzy, do obrony zaś fortec tylko ludzi, dowodził, że sam wybuch wojny wznieci ruch patrjotyczny, wtedy ludzie napłyną masami i cel zostanie osiągnięty. Emil Ollivier—*der kommende Mann*—zagrał na fujarce hymn o braterstwie ludów; jedność włoska i jedność niemiecka były według niego prawdziwem błogosławieństwem dla Francji; wszystkiemu należało poddać się szczerze i otwarcie, z całą ufnością, dać pokój odwetowi, szukać wielkości Francji w szczęściu rodu ludzkiego. «Gdzie my jesteśmy?—pytał słusznie Thiers— czy we Florencji między włochami? czy w Berlinie wśród niemców?» Większość ciała prawodawczego drżała na samą myśl wojny i reformie wojskowej była przeciwną. Podbił jej bębenka Thiers frazesami o niezłomnej sile patrjotyzmu; jeszcze bardziej marszałek Niel pochwałą istniejącej organizacji francuzkiej, wypowiedzianą w uniesieniu swady oratorskiej, dla honoru domu i przez wzgląd na zagranicę. Stanąć sztorcem cesarzowi nie śmiała, natomiast chyłkiem bruździła. Zgodziwszy się

w zasadzie na pomnożenie sił zbrojnych, wzięła obcinać fundusze, ku temu niezbędne. Ze 144 miljonów, żądanych na przeróbkę broni, wykreśliła 31; zamiast 15 miljonów na artylerję, dała półtrzecia; na fortece, zamiast 36 miljonów, tylko 24. Na gwardję narodową marszałek Niel żądał 4 miljony, dostał dwa. Na tem nie koniec. Kazano ministrowi wojny oszczędzać w bieżących wydatkach przez urlopowanie żołnierzy, redukcję sztabów, wreszcie rozdając między chłopów konie od artylerji. Takich koni było już rozdanych 15,000 sztuk; dalsze umieszczenie w podobny sposób trzech tysięcy, zmniejszało roczny koszt o 700,000 franków. Oszczędność stosunkowo nieznaczna, pociągała jednak za sobą bardzo zły skutek. Koń u chłopa zapominał kłusować i stawał się prędko niezdatny do służby w artylerji.

Rząd pruski dał sobie rady z izbą, odmawiającą pieniędzy na wojsko; rząd cesarza był tak słaby, że przestał być panem własnej większości w ciele prawodawczem. Opozycja antydynastyczna znikała w niej liczebnie; szła wprawdzie jak jeden mąż do wywrócenia cesarstwa, lecz była podzieloną na frakcje i odcienie; wobec zorganizowanego i dobrze prowadzonego zastępu rządowego, musiałaby była przycichnąć. Narzekano na Walewskiego, że nie umie, jak niegdyś Morny, izby trzymać w cuglach. Walewski był w samej rzeczy miękki i nieporadny, lecz źródło złego tkwiło w czem innem. Imperjaliści stracili wiarę w nieomylność imperatora, w siłę i trwałość bonapartyzmu. Opozycja ustawicznie biła w niepowodzenia polityki cesarskiej, zwalając połowę winy na zaślepienie i serwilizm stronnictwa rządowego. Razy przeciwników doprowadzały większość do wściekłości; chciała dowieść, że potrafi być niezawisłą, mieć swoje zdanie i swoją wolę; niezorganizowana, bez programu i przywódcy, traciła głowę i rząd pociągała za sobą. «Mamy wszyst-

kie niedogodności absolutyzmu i parlamentaryzmu», pisał Mérimée, bez żadnej dobrej strony tych systemów.

Jeszcze na wiosnę 1864 roku Mérimée ubolewał, że rozstrój wkradł się wewnątrz: «*Nous sommes malades à l'intérieur, nous ne sommes pas gouvernés.* Prefekci są pozostawieni bez dyrekcji, *les uns se font capucins*, sądząc, że się tem mogą przypodobać; inni chylą się na stronę krańcowego liberalizmu, wyobraziwszy sobie, że tam jest przyszłość; największa część nie daje znaku życia, żeby się nikomu nie narazić». Społeczeństwu, przyzwyczajonemu do ścisłej kurateli, raptowna emancypacja nigdy nie bywa zdrową i pożyteczną; tem mniej, gdy przychodzi bez widomego powodu, jakby wskutek sparaliżowania ręki, która dotąd na niem ciążyła. Nadto, prefekta nikt inny w roli dozorcy i przewodnika nie zastąpił. Odbiło się to na wyborach i składzie ciała prawodawczego. Po Sadowie, zawrót począł ogarniać umysły od dołu. Podczas gdy warstwy zamożne pragnęły tylko pokoju i spokoju, choćby okupionego poniżeniem Francji, lud, szczególnie we wschodnich departamentach, chciał *manger du Prussien.* Robotnicy paryzcy, ci sami, co do ciała prawodawczego posyłali republikanów, największych wrogów cesarstwa, cezarowi robili owacje przy każdem spotkaniu, mianowicie podczas wystawy r. 1867. W podróży po nadgranicznych departamentach, do Amiens, Lille, Dunkierki, para cesarska doznała przyjęcia, przypominającego najlepsze czasy. Mérimée często przepowiadał, że to cesarzowi głowę zawróci, zamknie mu oczy: «*il se jettera dans les bras du populaire, à quoi il a toujours eu quelque propension*».

Na taki skok cesarz się nie zdobył. Począł lawirować, robić ustępstwa, regularnie chybiające celu. Zniósłszy adres, przywrócił prawo stawiania pytań; pozwolił dziennikom ogłaszać *in extenso* sprawozdania z obrad w izbach, ciału prawodawczemu pozostawił

wybór prezydenta, dał prawo stowarzyszeń, tylko odpowiedzialności ministerjalnej opierał się do upadłego. Nikogo tem nie zadowolnił; ani popularności, ani dawnej przewagi nie odzyskał. Co gorzej, zjawiły się we Francji nieporządki uliczne. Na południu, pod pretekstem nieukontentowania z prawa wojskowego, czerwoni wywołali zamieszki republikańskie. Drobne burdy i miniaturowe barykady w Paryżu, jeszcze więcej dawały do myślenia. Tłum zaczynał nie bać się rządu, czerwone widmo nie straszyło mieszczaństwa. Rząd, ile razy gotowała się jaka awantura, trzymał pod ręką wojsko, jak gdyby czekając okazji do porządnego upustu krwi, ale nie zdobył się na tyle energji, co niegdyś w dzień zamachu stanu. Francuzi prędko przyszli do wniosku, że główna sprężyna popsuta, nie ma dawnej siły i dzielności. Najruchliwsze żywioły, robotnicy, młodzież, poddały się pod komendę rewolucjonistów; średnie i wyższe warstwy przypuściły szturm o swobody polityczne. Po wyborach r. 1869, stanęło hasło: «*Le gouvernement personnel a fait son temps; maitenant, c'est le pays qui gouverne*». Taki był czysty zysk ustępstw. Mérimée przypomniał historję arlekina, który dzieciom dał bęben i trąbkę z dodatkiem: «*Amusez-vous et ne faites pas de bruit*».

Natenczas cesarz zarządził plebiscyt, żeby pokazać Francji i Europie, jak jest silnym, jakie zastępy wiernych ma za plecami. Po plebiscycie, niby w pełni siły i znaczenia, obdarzył Francję rządem konstytucyjnym i parlamentarnym. Na nieszczęście, Francja nie była w stanie znieść eksperymentu, wyrobić w sobie z dnia na dzień nowego obyczaju, rządzić sobą. Mérimée zawczasu to przepowiedział: «Dano temu ludowi swobodę, jakiej nigdy nie używał i nie znał, pochlebiając sobie, że się nie dopuści zbyt wielkich niedorzeczności. *C'est un peu comme un sage précepteur qui, pour guérir son élève de l'ivrognerie, le soûlerait tous les*

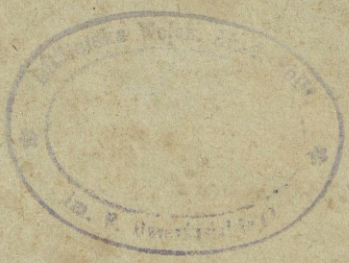
jours. Zważywszy, na jakiej *anima stupida* odbywa się doświadczenie, strach bierze i o chorego i o lekarza, zwłaszcza o lekarza» [1]).

Na czele gabinetu stanął Emil Ollivier, polityk z gatunku Lamartina, bez jego talentu i polotu; republikanin, nawrócony do bonapartyzmu przez miłość swobody; gaduła, upajający się dźwiękiem własnych słów. Bonapartyści liberalni, orleaniści i republikanie dwupłciowi podzielili się tekami ministerjalnemi w równych częściach. Wóz państwa ciągnęła trójka, przypominająca zaprząg w bajce, z tą różnicą, że miejsce łabędzia zajęła sroka. Cesarz twierdził, że jest kontent, że najlepsza harmonja panuje między nim a ministrami, których przecież ciągle zmieniał. Podupadły na umyśle i ciele, może w cichości ducha pragnął tylko spokojnie umrzeć na tronie. Około niego wszyscy byli przekonani, że cesarstwo ginie i zginie, że trzeba zacząć od początku, przywrócić rządy osobiste i dawny rygor. Rzecz się dawała przeprowadzić dopiero nazajutrz po zwycięzkiej kampanji, restaurującej urok i powagę monarchy. Parli więc cesarza do wojny, aż wysłali go pod Sedan. Lud krzyczał: «*A bas les Prussiens! à Berlin!*» Cezar pofolgował starym skłonnościom, przeskoczył rów i rzucił się *dans les bras du populaire.*

Prusacy mówią, że był uknuty *ein Mordplan gegen Deutschland* między cesarzem francuzów, Habsburgiem i Wiktorem-Emanuelem; mają istnieć jakieś listy monarchów, wymienione po nad głowami ministrów i obiecujące Francji czynną pomoc Austrji i Włoch w wojnie z prusakami. Czy to nie bajka, dowiemy się kiedyś. Pewnem jest, że cesarz Napoleon szukał sprzymierzeńców, tentował o zawarcie traktatów zaczepnych i zobowiązań wyraźnych na piśmie nie otrzymał. Ze strony Austrji nie brakło ochoty do wzięcia odwetu

[1]) «*Lettres à M. Panizzi*», *28 octobre 1869.*

za Sadowę; lecz jeżeli kanclerz Beust poczynił jakie obietnice, to bardzo niejasne i tylko na wypadek, gdy armja francuzka zajmie południowe Niemcy—do czego nie przyszło. Król Wiktor-Emanuel zawarcia traktatu wprost nie odmawiając, miał podobno robić zastrzeżenie, że Prusom nie stanie się krzywda; zresztą kładł warunek zawsze jeden i ten sam: Rzym na stolicę Włoch. Wdzięczność mu ciążyła, nie zapomniał retrocesji Wenecji, nie mógł strawić Mentony i powrotu francuzów do wiecznego miasta. Poświęcić Rzym, to przechodziło możność cesarza. Po Mentonie, w ciele prawodawczem taka wszczęła się burza, że Rouher, przywiedziony do ostateczności, posunął się do wyrzeczenia słów, wiążących cesarza na resztę czasu: «*Jamais l'Italie n'ira à Rome, non, jamais! jamais! jamais!*» A gdy Włochom nasunęła się okazja zdobycia Rzymu tanim kosztem, opuścili cesarza i Francję.



KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI
DOM
D Nº 229156

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
147161
1.